

**Hans-Olaf Henkel  
Joachim Starbatty**

**NAJ-  
ODWAŻNIEJSZA  
KSIĄZKA  
2016 ROKU  
W NIEMCZECH**

# **NIEMCY**

**NA**

**DLACZEGO ANGELA MERKEL  
RATUJE ŚWIAT,  
RUJNUJĄC SWÓJ KRAJ?**

# **KOZETKĘ!**



**Hans-Olaf Henkel  
Joachim Starbatty**

# **NIEMCY**

# **NA**

**DLACZEGO ANGELA MERKEL  
RATUJE ŚWIAT,  
RUJNUJĄC SWÓJ KRAJ?**

# **KOZETKĘ!**

Przełożyli:  
Andrzej Kaniewski,  
Ewa Ruszkowska



Warszawa 2016

# SPIS TREŚCI

**ZAMIAST PRZEDMOWY S. 13**

**CZEŚĆ I. NIEMCY CIERPIĄ NA SYNDROM POMAGACZA S. 17**

**CZEŚĆ II. JAK ANGELA MERKEL RATUJE ŚWIAT S. 23**

**ROZDZIAŁ 1. DROGA DO MATKI TERESY I Z POWROTEM S. 23**

**ROZDZIAŁ 2. ANGELA MERKEL RATUJE UCHODźCÓW**

**TEGO ŚWIATA S. 36**

**ROZDZIAŁ 3. ANGELA MERKEL RATUJE ŚWIATOWY KLIMAT S. 39**

**ROZDZIAŁ 4. ANGELA MERKEL RATUJE NIEMCY PRZED ENERGIA**

**JĄDROWĄ S. 44**

**ROZDZIAŁ 5. ANGELA MERKEL RATUJE EUROPE S. 48**

**CZEŚĆ III. JAK NIEMCY RATUJĄ ŚWIAT S.53**

**ROZDZIAŁ 6. TRANSATLANTYCKIE PARTNERSTWO W DZIEDZINIE**

**HANDLU I INWESTYCJI (TTIP): NIEMCY RATUJĄ ŚWIAT PRZED**

**GLOBALIZACJĄ S. 53**

**ROZDZIAŁ 7. NIEMCY RATUJĄ DEMOKRACJĘ W POLSCE S. 60**

**ROZDZIAŁ 8. NIEMIECKIE „STADNE DZIENNIKARSTWO”**

**I AUTOCENZURA S. 72**

**ROZDZIAŁ 9. NIEMCY RATUJĄ JASZCZURKI WE WŁOSZECH S. 82**

**CZEŚĆ IV. OD UNII POKOJU DO SKŁÓCONEJ UNII S. 87**

**ROZDZIAŁ 10. CO I KTO ZAPEWNIŁ POKÓJ W EUROPIE? S. 87**

**ROZDZIAŁ 11. DROGA DO SKŁÓCONEJ UNII S. 92**

**CZEŚĆ V. DĄŻENIE DO POZBAWIENIA NIEMIEC WŁADZY**

**I NIEPOŻĄDANE TEGO SKUTKI S. 97**

**ROZDZIAŁ 12. CEL FRANCJI: POZBAWIĆ WŁADZY NIEMIECKI**

**BANK FEDERALNY S. 97**

**ROZDZIAŁ 13. NIEMIECKI BANK FEDERALNY NA STRACONEJ**

**POZYCJI S. 106**

**ROZDZIAŁ 14. KOSZMAR EUROPEJSKIEJ DYWIDENDY S. 110**

**ROZDZIAŁ 15. OD EUROPEJSKIEGO PAŃSTWA PRAWA  
DO POLITYKI I SPOŁECZEŃSTWA POCHOPNYCH DECYZJI S. 118**

**CZĘŚĆ VI. POMOCNICZOŚĆ ALBO WIR, KTÓRY WCIĄGA  
EUROPE S. 129**

**ROZDZIAŁ 16. CENTRALIZM ZAMIAST POMOCNICZOŚCI S. 129**

**ROZDZIAŁ 17. UWSPÓLNOTOWIENIE ZAMIAST SAMODZIELNEJ  
ODPOWIEDZIALNOŚCI S. 137**

**ROZDZIAŁ 18. HARMONIZACJA ZAMIAST KONKURENCJI S. 141**

**ROZDZIAŁ 19. CO TO OZNACZA DLA PRZYSZŁOŚCI  
NIEMIEC S. 144**

**CZĘŚĆ VII. PROBLEM UCHODźCÓW: STOJĄCE PRZED NAMI  
WYZWANIE S. 147**

**ROZDZIAŁ 20. NASZA ODPOWIEDZIALNOŚĆ S. 147**

**ROZDZIAŁ 21. DACIE RADE! S. 155**

**ROZDZIAŁ 22. AZYL A GRANICE S. 159**

**ROZDZIAŁ 23. INTEGRACJA NA RYNKU PRACY JAKO DECYDUJĄCY  
SPRAWDZIAN S. 167**

**ROZDZIAŁ 24. CZY KULTUROWA INTEGRACJA JEST MOŻLIWA?  
S. 171**

**CZĘŚĆ VIII. GREXIT CZY DEXIT? S. 179**

**ROZDZIAŁ 25. POGLĄDY WOLFGANGA SCHÄUBLEGO – W ROKU  
2010 I PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ S. 180**

**ROZDZIAŁ 26. OD ODPOWIEDZIALNOŚCI FINANSOWEJ PAŃSTW  
DO SOCJALIZMU WALUTOWEGO S. 182**

**ROZDZIAŁ 27. GRECJA W RĘKACH WIERZYCIELI S. 184**

**ROZDZIAŁ 28. GREXIT JAKO RATUNEK DLA GRECJI S. 188**

**ROZDZIAŁ 29: GRECJA A STREFA EURO – PO GREXICIE S. 191**

**ROZDZIAŁ 30. JEŚLI NIE GREXIT, TO DEXIT S. 199**

**CZĘŚĆ IX. PARLAMENT EUROPEJSKI A CORAZ ŚCIŚLEJSZA  
UNIA S. 207**

**ROZDZIAŁ 31. TRZY EUROPEJSKIE KRAJE W LUKSUSOWEJ SYTUACJI S. 207**

**ROZDZIAŁ 32. TAK PRACUJE PARLAMENT EUROPEJSKI S. 212**

**ROZDZIAŁ 33. PARLAMENT EUROPEJSKI Z DAŁA OD WYBORCÓW S. 222**

**CZĘŚĆ X. KTO W EUROPIE PODEJMUJE DECYZJE? S. 227**

**ROZDZIAŁ 34. PRZESUNIĘCIE PUNKTU CIĘŻKOŚCI MIĘDZY KOMISJĄ EUROPEJSKĄ A PAŃSTWAMI CZŁONKOWSKIMI S. 227**

**ROZDZIAŁ 35. JUNCKER I JEGO PRZEKONANIE O BYCIU PREMIEREM EUROPY S. 230**

**ROZDZIAŁ 36. STEROWANY HEGEMON S. 240**

**CZĘŚĆ XI. JAKĄ DROGĄ PÓJDZIE EUROPA? S. 245**

**ROZDZIAŁ 37. CZY PO BREXICIE WSZYSTKO WRÓCI DO NORMY? S. 245**

**ROZDZIAŁ 38. REFERENDUM UKAZUJE KORZYŚCI PŁYNĄCE Z PLEBISCYTÓW S. 248**

**ROZDZIAŁ 39. WIELKA BRYTANIA ODCZUJE BREXIT W MNIEJSZYM STOPNIU NIŻ UNIA EUROPEJSKA S. 250**

**ROZDZIAŁ 40. JAK ANGELA MERKEL STAŁA SIĘ WSPÓŁODPOWIEDZIALNA ZA BREXIT S. 253**

**ROZDZIAŁ 41. EURO JAKO JEDNA Z PRZYCZYN BREXITU S. 255**

**ROZDZIAŁ 42. CO DALEJ? S. 258**

**CZĘŚĆ XII. DLACZEGO NIEMCY TO AKCEPTUJĄ? TERAPIA. S. 261**

**INDEKS NAZWISK S. 271**

# ZAMIAST PRZEDMOWY

Latem 2016 roku w berlińskiej Schaubühne wystawiono zasługującą na uwagę sztukę. Siedmiu wspaniałych aktorów kierowanych przez reżysera Simona McBurneysa zaprezentowało na scenie jedyną powieść Stefana Zweiga *Niecierpliwość serca*. Opowiada ona o „namiętnej, jednostronnej miłości i fałszywej litości. Litości, która nie przynosi pokrzepienia, lecz powoduje szkody”, jak ujęła to recenzentka Jasmin Carrow. Dobroduszny i wrażliwy młody oficer otrzymuje zaproszenie do zamku pewnego węgierskiego Żyda, gdzie pozna je jego sparaliżowaną córkę. Dopiero gdy prosi ją do tańca, dostrzega jej kalectwo i od tego momentu dręczą go wyrzuty sumienia. „Zostaje wmurowany kamień węgielny, który definiuje wszystko, co później się zdarzy”, pisze recenzentka. Młody oficer próbuje zatuszować swoje *faux pas*, stwierdzając co rusz: „jakimż to uwznioślającym uczuciem może być sprawianie radości innemu człowiekowi...”. Dziewczyna wkrótce zakochuje się w poruczniku, ale on dostrzega to jako ostatni.

Stefan Zweig komentuje ten dylemat za pośrednictwem innej postaci, doktora Condora, lekarza nieszczęsnej dziewczyny, który sam ma niewidomą żonę: „Lecz organizm ludzki, zarówno ciało, jak i dusza posiada na nieszczęście dziwną siłę przystosowywania się. Jak nerwom potrzeba coraz więcej morfiny, tak uczucie wymaga coraz większej litości, a wreszcie tyle, ile w ogóle dać nie można. I przychodzi nieunikniona chwila, gdy trzeba powiedzieć «nie» i nie wolno się zastanawiać, czy za tę odmowę nie będziemy bardziej znienawidzeni, niż gdybyśmy nie pomogli wcale. Tak, kochany panie poruczniku, litość należy mocno trzymać w karbach, aby nie narobiła gorszych szkód niż wszelka obojętność. Wiemy o tym dobrze my, doktorzy, wiedzą o tym sędziowie i komornicy,

i właściciele lombardów. Gdyby chcieli powodować się wyłącznie litością, świat nasz stanąłby w swym rozwoju. Litość to niebezpieczna rzecz, niebezpieczna! Sam pan widzi, co narobiła pańska słabość<sup>1</sup>”.

„Tego wieczoru byłem Bogiem”, uważał młody porucznik, gdy ogarnięty przemożną litością złożył sparaliżowanej dziewczynie obietnicę bez pokrycia. „Stworzyłem świat i patrzcie, był on pełen dobra i sprawiedliwości. Stworzyłem człowieka, jego czoło lśniło czysto jak poranek, a w jego oczach odzwierciedlała się tęcza szczęścia. Nakryłem stół bogactwem i obfitością, pokazałem owoce, wino i potrawy”.

Tym brutalniejsze okazało się uczucie, którego doznał, gdy przekonał się, co narobił swoją litością. „Nie byłem już Bogiem, tylko małym żalonym człowiekiem, który za pomocą swojej słabości wyrządził jak łobuziak szkody, litością zakłócił spokój innej osobie i zniszczył ją”.

Za pomocą niniejszej książki przepisujemy naszemu pacjentowi tę samą receptę, jaką u Stefana Zweiga formułuje doktor Condor: „Nadchodzi w końcu taki moment, tu i tam, gdy trzeba powiedzieć «nie» i nie wolno się zastanawiać, co będzie dalej”.

<sup>1</sup> Fragmenty powieści Stefana Zweiga *Niecierpliwość serca* w tłumaczeniu Zofii Petersowej, wydawnictwo Muza, Warszawa 1994 - przyp. tłum.

# CZEŚĆ I

## NIEMCY CIERPIĄ NA SYNDROM POMAGACZA

Najpierw pewna uwaga: to nie my pierwsi występujemy z poglądem, że można badać stan umysłu nie tylko jednej osoby, lecz całych społeczeństw. Jeśli nawet tygodnik taki jak „Die Zeit”, który niezłomnie dochowuje wierności unijnemu euro, scentralizowanemu państwu europejskiemu i nieograniczonej dobroci wobec innych ludzi, zdobywa się na tytuł: „Czy Niemcy oszaleli? A może to reszta świata nie przyjmuje uchodźców?”, to tym bardziej my możemy sobie na to pozwolić! Najwyższy czas, by zająć się pacjentem o nazwisku Niemcy, położyć go na kozetce, przeprowadzić wywiad lekarski, a potem postawić diagnozę. Co mu dolega? Dlaczego Angela Merkel stale ratuje świat kosztem przede wszystkim swoich rodaków? Dlaczego Niemcy to akceptują i dlaczego ratują świat razem z nią?

Za pioniera metody polegającej na kładzeniu pacjentów na kozetce celem zbadania ich motywów, psychoz i popędów powszechnie uważa się Zygmunta Freuda, światowej sławy austriackiego neurologa i twórcę psychoanalizy. To on zaproponował badania świadomości i podświadomości oraz ich wzajemnego oddziaływania.

W przypadku naszego pacjenta – Niemców – w mniejszym stopniu interesują nas tezy Freuda o *id*, a więc o elemencie *psyche* oznaczającym popędy, w którym swe korzenie mają zazdrość, nienawiść, miłość czy zaufanie. Niespecjalnie przydatny jest też jego dorobek w kwestii *ego*, a więc owej szczególnej struktury psychicznej, która umożliwia rozsądne myślenie z pomocą niezawodnych norm. Bardzo natomiast przydatna przy stawianiu diagnozy, w rokowaniach i wreszcie



w terapii naszego pacjenta może okazać się trzecia psychiczna struktura teorii Freuda, czyli koncepcja *superego*.

Freud wyjaśnia znaczenie *superego* standardami zachowania, które ludzie przyswajają sobie w okresie wychowywania. Człowiek nie rodzi się z wyrobionym światopoglądem, moralnością i sumieniem. Przypomnijmy sobie lekcje religii. Przecież ludzkość nie wyssała z mlekiem matki dziesięciu przykazań. Najpierw musiał ogłosić je Mojżesz. Moralne *superego* jest więc przeciwieństwem odnoszącego się do popędów *id* i stanowi równowagę dla egoistycznego indywiduum. Zdaniem Freuda *superego* umożliwia hamowanie impulsów z *id*, co oznacza ni mniej, ni więcej, że na zachowanie ludzi stale wpływa nieświadomy konflikt między kierującym się zasadą przyjemności popędem (*id*) a moralnością (*superego*).

Nie zamierzamy tu oczywiście rozwijać wywodów na temat kompleksowych i często wzajemnie sprzecznych tez Freuda. Pragniemy jednak zwrócić uwagę na pewien element jego dorobku, który ma ogromne znaczenie dla diagnozy dolegliwości naszego pacjenta – Niemców. Freud wskazał bowiem, że dynamicznie popędów ulegać mogą nie tylko jednostki, ale też społeczeństwa.

Czy nasz pacjent cierpi na patologiczną gotowość do pomocy, na „syndrom pomagacza”?

Psychoanalitik Wolfgang Schmidbauer opisuje syndrom pomagacza jako formę obrony przed dominacją własnego ubóstwa, która przez wielu ludzi, do tego nieświadomiamających sobie jasno swoich motywów, dokonywana jest w formie „altruistycznej rezygnacji”, by w ten sposób mogli przezwyciężyć własne problemy duchowe. Zdaniem Schmidbauera osoba dotknięta tym syndromem ma niskie poczucie własnej wartości i dlatego koncentruje się na misji niesienia pomocy innym. To pomaganie innym staje się u niej nałogiem. A przy tym próbuje ona ucieleśniać ideał, którego brakowało jej u rodziców, czy też generalnie w czasach dzieciństwa. Jest

rzeczą naturalną, że osoby dotknięte tym zaburzeniem często wybierają zawody, których cechą wspólną jest użyteczność i pomaganie innym ludziom.

Wykorzystując metodologię Zygmunta Freuda, zamierzamy ekstrapolować opisany przez Schmidbauera syndrom z jednostek na społeczeństwo, a więc na Niemcy – pacjenta na naszej kozetce.

Fakt, że Niemcom w „dzieciństwie” brakowało ideału, związany jest ze straszliwymi czynami ich przodków w okresie III Rzeszy. Dzisiaj niemal nikt tak jak Niemcy nie ucieleśnia „niskiego poczucia własnej wartości”, które Schmidbauer uznaje za przyczynę patologicznej gotowości do niesienia pomocy innym stanowiącej fundament polityki Angeli Merkel.

Oczywiście, niesprawiedliwością byłoby obarczanie odpowiedzialnością za to tylko pani kanclerz. Istniejąca w społeczeństwie daleko idąca akceptacja dla szkodliwych dla niego samego decyzji politycznej elity pokazuje, że syndrom ten ogarnął nie tylko głowę, lecz także ciało pacjenta.

Wprawdzie to Merkel zaprosiła [do Niemiec] tysiące uchodźców, naruszając Konwencję dublińską<sup>1</sup> i zdejmując z nich obowiązek rejestracji, ale nie da się zaprzeczyć temu, co wkrótce potem obserwowaliśmy wszyscy na monachijskim dworcu głównym: setki zachwyconych obywateli serdecznie witały uchodźców okrzykami, prezentami i transparentami z napisami: „Witamy uchodźców” [ang. „*Refugees Wellcome*”]. Zastanawia, dlaczego musieli być oni witani nie w języku gospodarzy, lecz w innym, który dla większości z nich i tak jest językiem obcym.

Zdaniem Schmidbauera potrzeba niesienia pomocy innym u osoby cierpiącej na syndrom pomagacza może doprowadzić do zaniedbania rodziny i partnera, a nawet do samozniszczenia.

<sup>1</sup> Konwencja dublińska z 15.06.1990 r. określa zasady rozpatrywania wniosku o azyl przez państwa członkowskie Unii Europejskiej. W 2003 r. zastąpiona została Rozporządzeniem Dublin II - przyp. Kurhaus.

W dalszej części tej książki udowodnimy, że z tym właśnie zaburzeniem mamy do czynienia u naszego pacjenta. Ratując światowy klimat, zamykając niemieckie elektrownie atomowe (by zapobiegać skutkom ewentualnych awarii), przyjmując setki tysięcy uchodźców i miliony ciągnących za nimi krewnych, sztucznie utrzymując przy życiu strefę euro, pomagając Grecji, Irlandii, Portugalii, Hiszpanii i całej Europie oraz ratując jaszczurki we Włoszech, szkodzi on nie tylko sobie, lecz również europejskim partnerom i, paradoksalnie, także samym rzekomo ratowanym.

O osobie z syndromem pomagacza można ponadto powiedzieć, że błędnie ocenia ona granice tego, co jest możliwe oraz że ignoruje pytanie, czy jej pomoc jest w ogóle potrzebna. I czy ma ona sens.

Autorzy książki, Henkel i Strabatty, przyglądając się leżącemu na kozetce pacjentowi, Niemcom, potwierdzą w swej książce, że już od dawna próbuje on przekraczać granice tego, co możliwe.

Stwierdzają oni bowiem, że w okresie badania u pacjenta utrzymywała się skłonność do patologicznych zachowań. Skłaniało to nawet Autorów do pytań, czy nie cierpi on przypadkiem na schizofrenię. Kryzys migracyjny pokazuje, że pacjent jest z jednej strony dumny z okazywanej uchodźcom gościnności, jednak z drugiej strony obawia się skutków niepohamowanej i niekontrolowanej fali migracyjnej. Nie dziwi to w obliczu sprzecznych często sygnałów, które otrzymuje ze świata polityki. Angela Merkel zapewnia: „Damy radę!”. Coraz większe rzesze obywateli, Lothar de Maizière – minister spraw wewnętrznych w gabinecie pani kanclerz, nie wspominając już o premierze Bawarii Horstie Seehoferze i wszystkich głowach państw oraz szefach rządów w Europie, mówią jednak: „Nie damy rady!”.

Schizofrenią wydaje się nam także formułowane ostatnio przez panią kanclerz Merkel przekonanie, że uchodźcy

wojenni powrócą do swoich ojczyzn, gdy zakończą się tam konflikty, choć od samego początku kryzysu podkreślała, że ważna jest szybka i jak najgłębsza integracja przybyszy. Na schizofrenię wskazywałby także fakt, że kanclerz wita uchodźców, którzy koczowali w Budapeszcie, ale tych z Idomeni już nie. Josef Joffe, wydawca „Die Zeit” i swego rodzaju ostoja ludzkiego rozsądku w kipieli tego tygodnika, wskazał, że zapewnienie Merkel: „damy radę” zamieniło się ostatecznie w zwrot „oni dadzą radę”. „My pozostaniemy tymi dobrymi, a to inni zdejmą z nas ciężar problemu z uchodźcami”, brzmi tytuł jednego z artykułów z serii „Reich des guten”. To prawdziwa hipokryzja.

Takie sprzeczne z sobą zachowania zachodzą w obrębie polityki ratowania Europy już od dłuższego czasu. W Bundestagu nie ma, z wyjątkiem Sahry Wagenknecht z partii Die Linke [Lewica], ani jednego deputowanego, który otwarcie wypowiadałby się przeciwko euro. Są za to dziesiątki takich, którzy poprzez odrzucanie Europejskiego Mechanizmu Stabilizacyjnego (EMS) ustawiają się w roli oponentów. Przy czym każdy z nich zdaje sobie doskonale sprawę, że gdyby Bundestag odrzucił EMS, strefa euro rozpadłaby się na początku następnego tygodnia po podjęciu tej decyzji. Innymi słowy, ci sami politycy, którzy chcą zachować euro, nie chcą go ratować.

Taką postawę nazywamy schizofreniczną, ponieważ to pojęcie jest w mowie potocznej używane jako synonim „sprzecznego”, „niekonsekwentnego” lub „absurdalnego” zachowania, a wywodzi się z fałszywego wyobrażenia o rozdwojonej osobowości chorej osoby. Co zresztą opiera się na błędnym tłumaczeniu terminu „schizofrenia”.

Jakkolwiek by było, terminy „sprzeczność”, „niekonsekwencja” albo nawet „absurd” znajdują obecnie odbicie nie tylko w Bundestagu, a więc w pewnym sensie w głowie naszego pacjenta, lecz także w całym jego ciele. Gdybyśmy dzi-

siaj spytali społeczeństwo [niemieckie] o przyszłość euro, to większość opowiedziałaby się za zachowaniem wspólnej waluty. Jednakże jeszcze większa grupa obywateli sprzeciwiała by się udzielaniu pomocy finansowej pogrążonym w kryzysie państwom. Społeczeństwo domaga się, podobnie jak coraz większa liczba oponentów rządu w Bundestagu, utrzymania euro, a jednocześnie nie chce go ratować. Naszym zdaniem ta kolektywna schizofrenia jest bezpośrednim wynikiem dyktatu kanclerz Merkel: „Jeśli upadnie euro, upadnie Europa!”. A któż chciałby upadku Europy?

Pozwalamy sobie na zadawanie pytań. Dlaczego Niemcy ratują kosztem swoich podatników i ich dzieci euro, Portugalię, Irlandię, Hiszpanię, trzy razy Grecję, klimat światowy i uchodźców? Jakie są przyczyny występowania syndromu pomagacza u tak wielu Niemców, z Angelą Merkel na czele? Dlaczego tak wielu niemieckich polityków odmawia reprezentowania interesów swojego kraju?

# CZEŚĆ II

## JAK ANGELA MERKEL RATUJE ŚWIAT

### ROZDZIAŁ 1.

#### DROGA DO MATKI TERESY I Z POWROTEM

Niemal w tym samym czasie, gdy Angela Merkel mianowana została ministrem ochrony środowiska<sup>1</sup> w gabinecie Helmuta Kohla, na początku 1995 roku Hans-Olaf Henkel został przewodniczącym Federalnego Związku Przemysłu Niemieckiego [niem. der Bundesverbandes der Deutschen Industrie, BDI]. Przyszła kanclerz wywarła na nim bardzo pozytywne wrażenie – zarówno na płaszczyźnie zawodowej, jak i prywatnej (wspominamy o tym w **Rozdziale 3. Angela Merkel ratuje światowy klimat**). Oczywiście kontakty między nimi uległy rozluźnieniu po wygranych przez czerwono-zieloną koalicję wyborach do Bundestagu<sup>2</sup>. Jürgen Trittin, następca Merkel na stanowisku ministra środowiska, musiał realizować – co nie dziwi – niemal zupełnie odmienny program polityczny. Trzeźwość sądów, chęć uczenia się i umiejętność słuchania innych zostały wyparte przez ideologię, upór i arogancję. Ataki na gospodarkę, jakie prowadził Trittin, byłyby nie do pomyślenia za czasów Merkel. Co więcej – jego decyzje często miały niekorzystny wpływ na środowisko naturalne. Po zmianie władzy Merkel i Henkel spotykali się od czasu do czasu w Bonn lub w Berlinie. W 2003 roku wraz z innymi osobistościami ze świata polityki i biznesu, między innymi z Romanem Herzogiem, Klausem

<sup>1</sup> Dokładna nazwa tego stanowiska to minister środowiska, ochrony zasobów naturalnych i bezpieczeństwa jądrowego. Pełniła je w okresie od 17 listopada 1994 r. do 26 października 1998 r. – przyp. Kurhaus.

<sup>2</sup> Chodzi o wybory z 1998 r., w których zwyciężyła koalicja Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) i Związku 90/Zielonych. W ich wyniku kanclerzem został Gerhard Schröder. Niemiecka chadecja została odsunięta od władzy na kolejnych siedem lat – przyp. Kurhaus.

von Dohnanyim, Rupertem Scholzem, nieżyjącymi już dziś Peterem Glotzem i hrabią Otto Lambsdorffem, Henkel założył Konwent dla Niemiec [Konvent für Deutschland]. Gremium to przyjęło sobie za cel poprawę sposobu reformowania kraju i opracowanie odpowiednich propozycji<sup>3</sup>. W styczniu 2004 roku Henkel odwiedził Merkel, która była już przewodniczącą Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej<sup>4</sup> [*Christlich Demokratische Union Deutschlands, CDU*], a zarazem szefową opozycji, w jej biurze w Reichstagu. Wymieniali poglądy. Rozmawiali przede wszystkim o propozycjach dotyczących federalizmu opracowanych przez ponadpartyjny Konwent dla Niemiec.

Korzystając z okazji Henkel, będący członkiem Amnesty International, zaapelował do Merkel, aby większą wagę zaczęła przywiązywać do kwestii praw człowieka. Opinia publiczna, całkiem słusznie, uważała, że prawa człowieka to przede wszystkim domena Zielonych. Henkel odniósł wrażenie, że ta jego osobista uwaga zainteresowała Merkel bardziej niż wypracowane przez Konwent propozycje ożywienia federalizmu, ograniczenia dominującej roli partii politycznych i zwiększenia uczestnictwa obywateli w procesie podejmowania decyzji politycznych. Być może Merkel wcale nie potrzebowała bodźca, by zająć się prawami człowieka. Może samej przyszłoby jej to do głowy. Jednak równie dobrze możemy przyjąć, że to właśnie ta rozmowa skłoniła ją do entuzjastycznego zaangażowania się w tę dziedzinę<sup>5</sup>. Merkel aktywnie włączyła się do

<sup>3</sup> Prace objęły siedem bloków tematycznych: Federalizm, Reformę budżetową, Prawa obywatela, Rolę partii politycznych, Prawo wyborcze i system wyborczy, Demokrację a grupy interesów oraz Zdolność działania Niemiec w Europie – przyp. Kurhaus.

<sup>4</sup> Przewodniczącą CDU Merkel została w 2000 r. Zastąpiła na tym stanowisku Wolfganga Schäuble, który pełnił tę funkcję od 1991 r. Warto przypomnieć okoliczności przejścia przez nią władzy w partii: stało się to po przegranych przez CDU wyborach w 1998 r. i po wybuchu politycznego skandalu z chrześcijańskimi demokratami w roli głównej. Okazało się bowiem, że wieloletni kanclerz Niemiec i zarazem jeden z autorów zjednoczenia, Helmut Kohl, promotor polityczny Merkel, stworzył w partii system „czarnych kas”. Na konta partii płynąć miały nielegalne subwencje: środki wpłacane przez anonimowych darczyńców (w latach 1993–1998 miało to być ok. 2,17 mln marek). Pieniężmi tymi następnie kanclerz obdzielać miał najbardziej lojalnych polityków. Przyszłość CDU stanęła pod znakiem zapytania. Wówczas Angela Merkel w artykule opublikowanym we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” skrytykowała politykę Kohla i również zamieszanego w aferę Wolfganga Schäuble i została wybrana (większością 96 proc. głosów) na przewodniczącą partii – przyp. Kurhaus.

<sup>5</sup> Po wygranych przez CDU/CSU wyborach do Bundestagu we wrześniu 2005 r., 22 listopada Angela Merkel została

polityki tuż po politycznym zwrocie w 1989 roku. W czasach NRD nie prowadziła jednak działalności opozycyjnej przeciwko łamiącemu prawa człowieka reżimowi.

W styczniu 2006 roku Merkel, już jako kanclerz federalny, wybrała się do Waszyngtonu na pierwsze spotkanie z prezydentem USA George'em W. Bushem. W tym czasie Hans-Olaf Henkel, który wielokrotnie bywał na Kubie, toczył spory o prawa człowieka, demokrację oraz gospodarkę rynkową z Fidelem Castro. W Hawanie angażował się szczególnie mocno w kwestię zniesienia kary śmierci, a jego sojusznikiem stał się Carlos Lage, jeden z najbardziej zaufanych ludzi kubańskiego przywódcy. Od 2003 roku na tej tropikalnej wyspie nie wykonano ani jednego wyroku śmierci, choć Lage ostatecznie popadł w niełaskę u braci Castro. Henkel zwrócił uwagę na Kubę, między innymi, gdy na jaw wyszły informacje o urągających ludzkiej godności warunkach, w jakich przetrzymywano jeńców w specjalnym obozie w amerykańskiej bazie wojskowej Guantanamo<sup>6</sup>. Adwokat z Bremy Bernhard Docke opowiedział mu o Muracie Kurnazu, urodzonym i wychowanym w Niemczech Turku, który w 2001 roku po zamachach na World Trade Center w Nowym Jorku wpadł w szpony pakistańskiej służby bezpieczeństwa. Ta przekazała go armii USA, odbierając za to wysoką nagrodę. Kurnaz został przewieziony właśnie do Guantanamo.

Docke jest niez mordowany w swych działaniach. Za zaangażowanie w obronę praw obywatelskich, praw człowieka oraz za walkę przeciwko rasizmowi i ksenofobii otrzymał nagro-

kanclerzem Niemiec. Stała na czele gabinetu utworzonego przez szeroką koalicję CDU/CSU - SPD. Rozpowszechnianie wartości demokracji, wolności i praw człowieka stało się, obok realizowania konkretnych interesów Niemiec, podstawowym elementem polityki zagranicznej jej gabinetu. Cele tej polityki przedstawiła w swym przemówieniu na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa 4 lutego 2006 r. Według jej wizji Niemcy miały być motorem procesu integracji europejskiej i jednocześnie pomostem w relacjach Europy z USA - przyp. Kurhaus.

<sup>6</sup> Baza Guantanamo znajduje się na terytorium Kuby dzierżawionym przez Stany Zjednoczone. obrońcy praw człowieka twierdzą, że więzienie w Guantanamo, gdzie Amerykanie przetrzymywali m.in. Afgańczyków powiązanych z Al-Kaidą, jest w rzeczywistości obozem koncentracyjnym. Artykuły prasowe o łamaniu praw człowieka i poddawaniu jeńców torturom zaczęły ukazywać się w międzynarodowej prasie od końca 2006 r., po tym jak Sąd Najwyższy USA wydał wyrok, w którym uznał, że przepisy, w myśl których funkcjonuje więzienie, są niezgodne z prawem międzynarodowym i że jak najbardziej powinny obowiązywać tam zapisy Konwencji Genewskiej o ochronie jeńców wojennych - przyp. Kurhaus.



dę Wenera Holtforta i nagrodę Uda Lindenbergera. Za to, co uczynił dla Murata Kurnaza uhonorowano go medalem Carla von Ossietzky'ego. Docke pracuje jako wspólnik w kancelarii adwokackiej Hannover i Partnerzy założonej przez adwokata i autora książek dla dzieci Heinricha Hannovera.

Nawet według ocen dwóch funkcjonariuszy Federalnej Służby Wywiadowczej (Bundesnachrichtendienst, BND) i pracownika Urzędu Ochrony Konstytucji (Bundesamt für Verfassungsschutz, BfV)<sup>7</sup>, którzy w 2002 roku przesłuchali Kurnaza w Guantanamo, został on tam osadzony wyłącznie dlatego, że znalazł się w niewłaściwym miejscu i o nieodpowiedniej porze. Późniejsze ustalenia Komisji Śledczej Parlamentu Europejskiego, które potwierdzają, że koalicyjny rząd SPD i Zielonych odrzucił amerykańską propozycję zwolnienia Kurnaza z Guantanamo, są dowodem na to, że rząd Schrödera i Fischera<sup>8</sup> troszczył się o prawa człowieka w niewielkim stopniu.

Wracając do 2006 roku – tuż przed wyjazdem Merkel do Waszyngtonu i jej pierwszym oficjalnym spotkaniem z Bushem, Henkel napisał do niej list z prośbą o to, by w rozmowie z amerykańskim prezydentem nie tylko wyraziła ubolewanie z powodu istnienia obozu w Guantanamo, lecz także zażądała uwolnienia Kurnaza. Już wcześniej zauważył, że [dzięki Merkel] Urząd Kanclerski stał się bardziej wrażliwy na informacje i dyskusje o prawach człowieka. Nadto, Henkel miał w nim sojusznika: Christopha Heusgena<sup>9</sup>, niezwykle zaangażowanego dyplomatę, świetnego partnera w dyskusjach o przypadkach pogwałcenia podstawowych wolności. W trakcie wizyty Merkel w Waszyngtonie prasa informowała o krytyce, której poddała warunki panujące w Guantanamo. Kilka miesięcy po jej interwencji u George'a W. Busha Kurnaz

<sup>7</sup> Pierwsza instytucja jest niemiecką agencją wywiadowczą, druga – kontrwywiadowczą – przyp. Kurhaus.

<sup>8</sup> Joschka Fischer – wicekanclerz i minister spraw zagranicznych w rządzie Schrödera (1998–2005) – przyp. Kurhaus.

<sup>9</sup> Dr Christoph Heusgen jest niemieckim dyplomatą, członkiem CDU i doradcą Merkel ds. polityki międzynarodowej – przyp. Kurhaus.

został zwolniony z więzienia.

W liście do Merkel Henkel zwrócił uwagę także na to, że jeśli ta skrytykuje Busha, stosunkowo łatwo będzie jej później występować przeciwko coraz bardziej jaskrawym naruszeniom praw człowieka przez rządzącego w Moskwie Władimira Putina. Jej poprzednik na stanowisku szefa rządu określił Putina jako „demokratę bez skazy”, co z pewnością nie zaszkodziło mu, gdy decydowano o obsadzie stanowiska przewodniczącego rady nadzorczej spółki córki rosyjskiego Gazpromu<sup>10</sup>: konsorcjum powołanego do budowy Gazociągu Północnego. Podczas wizyty w Moskwie Merkel bardzo mocno skrytykowała politykę Putina. Ściągnęło to na nią gromy ze strony przedstawicieli niemieckiego przemysłu, a szczególnie przyjaznej Putinowi Komisji Wschodniej. Jednocześnie jednak Merkel zyskała wielki szacunek. Zrobiła wrażenie nie tylko na Amnesty International i realizujących podobne cele organizacjach pozarządowych, ale także na samym Putinie. Fakt, że nie pozwoliła się onieśmielić ani jemu, ani usadzonemu blisko niej w trakcie wizyty na Kremlu psu<sup>11</sup>, który najwyraźniej miał ją pozbawić rezonu, z pewnością zainteresował rosyjskiego przywódcę bardziej niż regularne pokłony, jakie bili mu czołem inni niemieccy politycy i gospodarczy decydenci.

Także w trakcie swych licznych podróży do Chin Merkel poruszała takie tematy, jak wolność prasy i prześladowania dysydentów, i to nawet, gdy ewidentnie prowadziło to do rozdźwięku w dwustronnych relacjach. Gdy w październiku 2008 roku Parlament Europejski (PE) przyznał Nagrodę im. Sacharowa Hu Jia<sup>12</sup>, chińskiemu działaczowi na rzecz

<sup>10</sup> Na dwa tygodnie przed wyborami do Bundestagu we wrześniu 2005 r. kanclerz Niemiec Gerhard Schröder podpisał z prezydentem Rosji Władimirem Putinem umowę o budowie skrajnie niekorzystnego dla Polski, krajów bałtyckich i innych państw Europy Środkowo-Wschodniej Gazociągu Północnego. Tuż po przegranych wyborach został przewodniczącym rady nadzorczej spółki mającej realizować projekt. Był to w Niemczech wielki skandal – przyp. Kurhaus.

<sup>11</sup> Angela Merkel panicznie boi się psów – przyp. Kurhaus.

<sup>12</sup> Hu Jia został aresztowany w 2007 roku, a rok później skazany na trzy i pół roku więzienia za rzekome podżeganie do obalenia władzy państwowej. Zwolniono go z więzienia dopiero w 2011 r. Nagrodę im. Sacharowa za wolność myśli Parlament Europejski przyznaje od 1988 r. osobom szczególnie zasłużonym w walce na rzecz praw człowieka

ruchu demokratycznego, kanclerz Niemiec przypadkowo znajdowała się w Pekinie. Wbrew protokolarnym niuansom z zachwytem wypowiadała się przed kamerami o decyzji PE. Wywołało to dużą nerwowość u gospodarzy, jak również niepokój u towarzyszących jej w podróży przedstawicielei biznesu. Pomrukiwali oni, że Gerhard Schröder nie zrobiłby czegoś takiego. Mieli rację. A jednak żadna niemiecka firma nie straciła kontraktu. Okazuje się, że despoci pogardzają raczej zachodnimi politykami, którzy padają przed nimi na kolana – takimi jak Sigmar Gabriel, szef SPD i minister gospodarki<sup>13</sup>, który podczas swej wizyty w Kairze na początku 2016 roku określił dążącego do dyktatury prezydenta Egiptu Sisiego<sup>14</sup> jako „osobowość robiącą duże wrażenie”.

Naszym zdaniem jeszcze żaden niemiecki szef rządu nie działał tak intensywnie w obronie praw człowieka i nie przysłużył się sprawie tak bardzo – zarówno w wymiarze ogólnym, jak i jednostkowym – jak Angela Merkel. Kiedy jako pierwszy szef niemieckiego gabinetu miała odwagę, mimo gwałtownych protestów chińskiego rządu, przyjąć w Urzędzie Kanclerskim Dalajlamę, wielu komentatorów uznało to za samobójczego gola w stosunkach chińsko-niemieckich. Oczywiście z Pekinu płynęły sygnały niezadowolenia, ale czy da się uzasadnić tezę, że Rosjanie i Chińczycy nie traktują Merkel poważnie?

Jako dobry przykład działań pani kanclerz należy wymienić jej zaangażowanie w sprawę Aiego Weiweia, chińskiego artysty conceptualnego i działacza praw człowieka, który zaginął w tajemniczych okolicznościach na początku

i wolności – przyp. Kurhaus.

<sup>13</sup> W trzecim rządzie Merkel Gabriel jest wicekanclerzem i ministrem gospodarki i technologii Niemiec. W pierwszym rządzie Merkel, w latach 2005–2009, był ministrem środowiska, ochrony zasobów naturalnych i bezpieczeństwa jądrowego – przyp. Kurhaus.

<sup>14</sup> Abd el-Fattah es-Sisi był przywódcą zamachu stanu z 2013 r., a od 2014 r. jest prezydentem Egiptu. Mówi się, że stłumił trwającą dwa lata arabską wiosnę, usuwając wybranego w wolnych wyborach prezydenta Muhammada Mursiego. Sisi twierdzi, że w najbliższym ćwierćwieczu nie będzie możliwe wprowadzenie demokracji w Egipcie – przyp. Kurhaus.

2011 roku<sup>15</sup>. Przypadek ten jest wart wspomnienia, ponieważ ujawnia wiele nowych i ważnych informacji nie tylko o samej Merkel, lecz także o polityce chińskich przywódców. Po zaginięciu Aięgo Weiweia właściciel berlińskiej galerii Alexander Ochs, przedsiębiorca Jochen Noth, sinolog prof. Michael Lackner, a także Hans-Olaf Henkel zainicjowali utworzenie „Apelu Berlińskiego”. Wraz z berlińską sekcją Amnesty International Henkel i jego żona Bettina demonstrowali przed Bramą Brandenburską. Na transparencie, który trzymali w rękach, wielkimi literami wypisano: „Gdzie jest Ai Weiwei?”. Gdy się okazało, że został zatrzymany z naruszeniem prawa przez chińskie władze, działacze „Apelu Berlińskiego” nasilili swoje akcje. Wysłali żądanie: „Uwolnijcie Aięgo Weiweia!”. Jednocześnie utrzymywali regularne kontakty z Urzędem Kanclerskim. Nie wchodząc w szczegóły (jako że ich ujawnienie mogłoby zagrozić tym, którzy są zaangażowani w obronę ludzi pozbawionych przysługujących im praw), należy podkreślić, że wszyscy, którzy zabiegali o uwolnienie Aięgo, uważają, iż Angela Merkel była nie tylko ich zaangażowanym sojusznikiem, lecz być może przywódcą całej akcji.

Po 81 dniach Ai Weiwei odzyskał wolność. Wkrótce potem Hans-Olaf Henkel spotkał się z artystą w jego pekińskim atelier<sup>16</sup>. Widywali się już wcześniej u Szwajcara Ulięgo Sigga, najbardziej chyba znaczącego kolekcjonera współczesnej sztuki chińskiej. Ai uściskał Henkela i oświadczył: „Wiem, że wolność zawdzięczam głównie Niemcom!”. Ponieważ w uwolnienie tego światowej sławy artysty i działacza praw człowieka zaangażował się prawie cały świat, możemy jako Niemcy być dumni z tego komplementu. Należy się on jednak naszej kanclerz.

<sup>15</sup> Ai Weiwei, który po trzęsieniu ziemi w Syczuanie nagłaśniał liczne nieprawidłowości dotyczące sposobu budowy szkół w prowincji, został zatrzymany w kwietniu 2011 r. pod pretekstem unikania opodatkowania, bigamii, rozpowszechniania pornografii i innych. Po interwencji Stanów Zjednoczonych, Niemiec i Wielkiej Brytanii został zwolniony z więzienia za kaucją – przyp. Kurhaus.

<sup>16</sup> Po uwolnieniu Weiweia jeszcze przez rok miał zakaz opuszczania Pekinu – przyp. Kurhaus.

Do uwolnienia Aiego Weiweia doszło pod pewnymi warunkami. Między innymi jego dom musiał pozostawać pod stałą obserwacją kamer. Gdy Henkel za pomocą swojego smartfona sfotografował artystę pod jedną z nich, Ai zwrócił mu uwagę, że teraz także i on stał się celem obserwacji. Tuż przed kontrolą paszportową na lotnisku w Pekinie Henkel, wyjeżdżając z Chin, po raz pierwszy w życiu, poczuł się nieswojo.

Ai musiał regularnie znosić szykany ze strony władz. Należały do nich aresztowania jego najbliższych współpracowników i adwokatów. Wprawdzie kilka tygodni po zwolnieniu z więzienia mógł już podróżować po kraju, nie mógł jednak wyjechać za granicę. Władze odebrały mu paszport. Parę miesięcy później Ai Weiwei wysłał do Berlina swoją partnerkę Wang Fen i ich syna Aiego Lao. Wprowadzili się do mieszkania w dzielnicy Mitte. Pięcioletni wówczas chłopiec został zapisany do szkoły międzynarodowej. Już kilka lat wcześniej Ai kupił rozległe piwnice opuszczonego berlińskiego browaru, by uczynić z nich swoją drugą po pekińskim atelier artystyczną bazę. Inną pracownię plastyka – szanghajską – władze zdążyły zniszczyć. Teraz matka i syn wyczekiwali z tęsknotą na przyjazd Aiego Weiweia. Ich rozstanie bardziej znośnym czynił Face Time – spotykali się codziennie w internecie. Co rusz wydawało się, że Ai jest coraz bliżej odzyskania paszportu. Jednak czas płynął, a nadzieje na połączenie rodziny w Berlinie gasły. Rosło rozczarowanie.

Aktywiści „Apelu Berlińskiego” przenieśli więc swój protest na wyższy poziom. „Zwróćcie Aiemu Weiweiowi jego paszport!”, brzmiało odtąd główne hasło demonstrantów. Ponownie w sprawę włączono Urząd Kanclerski. Za każdym razem, gdy kanclerz wybierała się do Chin lub gdy w drogę do Niemiec szykowała się delegacja chińska pod przewodnictwem prezydenta lub premiera, działacze „Apelu Berlińskiego” prosili pełnomocnika ds. praw człowieka w Ministerstwie

Spraw Zagranicznych albo Christopha Heusgena z Urzędu Kanclerskiego, by w rozmowach z Chińczykami poruszono temat zwrotu paszportu Aiemu Weiweiowi. Wiosną 2015 roku Henkel rozmawiał o tym z ambasadorem Chin przy Unii Europejskiej, zapowiadając jednocześnie, że zamierza spowodować, by PE przyjęło specjalną rezolucję w tej sprawie. Jej celem miało być pozyskanie poparcia większości z 751 europosłów dla wezwania: „Zwróćcie Aiemu Weiweiowi jego paszport!” [ang. „Give Ai Weiwei his Passport back!”].

Gdy w lipcu 2015 roku grupa przedstawicieli PE szykowała się do planowanej od dłuższego czasu podróży do Chin, Henkel postarał się o zaproszenie jako członek frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR). Dziewięciu europosłów z szefem delegacji Jo Leinenem<sup>17</sup> na czele i Reinhardem Bütikoferem<sup>18</sup> jako jego zastępcą wyruszyło najpierw do Pekinu. W programie było m.in. zwiedzenie wystawy w artystycznej dzielnicy „798” w Dashanzi, w ramach której wystawiano również dzieła Aiego Weiweia. Oczywiście nietypowy jak na tego typu delegację wypad został wcześniej uzgodniony z artystą. Namówienie go do spotkania z europosłami stanowiło pewien wysiłek. Ai zdawał sobie sprawę, podobnie jak przedstawiciele ambasady UE w Pekinie i posłowie UE, że będzie ono bacznie obserwowane przez władze. Kontakt unijnej delegacji z najbardziej znanym dysydem Chin może wywołać trudne do przewidzenia reakcje. W końcu jednak zdecydował się przyjść. Spotkanie przedstawiono oficjalnie jako wydarzenie towarzyskie mające na celu zaznajomienie europosłów z dorobkiem wielkiego chińskiego artysty, a nie działacza na rzecz praw człowieka.

Nie tylko kanclerz Niemiec, ale także przedstawiciele Komisji Europejskiej (KE) czy PE uważają za oczywiste po-

<sup>17</sup> Jo Leinen to polityk SPD - przyp. Kurhaus.

<sup>18</sup> Reinhard Bütikofer w latach 2002–2008 był współprzewodniczącym Związku 90/Zielonych. W 2009 r. został wiceprzewodniczącym grupy Zielonych i Wolnego Sojuszu Europejskiego - przyp. Kurhaus.

ruszanie kwestii praw człowieka w rozmowach z chińskimi władzami. Po intensywnych naradach z Aiem Weiweiem uzgodniono, że w następnych dniach delegacja będzie, tak jak planowała, mówić o wolności prasy i pytać o losy dysydentów, szczególnie aresztowanych wcześniej adwokatów, jednak nie będzie podejmować kwestii paszportu Aiego Weiweia. Tak rekomendował zresztą sam artysta. Uważał, że zarówno działania ambasady Niemiec, a tym samym niemieckiego rządu, jak i spotkanie delegacji z nim na wystawie w pekińskiej dzielnicy artystów stanowiły już wystarczającą presję na chińskie władze. Dalsze ich konfrontowanie mogłoby przynieść efekt odwrotny do zamierzonego. Choć wszyscy członkowie delegacji mieli w swych „notatkach” sprawę paszportu dla Aiego Weiweia, trzymali się tych ustaleń.

Dwa dni później, w trakcie pożegnalnej kolacji wydanej dla europejskiej delegacji przez lokalnego przywódcę partyjnego i jego współpracowników, wyciszony smartfon Henkela krótką wibracją poinformował o nadejściu e-maila. Henkel otworzył wiadomość i ujrzał na wyświetlaczu zdjęcie. Położył urządzenie na krawędzi elektrycznie napędzanego bufetu pośrodku stołu. W wielu chińskich restauracjach panuje zwyczaj przesuwania potraw na kręcących się tacach tuż przy talerzach gości, tak by każdy mógł się poczęstować tym, na co akurat ma ochotę. Tego wieczoru także silniczek elektryczny zapewniał rotację, by wszyscy goście mogli w równym stopniu rozkoszować się bogatą ofertą chińskich przysmaków. Członkowie delegacji po kolei podnosili więc smartfon Henkela położony przez niego tuż obok przesuwających się dań. Z wielką satysfakcją mogli zobaczyć najnowsze selfie Aiego Weiweia: ukazywało jego uśmiechniętą twarz i uniesioną wysoko lewą rękę, w której trzymał paszport.

Oczywiście także przedstawiciele lokalnych władz podnosili telefon do oczu. Wszyscy jednak szybko go odkładali, robiąc przy tym taką minę, jakby właśnie spróbowali cze-

goś niestrawnego. Europosłów ogarnął niesamowity nastrój. Henkel uważa, że był to jego pierwszy sukces w PE. Nie miał jednak żadnych złudzeń: bez zaangażowania kanclerz Merkel Ai Weiwei do dziś nie odzyskałby wolności, a już na pewno nie mógłby mieszkać w Berlinie.

Jako autorzy książki, którą Czytelnicy trzymają właśnie w rękach, chcemy zapewnić, że oceniamy politykę Angeli Merkel bez żadnych uprzedzeń. Bóg nam świadkiem, że nie obarczamy pani kanclerz wyłączną odpowiedzialnością za wszystko, co opisujemy.

Pragniemy jednak zwrócić uwagę na pewne dramatyczne zwroty w postawie Merkel – nazywamy je zwrotami o 180°. Jeden z najbardziej spektakularnych nastąpił w sprawie „Erdogan przeciw Böhmermannowi”<sup>19</sup>. Nikt, oprócz może najgorliwszych partyjnych popleczników kanclerz, nie zaprzeczy, że czynnikiem, który uczynił ją podatną na szantaż, jest polityka wobec uchodźców, jaką prowadzi jej rząd. Naszym zdaniem jednym z największych błędów obecnej kadencji Merkel jest to, że pod naciskiem tureckiego rządu, w trakcie rozmowy telefonicznej z jego premierem, wyrzuciła za burtę podstawowe wartości, na których straży stała wcześniej. Za ich ochronę tak bardzo chwaliliśmy ją na początku tego rozdziału. To prawda – Merkel stanęła przed praktycznie niemożliwym do rozwiązania dylematem. Postawiona przed wyborem: czy dopuścić do tego, by Erdogan zniszczył kolejny filar jej polityki migracyjnej, czy skonfliktować się z niemieckimi mediami, zdawała sobie sprawę, że obie opcje są złe. Choć zgodziła się na to, by prokuratura rozpoczęła dochodzenie przeciwko Böhmermannowi za jego żarty, to jednocześnie – by osłabić falę krytyki ze strony czwartej władzy, czyli mediów – obieca-

<sup>19</sup> W kwietniu 2016 r. Angela Merkel przeprosiła prezydenta Turcji Tayyipa Erdogana za żarty satyryka Jana Böhmermanna wyemitowane w jego programie „Neo Magazin Royale” w telewizji ZDF. Zgodziła się też na ściganie komika przez prokuraturę za zniewagę zagranicznego przywódcy (przewiduje to par. 103 niemieckiego kodeksu karnego). Böhmermann w swym wierszyku o Erdoganie nazwał go m.in. „prezydentem zoofilem”. Wywołało to reakcję tureckiej dyplomacji. Więcej na ten temat: <http://www.dw.com/pl/szyderstwo-z-turk%C3%B3w-i-polak%C3%B3w-die-welt-polak%C3%B3w-nie-przeproszono/a-19178898> [dostęp: 6.10.2016] – przyp. Kurhaus.



ła znieść te przepisy kodeksu karnego, na podstawie których organy ścigania mogą wszczynać postępowania w sprawie obrazy głowy obcego państwa<sup>20</sup>.

Nie tylko my zastanawialiśmy się, co to wszystko ma znaczyć? Skoro jest przeciwko karaniu za obrazę majestatu, to czy nie powinna była być konsekwentna i zabronić ewidentnego i niesmacznego naciągania prawa? „Możecie mnie zwymyślać, ale dajcie mi spokój” – brzmi jej dewiza. Nie chcemy sugerować, że dokonanie innego wyboru w tym przypadku byłoby dobre. Zgadza się, że obie opcje były fatalne. Jednak Merkel na własne życzenie znalazła się między młotem a kowadłem. Tak samo było zresztą, gdy pod presją Francuzów pozwoliła się wmanewrować w odwlekanie w czasie zakazu finansowania przez Niemcy długów krajów strefy euro<sup>21</sup> lub gdy zaprosiła do Niemiec – pod wpływem wzruszających zdjęć – uchodźców koczujących na Dworcu Głównym w Budapeszcie.

Nie uważamy, aby niemiecki parlament [Bundestag] był zobowiązany do wypowiedzania się na temat zbrodni, jakich ponad sto lat temu dokonywały inne narody. Rzeź Ormian uważamy za ludobójstwo, jednak przyznanie tego i uporańie się z konsekwencjami leży w gestii parlamentu Turcji, nie Niemiec. Kiedy Bundestag głosował nad rezolucją w tej sprawie, Angela Merkel kryła się w cieniu. Choć zawsze chętnie angażuje się w obronę wolności słowa, tym razem było inaczej, bo za sprawą swojej polityki wobec uchodźców popadła w koszmarną zależność od Erdogana. Jak słusznie zauważył w swym liście do redakcji jeden z czytelników „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, prezentowała sobą „żałosny obraz”.

Hipokryzję w podejściu do problemu uchodźców zarzuca jej wielu europejskich polityków. Jego wyrazem było za-

<sup>20</sup> Paragraf 103 niemieckiego kodeksu karnego ma być zlikwidowany do 2018 r. – przyp. Kurhaus.

<sup>21</sup> Po utworzeniu unijnych pakietów pomocowych i latach finansowania europejskich kryzysów w dużym stopniu z niemieckiej kasy, ostatecznie w 2015 roku, po ogłoszeniu przez Grecję, iż jej sektor bankowy potrzebuje co najmniej 25 mld euro zastrzyku finansowego, Niemcy wymusiły na Europejskim Banku Centralnym decyzję, by zablokować tego typu transfery. Wywołało to silny spór pomiędzy Niemcami a Francją – przyp. Kurhaus.

proszenie do Niemiec, bez wcześniejszego skonsultowania tego z europejskimi partnerami, setek tysięcy uciekinierów. Dopiero później, chcąc rozesłać tych ludzi do innych krajów, Merkel zaczęła powoływać się na europejską solidarność. Uważamy, że dużo jest obłudy w pochwałach, jakie organizacje praw człowieka kierują pod adresem kanclerz za to, że utrzymuje ona otwarte granice Niemiec. Wiemy przecież, że choć krytykuje ona inne państwa za stawianie płotów na granicach, to jednocześnie skwapliwie korzysta z tych zabezpieczeń: dzięki nim może pochwalić się malejącą liczbą uchodźców napływających do Niemiec. We wzmiankowanym liście czytelnika do „Frankfurter Allgemeine Zeitung” padają też słowa: „Ponieważ w ten sposób Merkel nie posuwa się do przodu, uprawia sztukę oportunistycznego dreptania w miejscu, pozostając przy tym cały czas na głównym kursie”.

Obłudna wydaje się nam także reakcja mediów – jeśli nie wręcz większości społeczeństwa – na niesmaczną satyrę Böhmermanna wygłoszoną w publicznej telewizji niemieckiej ZDF.

Czyżby zaangażowanie Merkel na rzecz obrony praw człowieka, Kurnaza, Ai Weiweia i jego przyjaciół oraz uchodźców, którzy utknęli na Dworcu Głównym w Budapeszcie, wywodziło się nie tyle z głębokiego moralnego impulsu, ile raczej z politycznej kalkulacji? Być może właściwym terminem określającym jej działanie kosztem innych byłaby hipokryzja? Latem 2015 roku gotowość Merkel do niesienia pomocy koczującym na budapeszteńskim dworcu uchodźcom tłumaczono „przejmującymi do granic wytrzymałości obrazami”. Ale przecież ci ludzie mieli przynajmniej dach nad głową. Znacznie bardziej brutalne zdawały się zdjęcia pokazujące tysiące uchodźców tkwiących w lodowatym zimnie, deszczu i błocie w Idomeni na granicy grecko-macedońskiej. Czyżby oni nie zasługiwali na litość Merkel? Może też uchodźcy, zamiast pluszowych misiów i kwiatów, powinni byli dosta-

wać na monachijskim dworcu głównym suche ubrania i koce, a chorzy zostać otoczeni opieką medyczną?

Nic tak nie demaskuje polityki Merkel jak jej wypowiedź z maja 2015 roku, którą próbowała ona udowodnić sukces forsowanego przez siebie układu z Turcją. „Od podpisania układu utonęło tylko siedmiu uchodźców!”, skonstatowała. Obcy jest nam jakikolwiek cynizm, nie da się jednak nie zinterpretować tej wypowiedzi jednoznacznie. Przecież Merkel dobrze wie oczywiście, że każdy uchodźca, który utonął, to i tak jeden za dużo. Czy zdaje sobie sprawę, że tym zdaniem sama na siebie zastawiła pułapkę? Takie postawienie sprawy rodzi bowiem pytanie pytanie: ilu uchodźców utonęło wcześniej, bo wierzyli, że mogą skorzystać z zaproszenia Merkel?

Przykład obozu w Idomeni pokazuje, że tym, czego nie mogli zdzierżyć Niemcy, nie były wcale obrazy ludzi stojących przy granicznym płocie, ale widmo wzbierającej rzeki uchodźców<sup>22</sup>. Państwo postanowiło zapobiegać dalszemu napływowi muzułmańskich uciekinierów. Merkel pożegnała się z rolą matki Teresy!

## ROZDZIAŁ 2.

### ANGELA MERKEL RATUJE UCHODźCÓW

Zaproszenie wystosowane do uchodźców całego świata przez Angelę Merkel wywołało zdumienie nie tylko w naszym kraju. Co rusz w Strasburgu i Brukseli zagraniczni koledzy zadawali nam pytanie, dlaczego kanclerz Merkel unieważniła układ z Dublinem, dlaczego za pomocą obrazów (a odnosiło się to do niezliczonych selfie z uchodźcami), słów i czynów zaprosiła do Niemiec uchodźców z Syrii, Afganistanu, Afryki oraz Bałkanów. Ciekawiło to nie tylko dlatego, że otwarcie na oścież

<sup>22</sup> Gdy wiosną 2016 r. Macedonia, przez którą wiodła droga uchodźców do Europy Zachodniej i Północnej, zamknęła swe granice, w obozie Idomeni utknęło mnóstwo uchodźców. Angela Merkel poinformowała, że Niemcy nie przyjmą tych ludzi, gdyż „migranci nie mają prawa wyboru kraju, w którym mogą otrzymać azyl” – przyp. Kurhuas.

bramy przed imigrantami zaszkodziło innym państwow europejskim. Uchodźca, który przybywa do Niemiec, może przecież bez przeszkód pojechać do Francji, Belgii, Holandii czy Polski. Te pytania dotyczą też Niemców jako narodu. Chyba żaden Francuz, Belg czy Holender nie wpadłby na pomysł, by bić brawo swojemu szefowi rządu za to, że zaprosił ludność świata do wędrówki prowadzącej przez ich kraj. Oczywiście, być może Merkel po prostu popełniła błąd. Przyznaniem się do niego byłaby zmiana kursu. Nikomu nie przychodzi to z łatwością, tym bardziej gdy trzeba to uczynić na oczach całego społeczeństwa. Być może Merkel, podobnie jak wielu innych polityków, nie jest po prostu w stanie powiedzieć, że się myliła. Zwłaszcza że otwarcie bram dla setek tysięcy, jeśli nie milionów, uchodźców i ciągnących za nimi rodzin, było pomyłką gigantycznych rozmiarów. Wygląda na to, że kanclerz Merkel trzymając kierownicę, straciła na chwilę ogłęd sytuacji i źle skręciła. Droga prowadzi w ślepią uliczkę.

Spokojne rządy Merkel po „zygzakowatym” kursie jej poprzednika Gerharda Schrödera były miłą odmianą. Jednak dziś to nie wystarczy. W polityce, tak jak przy sterze zagłowca czy kierownicy auta, należy nie tylko być pewnym, ale też utrzymywać właściwy kurs. Niestety, w obecnej sytuacji sprawna ręka nie wystarczy, by wrócić na dobrą drogę – nawet „korzystając z objazdu” na koszt podatnika, jak to wcześniej bywało. Potrzebny byłby gwałtowny zwrot o 180° i to na oczach wszystkich. Merkel musiałaby ogłosić kres polityki otwarcia na uchodźców, musiałaby przyznać, że istnieje jakaś górna granica przyjmowania uciekinierów z całego świata, musiałaby wreszcie zrobić to, czego wprawdzie ciągle żąda w odniesieniu do zewnętrznych granic Unii Europejskiej, ale czego nie zaakceptowała w wykonaniu premiera Węgier Orbána, czyli – zamknąć granice choćby na określony czas.

A jednak kanclerz nie zrobiła tego. Pojawiało się więc pytanie: „dlaczego?”. Nie chciała, czy też nie mogła? Tylko ona

sama znała odpowiedź. Był to nieustanny temat rozmów wewnątrz naszej partii „Sojusz dla Postępu i Przebudzenia” (ALFA)<sup>23</sup>, wśród członków frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR) w Parlamencie Europejskim, a także wśród posłów innych frakcji, szczególnie tych z Europejskiej Partii Ludowej (EPL). Pytanie to zadawali liczni deputowani, a także znani przedstawiciele CDU/CSU, kręcąc przy tym z dezaprobatą głowami.

Wreszcie 28 lipca 2016 roku na konferencji prasowej poświęconej „dziewięciopunktowemu planowi walki z terroryzmem” Merkel udzieliła, tak to zrozumieliśmy, jednoznacznej odpowiedzi na owo pytanie. Niczym mantrę powtarzała słowa „Damy radę!” w odniesieniu do społecznych i politycznych skutków swojej polityki wobec uchodźców. Tę pigułkę uspokajającą zaproponowała w celu złagodzenia lęków zaniepokojonego terrorystycznymi zamachami społeczeństwa. Dziennik „FAZ” skonstatował: „W kwestii uchodźców nic nie zostało zrobione, po tym jak kanclerz odpowiednio poluzowała swój «humanitarny imperatyw» sugerując, by inne kraje zweryfikowały swoją politykę wobec uchodźców... Jakie znaczenie mają słowa Merkel, gdy mówi: „Damy radę terrorowi”? Przecież codziennie napływają z całego świata informacje, które potwierdzają, że jednak nie dajemy rady islamskiemu terrorowi”.

Angela Merkel nie jest w stanie, albo nie chce przyznać, że popełniła katastrofalny błąd. I żeby nie dopuścić do pojawienia się myśli, że jednak mogła się mylić, chce teraz przemienić swój entuzjazm osobisty w entuzjazm ogólnonarodowy. Zamiast przyznać, że wśród setek tysięcy niezarejestrowanych uchodźców do Europy mogli także wjechać terroryści, rości sobie prawo do wydawania rozkazów prowadzących do osta-

<sup>23</sup> Konserwatywno-liberalny „Sojusz dla Postępu i Przebudzenia” [Allianz für Fortschritt und Aufbruch, ALFA] został założony w lipcu 2015 r. Szefem partii jest Bernd Lucke. ALFA zamierza wystawić swoich kandydatów w wyborach do Bundestagu w 2017 r. – przyp. Kurhaus.

tecznej likwidacji terroryzmu. Nie pierwszy raz pani kanclerz rości sobie do czegoś prawa.

Łatwiej zrozumieć postawę Merkel, gdy bliżej przyjrzy się jej innym osobliwym decyzjom. Ich wspólną cechą jest leżące u ich źródła przekonanie, że Niemcy jako naród muszą ratować resztę świata i być wzorem dla innych. W efekcie lekkomyślnie podminowuje ona nie tylko konkurencyjność kraju na światowych rynkach, ale i jego dobrobyt. Analogicznie do tego jak zmniejsza się nasze znaczenie w gospodarce, rosnać powinna nasza moralna pozycja! Merkel, tak chwalona za ratowanie uchodźców, otarła się w 2015 roku o Pokojową Nagrodę Nobla. Z jej pomocą Niemcy awansowały do roli moralnego supermocarstwa.

To, że przy okazji w jej kraju nie dba się o interesy obywateli, którzy ją wybrali, coraz bardziej dziwi zagranicznych obserwatorów. Jednak wśród samych Niemców rzecz nie wywołuje większego poruszenia.

### ROZDZIAŁ 3.

#### ANGELA MERKEL RATUJE ŚWIATOWY KLIMAT

W 1995 roku w Berlinie odbył się pierwszy światowy szczyt klimatyczny. Już wtedy Merkel domagała się szybkiego ograniczenia wpływającej na globalny klimat emisji dwutlenku węgla (CO<sub>2</sub>) do atmosfery, przeniesienia transportu z dróg na szyny, a nawet wprowadzenia myta dla kierowców samochodów. W 1997 roku Henkel był wraz z Merkel na szczycie klimatycznym w Kyoto: ona znalazła się tam jako minister środowiska, on jako prezes Federalnego Związku Przemysłu Niemieckiego (BDI). Z punktu widzenia organizacji ekologicznych Merkel była wówczas politykiem zaangażowanym w ideę ochrony środowiska. Jednak z perspektywy biznesu była także rozsądnym politykiem. Jej poprzednik na stanowisku, Klaus Töpfer, prawdopodobnie także zdaniem kanclerza

Helmuta Kohla zbyt otwarcie stawał po stronie WWF, NaBu, Greenpeace i innych organizacji pozarządowych.

Gdy już nawet przewodniczący frakcji CDU Wolfgang Schäuble zaczął publicznie „zastanawiać się” nad wprowadzeniem narodowego (!) podatku ekologicznego, w gospodarce zapaliły się czerwone światełka alarmowe. Merkel, która z wykształcenia jest fizykiem, jako nowa minister środowiska na pewno zachęcana była przez Kohla do tego, by nie tracić z oczu konkurencyjności niemieckiego przemysłu. Szybko pojęła, że plany obciążenia niemieckiego biznesu daniną na rzecz ochrony środowiska, a także dyskutowane na świecie cele polityki klimatycznej, stanowią wyjątkowe zagrożenie zarówno dla krajowego przemysłu, wykorzystującego w szczególnie intensywnym stopniu energię, jak i dla całej gospodarki oraz rynku pracy w Niemczech. Wystąpiła przeciwko podatkowi ekologicznemu i opowiedziała się za wprowadzeniem w to miejsce limitów emisji CO<sub>2</sub> dla poszczególnych branż. Poparła więc efektywizację wykorzystania energii, a nie przyduszanie produkcji.

Wyjaśnijmy to na pewnym przykładzie. Rząd federalny dążył do tego, by zamiast określać górną granicę produkcji cementu, doprowadzić do tego, by w przyszłości przy okazji wytwarzania każdej kolejnej tony tego surowca, do atmosfery emitowana była coraz mniejsza ilość dwutlenku węgla. Oczywiście, pierwsze podejście zmniejszyłoby emisję CO<sub>2</sub>, jednak rezultatem jego zastosowania musiałoby być przeniesienie niemieckich cementowni za granicę. Wtedy – paradoksalnie – ilość CO<sub>2</sub> wydzielanego do atmosfery by wzrosła. Powołana wcześniej przez Bundestag komisja ustaliła, że gdyby cały świat stosował obowiązujące w niemieckim przemyśle standardy dotyczące ochrony środowiska naturalnego, to można by zmniejszyć emisję CO<sub>2</sub> na świecie o 17 procent. Udział Niemiec w ogólnoświatowej emisji gazów cieplarnianych do atmosfery wynosi mniej niż 3 procent. Skoro niemieckie

cementownie znacznie bardziej niż zakłady w innych państwach chronią środowisko naturalne, oznacza to, że przeniesienie niemieckich cementowni za granicę musiałoby doprowadzić do zwiększenia emisji CO<sub>2</sub>. Merkel rozumiała, że w obliczu globalizacji gospodarki z jednej strony i globalizacji problemów klimatycznych z drugiej narodowy podatek ekologiczny był nonsensem.

Zamiast więc posłuchać organizacji ekologicznych, uchwalić prawa, których się domagały, i zasypać gospodarkę związaną z tym biurokracją, Merkel uzgodniła z BDI w 1997 roku „dobrowolne zobowiązanie przemysłu” do redukcji emisji CO<sub>2</sub> do atmosfery o 25 proc. do 2005 roku. A żeby nie zaszkodziło to konkurencyjności niemieckiej gospodarki, Merkel i BDI wspólnie zabiegali w 1998 roku na szycie klimatycznym w Kyoto o to, by podobne zobowiązania przyjęły także inne kraje.

Tym bardziej zdumiewa, że z czasem kanclerz Angela Merkel urosła do roli „ratowniczkii klimatu światowego” i wyrzuciła za burtę wszystkie swoje wcześniejsze poglądy. Oszczędzimy Czytelnikom wyliczania odbywających się w najróżniejszych luksusowych hotelach na całym świecie konferencji klimatycznych, w których uczestniczą tysiące polityków, urzędników, działaczy ochrony środowiska i dziennikarzy. Ich celem zawsze było zabieganie o ograniczenie emisji dwutlenku węgla przez kolejne kraje oraz zapobieganie konfliktom między państwami uprzemysłowionymi, nowo uprzemysłowionymi (progowymi) i rozwijającymi się. Nie krytykujemy wcale ich założeń. Przeciwnie, zgadzamy się z tym, o czym przekonuje większość naukowców: że podwyższone stężenie CO<sub>2</sub> w powietrzu nie dość, że wynika z działalności człowieka, to prowadzi jeszcze do globalnych zmian klimatycznych.

Polityka klimatyczna i energetyczna rodzi jednak także negatywne skutki dla konkurencyjności niemieckiego przemysłu. W roli wiarygodnego świadka przedstawiamy



tym razem nie Związek Przemysłu Niemieckiego (BDI) czy niemieckie instytuty badań nad gospodarką, ale Michaela Vassiliadis, przewodniczącego związku przemysłu wydobywczego, chemii i energii (IG BCE) reprezentującego 650 tys. członków. Zasiadając w radach nadzorczych wielu spółek, Vassiliadis bezpośrednio odczuwa skutki niemieckiej polityki klimatycznej. Przy okazji warto wspomnieć, że jest on członkiem SPD. W 30. rocznicę utworzenia federalnego ministerstwa środowiska skrytykował on próby wyciągania przez rząd Niemiec wniosków z postanowień ostatniej konferencji klimatycznej w Paryżu, jakoby jeszcze szybciej chciano osiągnąć pewne cele klimatyczne. Przeciwnie. Jak relacjonował jego wypowiedzi „FAZ”, Vassiliadis nie dostrzegł, by „ktokolwiek na świecie chciał skopiować niemiecki model”. Wysokie dodatkowe koszty związane z wspieraniem rozwoju ekologicznej energii elektrycznej i rosnące wydatki na bezpieczeństwo dostaw mogą doprowadzić do „przeciążenia gospodarki i społeczeństwa”. Ale na tym nie koniec.

Vassiliadis w polityce klimatycznej Merkel dostrzegł także powód wzrostu wpływów partii Alternatywa dla Niemiec (AfD). Jej członkowie twierdzą, że nie istnieje coś takiego jak globalne ocieplenie. Podobnie jak my, Vassiliadis ostrzega przed „podporządkowywaniem wszystkich obszarów polityki planom ochrony klimatu, jakby to Niemcy musiały ratować świat”! Także ministrowie gospodarki w niemieckich krajach związkowych oświadczyli w czerwcu 2016 roku, że przedstawiony przez rząd katalog środków ochrony środowiska niesie z sobą „znaczne ryzyko dla niemieckiej gospodarki”.

Opublikowany w czerwcu 2016 roku projekt oficjalnego federalnego planu klimatycznego Niemiec do 2050 roku był nie tylko oderwany od realiów, lecz po prostu nieodpowiedzialny. Przewidywał on, że do tego czasu cała energia będzie pozyskiwana ze źródeł odnawialnych. Liczba wiatraków w Niemczech miała według niego zostać zwielokrotniona

(choć nie wiadomo, w jakim stopniu), podobnie zresztą jak liczba masztów energetycznych i linii przesyłowych. Plan oczywiście zakładał „wizualne” zaśmiecenie krajobrazu, ale miało się to dokonać w szczytnym celu. Całkowicie zakazane miały zostać palniki olejowe i gazowe. Według planu dwutlenek węgla z procesów przemysłowych miał być w jakiś sposób kierowany do ziemi i tam składowany pod wysokim ciśnieniem<sup>24</sup>. Andreas Mihm z „FAZ” słusznie zauważył, że to założenie wyjątkowo „bezczelne”, jako że ten sam rząd całkiem niedawno całkowicie zakazał stosowania tej techniki.

Ach, niemal zapomnielibyśmy wspomnieć, że zgodnie z owym planem nową niemiecką filozofią miał się stać wegetarianizm. Rząd założył w nim bowiem, że spożycie mięsa spadnie o połowę. Zamiast inwestować więcej w badania, Angela Merkel stawia na regulacje, prowadzenie za rękę i liczy na to, że każdy kraj zrobi to samo. Ekonomista środowiska i zasobów naturalnych, prof. Joachim Weimann z Uniwersytetu w Magdeburgu, słusznie komentuje plan klimatyczny Niemiec do 2050 roku, przypominając, że „racjonalna polityka ochrony środowiska wygląda inaczej”.

Wygląda na to, że niemiecki rząd myśli: nieważne, ile to będzie kosztowało, Niemcy muszą być pionierem w dziedzinie ochrony środowiska! Niemiecki podatnik jest koniem pociągowym dla ratującej światowy klimat Angeli Merkel. Łatwo można wyobrazić sobie taką scenę z filmu wojennego czy westernu: generał lub wódz indiański odważnie prowadzi swoich ludzi. Nawet jeśli nie ogląda się za siebie, może polegać na tym, że jego grupa podąży za nim w należyтым odstępie. Problem w tym, że odgrywająca rolę pionierki-przywódczyni Merkel jedzie ku zachodowi słońca sama. Gdyby się obejrzała za siebie, nikogo by za sobą nie ujrzała.

<sup>24</sup> Plan został bardzo gwałtownie skrytykowany przez władze poszczególnych landów, związki zawodowe, organizacje górników i grupy biznesu, które zwracały uwagę, że jego realizacja grozi m.in. likwidacją wielu miejsc pracy. Dokument rządowy został więc skorygowany, co wywołało opór drugiej strony „środowiskowego” sporu. Obecnie wciąż trwają nad nim prace - przyp. Kurhaus.

**ROZDZIAŁ 4.**  
**ANGELA MERKEL RATUJE NIEMCY**  
**PRZED ENERGIĄ JĄDROWĄ**

Jak już wspomnieliśmy, Merkel sprawiała dobre wrażenie jeszcze jako minister ochrony środowiska, jako sekretarz generalny i jako przewodnicząca partii CDU – a to za sprawą swojej chłodnej postawy wynikającej pewnie ze zdobytego wykształcenia w dziedzinie nauk ścisłych. Wyróżniała się na tle innych, bo przecież większość jej kolegów stanowili nauczyciele, działacze społeczni, związkowcy, członkowie rad zakładowych lub po prostu tylko politycy.

Nie było więc niespodzianką, że Merkel, gdy została wybrana na kanclerza Niemiec, potraktowała poważnie żądania przemysłu, by nie wygaszać zbyt szybko elektrowni jądrowych.

I w tym kontekście zdumiewająca była jej reakcja na Fukushima<sup>25</sup>! Jak gdyby groziło nam, że na Morzu Północnym powstanie fala tsunami i popędzi pod prąd przez Ren i Łabę, ściągając na niemieckie elektrownie jądrowe niebezpieczeństwo podobne do tego, na jakie narażone są wybrzeża Japonii. Merkel dokonała politycznego zwrotu o 180° – jednego z najbardziej spektakularnych w powojennej historii Niemiec. Zamiast wyjaśnić sprawy społeczeństwu wystraszonemu dramatycznymi obrazami wybuchów w blokach elektrowni i informacjami o skażeniu radioaktywnym z Fukushimy, wzmogła najpierw wytworzony za ich pomocą „niemiecki lęk”, by następnie odegrać rolę polityka, który jest w stanie wyzwolić z niego rodaków – zmieniając założenia polityki energetycznej. Wielu wyborców było wdzięcznych Merkel za to, że uwolniła ich od strachu; tylko nieliczni

<sup>25</sup> Chodzi o awarię elektrowni jądrowej Fukushima wywołane w 2011 r. przez tsunami i trzęsienie ziemi u wybrzeży wyspy Honsiu. W ich wyniku doszło do skażenia środowiska, którego skutki Japonia odczuwa do dziś. Jako odpowiedź na wydarzenia w Japonii, w Niemczech zamknięto aż osiem elektrowni atomowych starszego typu – przyp. Kurhaus.

zauważyli, że wcześniej w pewnej mierze przyczyniła się do jego podsycania. Niemal żaden polityk w jakimkolwiek kraju nie chce podążać pionierską drogą Merkel. Z wyjątkiem Austriaków, nikt nie zaraził się niemiecką paniką.

Mimo awarii w Fukushima, Francja zdecydowanie trwa przy energii jądrowej, a jej rząd zdecydował o przedłużeniu eksploatacji reaktorów o kolejnych dziesięć lat. Planuje nawet budowę kilkudziesięciu nowych reaktorów atomowych, które zastąpią stare. Belgia wycofała się z podjętej tuż po awarii w Fukushima decyzji o rezygnacji z energii atomowej, a Szwecja zawróciła z wcześniej obranego kursu odejścia od tego rodzaju energii. Rząd Finlandii zdecydował o budowie kolejnej elektrowni jądrowej. Wielka Brytania także przygotowuje się do budowy reaktorów. Nowe jednostki powstaną w USA, gdzie wydane już zostały stosowne pozwolenia. Również w krajach Europy Wschodniej, w Rosji, w Azji buduje się lub planuje rozwój elektrowni atomowych. W samych Chinach trwają obecnie prace nad 24 jednostkami. Słuchajcie i dziwcie się: Chiny chcą zbudować nową elektrownię jądrową nawet w Sudanie. Na całym świecie, w 31 krajach znajdują się 443 elektrownie jądrowe – więcej niż przed katastrofą w Fukushima – a na etapie powstawania jest około 65 nowych reaktorów. W maju 2015 roku, w trakcie pobytu w Tokio w ramach delegacji z PE, Henkel dowiedział się od odpowiedzialnych polityków japońskich, że tamtejszy rząd włączył ponownie do sieci energetycznej elektrownie jądrowe. A zostały one wyłączone zaraz po awarii w Fukushima.

Decyzja o wycofaniu się Niemiec z energetyki jądrowej ma też niszczycielski wpływ na krajową naukę. Technika jądrowa i badania związane z reaktorami zostały uznane w Niemczech za naukowy temat tabu. Doprowadzi to do „wyginięcia” fizyków jądrowych i specjalistów w dziedzinie promieniowania. A przecież są oni potrzebni, choćby do mającego trwać dzie-

siatki lat demontażu już istniejących reaktorów. Jest raczej mało prawdopodobne, aby wśród setek tysięcy uchodźców znaleźli się eksperci w tej branży.

Atrakcyjne oferty pracy i lukratywne kontrakty będą czekać w Niemczech na zagranicznych pracowników i zagraniczne firmy. Historyk Europy Wschodniej Anna Veronika Wendland z Instytutu Herdera w Marburgu twierdzi, że zanika „niemiecka technika odgrywająca rolę złotego standardu”. Zwraca ona uwagę na to, że w Nowoworonieżu w Rosji uruchomiono po raz pierwszy w Europie reaktor ciśnieniowy tak zwanej generacji III+, a zastosowane w nim normy bezpieczeństwa przewyższają te z niemieckich elektrowni. Gwarantują one, że nawet najpoważniejsze awarie reaktora nie spowodują niekontrolowanego promieniowania. Historyczka dodaje, że „demontaż niemieckiej energetyki jądrowej” także w Europie Wschodniej wywołuje zdumienie. „Ani na Ukrainie, ani w Rosji, w Czechach, Polsce, Słowacji czy na Węgrzech nie ma silnych ruchów antynuklearnych”. Zwiedzając robiącą duże wrażenie galerię berlińskich noblistów, na pierwszym piętrze głównego budynku Uniwersytetu Humboldta natknęliśmy się na wizerunki wielu Niemców, którzy dokonali licznych przełomów w tej technologii. *Tempi passati*. Dziś, w czasach pokojowego rozwoju przemysłu, możemy sobie nałożyć koronę ze złomu.

Przed Fukushima niemiecki przemysł wciąż jeszcze był pionierem: większość elektrowni jądrowych znajdujących się na publikowanej corocznie przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej w Genewie liście dziesięciu najbardziej wydajnych i najbezpieczniejszych jednostek, zlokalizowana była w Niemczech.

Podobnie jak w przypadku innych kursów, które kanclerz Merkel przyjęła w licznych narodowych sprawach, w polityce ratowania uchodźców czy globalnej polityce klimatycznej, „ratowanie” świata przed ewentualnymi katastrofami w nie-

mieckich elektrowniach jądrowych szkodzi przede wszystkim samym Niemcom. Czarnobyl i Fukushima udowodniły, że skutki poważnej awarii mogą także dotknąć sąsiadów. Jeśli plan Merkel rzeczywiście opiera się na poglądzie, że elektrownie jądrowe wystawiają niemieckie społeczeństwo na ogromne ryzyko, to nie powinna nakazywać wygaszenia tych najbezpieczniejszych na świecie, uzależniając tym samym swój kraj od jednostek mniej bezpiecznych położonych za granicą. Jeśli podążymy tą logiką, będziemy musieli uznać, że podejmując decyzje, Merkel ryzykuje nie tylko bezpieczeństwo energetyczne Niemców, lecz także zwiększa ryzyko wystąpienia katastrofy.

Niewiele mówi się także o dodatkowych kosztach zwrotu w polityce energetycznej polegającego na rezygnacji z energii atomowej. Dla przeciętnego niemieckiego gospodarstwa domowego wyniosą one w okresie od 2011 do końca 2016 roku około 540 euro. Rachunek ten uwzględnia m.in. koszty wynikające dla państwa, gmin i akcjonariuszy z rozczłonkowania niegdyś stanowiących powody do dumy i przynoszących zyski koncernów, jak RWE czy e.on., a także koszty związane z roszczeniami odszkodowawczymi ze strony tych i innych eksploratorów. W 2014 roku międzynarodowa grupa badawcza IHS podała informację, że średnie ceny energii elektrycznej rosną w Niemczech sześciokrotnie szybciej niż w USA i Chinach (czyli u naszych głównych konkurentów), odkąd rozpoczęto proces wyjścia z energetyki jądrowej i zapoczątkowano zwrot ku energii ze źródeł odnawialnych.

Widać więc, że także w tym przypadku ofiarą pretensji do bycia sumieniem świata jest sam pacjent: naród niemiecki. Szkoda, że poświęcenie to nie przynosi efektów. Również bowiem na tym polu za pędzącą na przedzie Merkel nie podążają żadne oddziały.

Jeśli porównamy reakcję Merkel na Fukushimę z jej polityką wobec uchodźców, dostrzeżemy pewną prawidłowość:

choć niemieccy politycy przerzucają się romantycznymi hasłami o europejskiej jedności, to ani zapraszając do siebie uchodźców (notabene z pominięciem obowiązującego w Europie układu z Dubliną), ani decydując o wyłączeniu wszystkich niemieckich elektrowni jądrowych, Merkel nie uprzedziła o tym europejskich partnerów, nie wspominając już o konsultowaniu tego z nimi. Tak jak w przypadku układu z Dubliną w kontekście polityki imigracyjnej, tak przy zwrocie kursu w polityce energetycznej nagina się prawo. Oto, co na ten temat sądzi historyczka Wendland: „Wschodnim Europejczykom nie podoba się moralny imperializm w niemieckich wypowiedziach. Uważają, że dzisiejsi Niemcy wprawdzie nie mogliby wjechać do nich na czołgach, jednak robią przede wszystkim to, co wydaje się korzystne dla nich samych, «powołując się przy tym na wyższą konieczność»”.

Brukselski portal Politico.eu poszatkował na drobne kawałki politykę energetyczną Merkel. Tytułem jednego z artykułów: „A laboratory for renewable future! (pol. „Laboratorium odnawialnej przyszłości!”) trafił w dziesiątkę. Jego autor uważa, że za zwrotem Merkel w polityce energetycznej stoi przekonanie, że „robi to nie tylko dla Niemców, lecz dla całej ludzkości”. Zatem mamy do czynienia z Merkel jako mistrzynią świata w kolejnej moralnej dyscyplinie: likwidacji energii jądrowej.

Jednak nawet najbardziej naiwnemu obserwatorowi politycznemu musi w końcu zacząć świtać w głowie, że pani kanclerz nie ratuje ani Niemiec, ani Europy.

## ROZDZIAŁ 5.

### ANGELA MERKEL RATUJE EUROPE

Posiłkując się hasłem „Jeśli euro poniesie porażkę, ponieś ją też Europa!”, Angela Merkel już wcześniej uzasadniała skandaliczne naginanie prawa: łamanie traktatu z Maastricht.

Czegoż to nam nie naobiecywali jej poprzednik Helmut Kohl wraz ze swym ministrem finansów Theo Weigelem, gdy rezygnowali z niemieckiej marki? Odtąd deficyt budżetowy żadnego z krajów strefy euro nie miał przekraczać równowartości 3 proc. PKB, a dług publiczny być większy niż 60 procent. Już w początkach unii walutowej zobowiązania tego nie dotrzymała Francja, a obietnicę złamał także ówczesny czerwono-zielony rząd federalny kierowany przez Gerharda Schrödera i jego ministra finansów Hansa Eichela. Co gorsza, do strefy euro zostały przyjęte kraje takie jak Włochy, Portugalia i Grecja, choć zgodnie z traktatem z Maastricht, nie powinny być do niej wpuszczone. Europejski Bank Centralny (EBC) miał być w przyszłości niezależny i działać na rzecz stabilizacji niczym Niemiecki Bank Federalny. Tymczasem dziś EBC zachowuje się jak Bank Francji, a na jego czele stoi Włoch, który drukuje banknoty z prędkością, jakiej nie widział żaden inny wielki bank narodowy od czasu Niemieckiego Banku Rzeszy w 1923 roku.

Obecnie, zdaniem praktycznie każdego poważnego ekonomisty, ta „uniwersalna” waluta [euro] jest odpowiedzialna za problemy gospodarcze i ubóstwo w strefie euro. Wiadać wyraźnie, że jest ona zbyt mocna dla południa Europy, a także Francji; jest zarazem zbyt słaba dla północy Europy, szczególnie dla Niemiec. Rezultaty można od lat obserwować w statystykach. Strefa euro rozwija się nie tak mocno jak kraje unijne, które do niej nie należą; od lat pozostaje ona w tyle [pod względem wzrostu gospodarczego] za prawie każdym obszarem świata.

Przez zbyt mocne euro południe Europy, włącznie z Francją, dramatycznie utraciło zdolność konkurowania na światowych rynkach. Pochodzące stamtąd towary stały się zbyt drogie i nieatrakcyjne w eksporcie. Z drugiej strony bardziej przystępny stał się dla tych krajów import. Efekt? Południe utknęło w martwym punkcie, przemysł kuleje, bezrobocie



osiągnęło rekordowy poziom, a młodzież została pozbawiona wszelkich perspektyw.

Fakt niedoszacowania euro z punktu widzenia niemieckiego przemysłu sprawia, że eksport krajowych producentów utrzymuje się na wysokim poziomie. Niemcy uważają, że stać ich na pociąganie kolejnych głębokich łyków z socjalnej flaszki. Słabe euro maskuje zatem wzrost kosztów pracy związany z wprowadzeniem prawa do wcześniejszego przechodzenia na emeryturę, z ustaleniem poziomu płacy minimalnej na prawie najwyższym w UE poziomie i z zasiłkami dla matek (do tego dojdą niebawem koszty nowego ubezpieczenia społecznego: pielęgnacyjnego<sup>26</sup>). Jednak słaba waluta działa niczym słodka trucizna – członkowie zarządów spółek eksporterów muszą zdawać sobie z tego sprawę. Koszty zabezpieczenia społecznego rosną szybciej niż PKB. Obecnie, według różnych analiz instytutów badań nad gospodarką, potencjalne zobowiązania państwa wynoszą od 600 do 800 mld euro. Któregoś dnia spadną one na Niemców z pełną mocą. Odpowiadałoby to w najgorszym wypadku przyrostowi o kolejną jedną trzecią już narastającego niemieckiego długu państwowego.

Tak jak w przypadku początków kryzysu imigracyjnego, polityki energetycznej i ratowania klimatu, tandem Merkel/Schäuble ponownie wprowadził Niemcy w ślepą uliczkę. W polityce europejskiej co i rusz pojawiały się okazje, by zawrócić, by nie wjechać w mur. Pierwsza nadarzyła się w maju 2010 roku, gdy można było pozwolić Grecji, ze względnie niewielkimi kosztami dla Niemiec, wyjść z unii walutowej. Jeszcze na krótko przed pierwszym „ratowaniem” euro (i Grecji oraz całej Europy!) kanclerz Niemiec i jej minister finansów wyraźnie oświadczyli, że nadal trzymają się traktatu z Maastricht. Wiemy, że do Grecji trafiła znaczna suma pieniędzy. Około 5 proc. wypłat pomocowych

<sup>26</sup> Chodzi o instytucję opieki długoterminowej, która wprowadzona zostanie od 1 stycznia 2017 roku – przyp. Kurhaus.

wylądowało „u Greków”, czyli w greckim budżecie, ale 95 proc. przekazano bankom.

W maju 2010 roku, pod wpływem ówczesnego prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego, jego minister finansów Christine Lagarde, ówczesnego szefa Centralnego Banku Europejskiego Tricheta oraz ówczesnego szefa Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW) Straussa-Khana (wszyscy to Francuzi) i premiera Luksemburga Junckera, Merkel zmieniła poglądy.

Potem zaczęto ratować kolejne kraje, jeden po drugim: Irlandię, Hiszpanię, znów dwa razy Grecję. Czasami nie było jasne, kto siedział przy kierownicy, a kto w fotelu pasażera, gdy auto pędziło ślepą uliczką: Angela Merkel, powtarzając swoją mantrę: „Upadnie euro, upadnie Europa!”, czy odznaczony Nagrodą Karola Wielkiego „wielki Europejczyk” Wolfgang Schäuble. Gdy wprowadzano trzeci pakiet pomocowy dla „Grecji, euro i Europy” przez długi czas wydawało się, że w końcu Schäuble został posadzony przy kierownicy. Nie tylko on, lecz większość członków eurogrupy chciała tym razem zawrócić i skierować pojazd w stronę Maastricht. Prezydent Francji Holland, premier Włoch Renzi i szef Komisji Europejskiej Juncker zaczęli jednak wywierać presję na Merkel. I wówczas to ona chwyciła za kierownicę, przy której siedział Schäuble. Zamiast ku Maastricht ruszyła ku Atenom. Pod koniec maja 2016 roku Schäuble jeszcze bardziej przyspieszył w kierunku Aten. Pamiętał, że w 2015 roku Bundestag zgodził się na trzeci pakiet pomocowy dla Grecji pod warunkiem, że MFW będzie go nie tylko współfinansować, ale też dostarczy odpowiednich analiz na temat sytuacji Grecji. Ekspertyza MFW opierała się na tezie, że trzeba zredukować dług Grecji; bez tego kraj nie będzie w stanie obsługiwać swoich zobowiązań. Schäuble zadbał o to, by rekomendacje MFW trafiły do szuflady. Powód tego jest jasny: musiałby przyznać, że trzeba byłoby spisać na straty

miliardy euro. Jego „czarne zero”<sup>27</sup> okazałoby się tym, czym było od samego początku – fałszerstwem bilansu.

---

<sup>27</sup> Wyrażenia „schwarze Null (pol. „czarne zero” ) używa się w Niemczech w trakcie debaty nad zrównoważeniem budżetu. W Niemczech rozróżnia się między czarnymi i czerwonymi liczbami – czarne oznaczają, że jest się finansowo na plusie, czerwone to minus – przyp. Kurhaus.

# CZEŚĆ III

## JAK NIEMCY RATUJĄ ŚWIAT

### ROZDZIAŁ 6.

#### TRANSATLANTYCKIE PARTNERSTWO W DZIEDZINIE HANDLU I INWESTYCJI (TTIP): NIEMCY RATUJĄ ŚWIAT PRZED GLOBALIZACJĄ

Żaden z większych krajów uprzemysłowionych nie korzysta z wolności handlu światowego w takim stopniu jak Niemcy. Co czwarte miejsce pracy w Niemczech zależy od eksportu. Rozwój kraju, miliony posad, dobrobyt i w końcu wizerunek Niemiec w świecie są nierozzerwalnie związane z sukcesami eksportowymi naszych firm. To dzięki temu kraj stanowiący niespełna 1,5 proc. globalnej populacji ciągle znajduje się wśród czterech najsilniejszych gospodarek świata.

Jednak pozycji tej nie otrzymaliśmy od Boga ani też nie jest dana raz na zawsze. Kiedyś byliśmy mistrzami świata w eksporcie, dzisiaj znajdujemy się na zaszczytnym trzecim miejscu. Ale nawet ta pozycja jest poważnie zagrożona. Z różnych powodów. Po pierwsze, inne państwa bardzo starają się dołączyć do czołówki i czynią w tym znaczne postępy. Chiny już nas przegoniły, a inne kraje depczą nam po piętach. Po drugie, my – autorzy tej książki – widzimy, że znaczny poziom samozadowolenia niemieckich polityków, przedsiębiorców i związkowców prowadzi do zahamowania reform, a tym samym do osłabienia konkurencyjności naszych firm. Prawie wszystkie decyzje wielkiej koalicji (obniżenie wieku emerytalnego do 63 lat, podwyżka płacy minimalnej, renty matczyne<sup>1</sup>, dopłaty do mieszkań) w ostatecznym rozrachunku odbijają się niekorzystnie

<sup>1</sup> Chodzi o wprowadzone w ramach ostatniej reformy emerytalnej dodatki do świadczeń dla matek, które urodziły dzieci przed 1992 r. Mogą one liczyć na dodatek do emerytury rządu 300 euro rocznie – przyp. Kurhaus.

na zdolności naszych przedsiębiorstw do konkurowania. Po trzecie, choć chronicznie niedoszacowany kurs euro w olbrzymim stopniu subwencjonuje niemiecki eksport, wiadomo przecież, że nie będzie to trwać wiecznie. Jeśli niemieccy eksporterzy odnoszą korzyści ze zbyt słabej względem ich gospodarki waluty, to finansowe skutki przeszacowania kursu względem krajów Europy Południowej i Francji poniosą przede wszystkim niemieccy podatnicy lub ich dzieci. W dalszej części omówimy jeszcze krótko- i długofalowe skutki polityki uniwersalnej waluty.

Ze statystyk odnoszących się do ostatnich dziesięcioleci wynika, że wolny handel wszędzie prowadzi do większego wzrostu i dobrobytu. Przeciętny wzrost produktu krajowego brutto (PKB) w krajach Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) był znacznie słabszy od wzrostu wartości handlu światowego. Dlatego zasadne jest pytanie, o ile słabszy byłby wzrost gospodarki światowej bez szybko rosnącego globalnego handlu. W trzech punktach przedstawiamy przyczyny tak intensywnego wzrostu wartości handlu światowego po II wojnie:

**Po pierwsze**, obniżenie kosztów transportu dało impuls do rozwój eksportu i importu. Niezwykły postęp na tym polu (kontenery, wydajne frachtowce, nowoczesna logistyka) doprowadził do sytuacji, w której na przykład japoński klient, kupując niemiecki samochód, pokrywa koszty jego transportu. Dziś za przetransportowanie całego auta z kraju do kraju płaci się nieraz mniej niż za przesłanie lusterka bocznego. A jeszcze w latach 60. z powodu wysokich kosztów transportu import zagranicznych aut był z reguły nieopłacalny.

**Po drugie**, uważamy, że wprowadzenie nowoczesnych technik komunikacyjnych i informatycznych znacząco poprawiło przejrzystość rynku. Dzięki temu producenci mogą poznawać nowych klientów i alternatywnych – wobec dotychczasowych – dostawców.

**Po trzecie**, żaden z tych bodźców nie miał choćby w przybliżeniu tak silnego wpływu na rozwój handlu światowego, jak jego liberalizacja, dokonująca się na mocy rozlicznych wielostronnych układów.

Wspomnijmy choćby organizowane pod auspicjami Światowej Organizacji Handlu (WTO) rundy handlowe, których nazwy pochodzą albo od ich inicjatora, albo od miejsca, w którym się odbywały, względnie zostały zapoczątkowane. Jeszcze dzisiaj eksporterzy czerpią korzyści z „Rundy Kennedy’ego”, „Rundy Urugwajskiej”, czy „Rundy z Doha”<sup>2</sup>. Ta ostatnia zresztą wciąż trwa. Wszystkie te układy doprowadziły do obniżenia ceł i barier pozataryfowych w handlu.

Równolegle, kraje lub bloki gospodarcze wprowadziły rokowania dwustronne, które miały taki sam cel: liberalizację, a tym samym pobudzenie, handlu między państwami lub blokami handlowymi. Niemcy bezpośrednio lub w ramach Unii Europejskiej zawarły do tej pory ponad 150 bilateralnych umów o wolnym handlu, które przyczyniły się do sukcesu niemieckiego eksportu co najmniej w takim samym stopniu, co wszystkie umowy WTO razem wzięte.

Jesteśmy zwolennikami poglądu, że globalizacja nie jest zjawiskiem czysto ekonomicznym. Przyczynia się do upowszechniania na świecie idei i wartości. Jedną z nich jest gospodarka rynkowa. Jeszcze nigdy w historii nie mieliśmy do czynienia z taką wielką liczbą państw funkcjonujących w tym modelu. Dostrzegamy, że w krajach, które go wprowadziły, ludzie mają się wyraźnie lepiej niż w tych wciąż tkwiących w socjalizmie. Obserwujemy także, że kraje, które dawniej były socjalistyczne, a obecnie wdrożyły wolnorynkowe zasady, radzą sobie lepiej niż kiedyś. Dodajmy też, że państwa, w których funkcjonuje wolny rynek, generalnie prosperują lepiej niż te zorganizowane w modelu etaty-

<sup>2</sup> Tylko Runda z Doha odbyła się w ramach WTO. Poprzednie odbywały się w ramach GATT. W branży powszechnie mówi się „Urugwajska Runda GATT” – przyp. Kurhaus.

stycznym (przykładem niech będzie gospodarka niemiecka w porównaniu z francuską).

Oprócz wolnego rynku popularność zyskały także inne koncepcje. Dziś jest na świecie więcej demokratycznych państw niż kiedykolwiek wcześniej, przy czym przyznajemy, że nie są nam znane przypadki demokracji bez gospodarki rynkowej. Zależność ta jednak nie zawsze obowiązuje w drugą stronę. Możemy za to wskazać wiele przykładów niedemokratycznych wciąż krajów, do których wraz z zagranicznymi inwestycjami dotarły – niczym pasażerowie na gapę – idee demokracji i praw człowieka. Upowszechnienie praw człowieka stało się możliwe właśnie dzięki globalizacji. Wprawdzie w Parlamencie Europejskim często dyskutuje się o przykładach brutalnego naruszania praw podstawowych w różnych zakątkach świata, jednak i w tej kwestii da się dostrzec postęp. Na przykład kara śmierci obowiązuje dziś w Europie jedynie na Białorusi, nawet w Turcji czy Rosji została zniesiona lub wprowadzono moratorium na jej wykonywanie. Stosuje się ją jednak w Iranie, Chinach, Arabii Saudyjskiej, Pakistanie oraz niestety w prawie wszystkich państwach islamskich, a także w niektórych stanach USA.

Oczywiście mamy świadomość, że w wielu miejscach na świecie ciągle jeszcze występuje niesprawiedliwość, przemoc i ubóstwo, jesteśmy jednak przekonani, że globalizacja, wolny handel światowy i otwartość rynków są błogosławieństwem dla ludzkości, a zwłaszcza dla Niemiec.

Tym dziwniejsze wydaje się więc, że to właśnie Niemcy niemal histerycznie reagują na rokowania w sprawie umowy o wolnym handlu między UE a Stanami Zjednoczonymi (TTIP – Transatlantyckie Partnerstwo w dziedzinie Handlu i Inwestycji) oraz UE a Kanadą (CETA – Kompleksowa Umowa Gospodarczo-Handlowa). Pełniąc poselskie obowiązki w Brukseli i Strasburgu co i rusz dostrzegamy, że to przede wszystkim Niemcy, zarówno na froncie domowym,

jak i na scenie międzynarodowej podejrzewają spiski mające rzekomo stać za tymi układami. Można byłoby to oczywiście skwitować wzruszeniem ramion. Bo czyż przedstawiciele niemieckich Zielonych, Lewicy oraz Socjaldemokratów (SPD) nie protestowali i nie demonstrowali zawsze przeciwko kapitalizmowi?

Konieczność odrzucenia układu o wolnym handlu uzasadniana jest niekiedy groteskowymi argumentami. Głośno protestujący przeciwnicy TTIP od samego początku twierdzą, że ów układ nie ma demokratycznej legitymacji. A przecież od samego początku jasne było, że PE i Rada TTIP muszą się na niego zgodzić, tak jak na każdy inny układ handlowy. *De facto* również od początku było wiadomo, że muszą się na niego zgodzić parlamenty krajów członkowskich Unii. Wprawdzie od wejścia w życie układu z Lizbony kompetencje w sprawie układów handlowych leżą w gestii Komisji Europejskiej i tym samym przeniosły się na poziom unijny, jednak Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej stwierdził, że układy o mieszanych kompetencjach muszą być ratyfikowane przez narodowe parlamenty. TTIP jako układ obejmujący pełnię relacji między UE a USA potrzebuje również zgody parlamentów narodowych. To samo dotyczy CETA.

Tak więc musi się na nie zgodzić jednocześnie wiele demokratycznie upoważnionych instytucji na różnych poziomach. Uznano, że treści tych aktów mają zostać udostępnione we wszystkich językach UE, aby przed głosowaniem panowała pełna co do nich jasność. W tym czasie miała być prowadzona rzeczowa dyskusja. Taka była chyba intencja komisarza ds. handlu Karelą de Guchtą (zajmującego to stanowisko do połowy 2014 roku), który wolał prowadzić dyskusję o układzie po zakończeniu rokowań i dlatego na ich początku przekazywał opinii publicznej stosunkowo niewiele informacji.



Był to błąd, który zrodził najczęściej wysuwany przeciwko TTIP argument o braku przejrzystości procesu negocjacji. Obecnie nie ma on żadnych podstaw. Po przejęciu stanowiska komisarza ds. handlu przez Cecilję Malmström Komisja Europejska podjęła inicjatywę, która czyni z TTIP najbardziej transparentny układ handlowy wszech czasów. Treść mandatu negocjacyjnego, który kraje członkowskie przekazały KE, podana została do publicznej wiadomości. Zapisane są w nim najważniejsze cele i warunki wprowadzenia TTIP. KE udostępniła setki innych dokumentów i podczas plenarnych posiedzeń PE regularnie informuje izbę o postępach w negocjacjach. Z Komisji dobiegają też głosy, że liczba pracowników zajmujących się komunikacją i objaśnianiem opinii publicznej tajników TTIP jest większa od liczby pracowników uczestniczących we właściwych rokowaniach. Więcej przejrzystości już nie da się zapewnić – jednak krytycy TTIP zdają się tego nie dostrzegać. To absurd: podczas gdy Komisja narzeka, że prawie nikt nie czyta dostępnych *online* dokumentów, wszyscy krytycy TTIP zgodnie twierdzą, że prace nad układem są mętne. Potępiają oni rzekome zniesienie zasady ostrożności. Nie wspiera ona wprowadzie innowacji, a nad jej sensownością można toczyć długie spory, jest jednak zapisana w układach UE. Żadna umowa międzynarodowa tego nie zmieni. Komisja Europejska zawsze uważała, że należy zachować zasadę ostrożności.

Jeszcze bardziej rozemocjonowana jest debata na temat standardów jakości artykułów spożywczych. KE nieustannie podkreśla, że w kwestii modyfikowanej genetycznie żywności będzie trzymać się norm europejskich. Taki zapis widnieje w mandacie negocjacyjnym. Zapewnienie to powtarzane jest na prawie każdym posiedzeniu PE (co nie powstrzymuje deputowanych z Lewicy, Frontu Narodowego i Zielonych przed ponawianiem pytań w tej sprawie na kolejnych sesjach). Zostało to także potwierdzone przez „wycieki” różnych doku-

mentów. Komisja obstaje przy swoim i nie wychodzi naprzeciw żądaniom USA. Dlatego w „tekstach jednolitych” opisy stanowiska negocjacyjnego USA i pozycja UE znajdują się obok siebie. Zamiast jednak, zgodnie z prawdą, rozumieć to jako potwierdzenie pozycji UE, głosi się pogląd, że „sprawdziły się najgorsze przypuszczenia”.

Można by mnożyć kolejne przykłady – „sądy polubowne”, „mięso z hormonami”, „utrata autonomii regulacji”. Wszystkie te dowody przeciwko TTIP przywoływane są niesłusznie lub ze źle pojętą troską. Racjonalne argumenty o ograniczeniu przepisów regulujących konkurencję, o utracie przychodów z ceł czy zwiększeniu emisji CO<sub>2</sub> w wyniku wzmożonego handlu i transportu, nie odgrywają natomiast żadnej roli.

Dlaczego akurat Niemcy reagują na TTIP i CETA z takim fanatyzmem i opierają się na racjach, które najwyraźniej skierowane są przeciwko ich własnym interesom? Dlaczego próbują wirusem defetyzmu zarazić inne państwa, zmuszając je do przyjęcia niemieckiego punktu widzenia, i to niezależnie od kosztów? Wydaje się, że symptomy [niemieckiej choroby] łatwo rozpoznać. Stawiając diagnozę, zwracaliśmy uwagę na różne czynniki. Po pierwsze, wielu Niemców cierpi na ukryty antyamerykanizm. Czemu nie przeszkadzało im, że podpisywano już dziesiątki bardzo podobnych umów o wolnym handlu między partnerami handlowymi a UE lub Niemcami – w tym najnowszą z nich z Koreą? Po drugie, zdaje się, że niektórzy nasi rodacy chcą wszcząć na nowo przegraną dawno bitwę o bardziej sprawiedliwy system gospodarczy na świecie.

Skoro nawet kanadyjska minister handlu Chrystia Freeland – w jej przypadku nazwisko wydaje się programem politycznym [ang. *freeland* – wolny kraj] – zauważyła, że przeciwnicy umowy nie tyle chcą zapobiec podpisaniu kolejnego układu o wolnym handlu, ile „zakwestionować globalizację i kapitalizm XXI wieku”, to w Niemczech powinny być zapalić się wszystkie światełka ostrzegawcze. A gdy jeszcze

stwierdzimy, że w Parlamencie Europejskim najbardziej absurdalne poglądy Zielonych i wielu socjalistów na temat TTIP i CETA podzielają komuniści i prawicowi populisci – przede wszystkim partia Francuzki Marine LePen, austriacka FPÖ i niemiecka AfD – to nie ma co się dziwić, że niemieckiego pacjenta ogarnął nowy „lęk”. Lęk przed tym, co przynosi mu największe korzyści.

## ROZDZIAŁ 7.

### NIEMCY RATUJĄ DEMOKRACJĘ W POLSCE

W 2015 roku Polacy wybrali Andrzeja Dudę na nowego prezydenta. Rok wcześniej Duda wszedł razem z nami, autorami tej książki, do frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR) w Parlamencie Europejskim. Od razu dostrzeżliśmy w nim bardzo sympatycznego i towarzyskiego kolegę. Potężny szef jego partii, Jarosław Kaczyński, wolał najwyraźniej rządzić z tylnego fotela niż znowu osobiście sprawować władzę. Był już raz premierem, a jego brat bliźniak Lech zginął w katastrofie lotniczej. Poza tym Jarosław Kaczyński sądził pewnie, że wyborcy prędzej zagłosują na Dudę niż na niego. Widać, nie mylił się.

Wybór Dudy był olbrzymią niespodzianką nie tylko dla samych Polaków. Najwyraźniej sprawił kłopot europejskim romantykom w Brukseli i w Berlinie. Oto naród polski odważył się wybrać na głowę państwa kandydata Prawa i Sprawiedliwości, partii, która opowiadała się przeciwko galopującemu centralizmowi w Europie, która nie popierała wprowadzenia jednolitej europejskiej waluty i która, wbrew lewicowo-liberalnemu mainstreamowi, reprezentowała klasyczne konserwatywne wartości. Prezydent Polski ma o wiele szerszą władzę i większy wpływ na bieg politycznych wydarzeń w jego kraju niż na przykład prezydent Republiki Federalnej Niemiec.

Tego samego 2015 roku odbyły się w Polsce także wybory parlamentarne. Powołano więc i nowy rząd. Rok wcześniej kanclerz Merkel pomogła premierowi rządzącej wówczas Platformy Obywatelskiej Donaldowi Tuskwowi uzyskać stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej. Żeby zapewnić Platformie lepszy wynik w wyborach, Tusk niejako w locie przekazał władzę w partii swojej koleżance Ewie Kopacz.

Wówczas Jarosław Kaczyński zaskoczył ponownie, wystawiając jako kandydatkę na premiera i konkurentkę Kopacz nieznaną szerzej Beatę Szydło. Poprowadziła ona swoją partię do zdecydowanego zwycięstwa w wyborach parlamentarnych, a w Brukseli i Berlinie znów odezwały się dzwonki alarmowe. Zdecydowani przeciwnicy projektu Stanów Zjednoczonych Europy nie tylko doszli do władzy w Polsce, ale jednocześnie uzyskali w wyborach wynik, który dał im bezwzględną większość w parlamencie.

Nowy rząd zajął się z godną uwagi prędkością, jak na warunki demokratyczne, obsadzeniem na nowo Trybunału Konstytucyjnego opanowanego – jak twierdził – przez partyjnych działaczy poprzedniego gabinetu. Wprowadził też zmiany w systemie orzekania. Krytycy zarzucali gabinetowi, że chce całkowicie podporządkować sobie Trybunał Konstytucyjny, względnie uczynić go niezdolnym do pracy za pomocą nowych przepisów wykonawczych, albo jedno i drugie. Jednocześnie zdominowany przez PiS parlament zajął się zmienianiem niektórych ustaw o mediach w taki sposób, by te przestały faworyzować (co zdaniem PiS czyniły) jedną opcję polityczną względem innych.

Z daleka trudno jest pojąć istotę tych zmian. Wprawdzie uznaliśmy decyzje nowego rządu za zrozumiałą reakcją na arogancję rządzącego przez niemal dekadę poprzedniego gabinetu, ale odczuwaliśmy potrzebę udzielenia wyjaśnień w sprawie dynamiki procesu legislacyjnego, rzekomych zakłóceń pracy Trybunału Konstytucyjnego oraz podporządko-

wania publicznego radia i telewizji władzy ministra finansów. Niemieccy politycy i media szczególnie ostro krytykowały nowy polski rząd. Prawie wszystkie tytuły, nie tylko „oczywiści podejrzani” oraz ARD i ZDF, widziały w przyjętych demokratycznie przez parlament ustawach początki dyktatury ze złym Jarosławem Kaczyńskim na czele, który za kulisami pociągał za sznurki. Oczywiście niektóre jego wcześniejsze wypowiedzi o starych niemieckich grzechach i rzekomych nowych niemieckich dążeniach do hegemonii wydawały się nam niezrozumiałe. Za zbyt daleko idące uważaliśmy też formułowane przez niektórych polityków PiS, w mniej lub bardziej zawołowany sposób, sugestie jakoby to Władimir Putin maczał palce w katastrofie lotniczej w 2010 roku, gdy w gęstej mgłę na lotnisku w Smoleńsku rozbił się rządowy samolot, powodując śmierć 96 pasażerów i członków załogi. Wśród ofiar byli brat bliźniak Jarosława – prezydent Polski Lech Kaczyński, jego żona i wielu posłów, członkowie rządu, wysokiej rangi oficerowie, ludzie Kościoła, szefowie centralnych urzędów oraz przedstawiciele Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich. Ale czy można mieć pretensje do nowego rządu, że rozpoczął własne dochodzenie w sprawie katastrofy?

Uważaliśmy, że mieszanie się przez wysokiej rangi polityków niemieckich w wewnętrzne sprawy Polski jest nie tylko zbyteczne, zbyt pospieszne, lecz w wysokim stopniu także obraźliwe dla Polaków. Nie kto inny jak przewodniczący Parlamentu Europejskiego Martin Schulz określił przyjęte przez polski parlament zmiany w ustawach jako „zamach stanu”! Nie trzeba być dogłębnym znawcą polskiej historii i polskiej wrażliwości, by dostrzec, jak niebywały jest to zarzut. Ale na tym nie koniec. Schulz dołał jeszcze oliwy do ognia, twierdząc, że Polska znajduje się na drodze do „sterowanej demokracji wzorowanej na Rosji Putina”. Oczywiście, ów czytany były właściciel księgarni w Würselen sam przyznał, że jest świadomy, iż Polska w przeszłości cierpiała nie tylko pod nie-

miecką okupacją, lecz także – do 1989 roku – pod uciskiem komunizmu, którego wspomnienie jest jeszcze świeższe niż pamięć o okrutnych czynach nazistów. Ale czegoż to nie robi się w Brukseli, by dać po łbie krytykom polityki „coraz ściślej-szej Unii Europejskiej”!

Inny Niemiec, zajmujący podobnie eksponowane stanowisko, nie chciał pozostawać w tyle. Günther Oettinger dał się poznać w Brukseli jako rozsądny polityk, gdy najpierw sprawował stanowisko komisarza ds. energii, a następnie komisarza ds. gospodarki cyfrowej i społeczeństwa. Ale to właśnie on zapowiedział objęcie Polski „nadzorem” z powodu przyjęcia nowych ustaw o mediach. Oczywiście Schulz i Oettinger mówili w imieniu Unii, ale widać było wyraźnie, że w Berlinie, a także w Brukseli i Strasburgu, to przede wszystkim niemieccy politycy sądzą, że muszą z wielką werwą ratować polską demokrację. Przewodniczący frakcji CDU w Bundestagu Volker Kauder oczywiście też nie chciał odstawać od innych i zażądał nałożenia na Polskę sankcji.

Pięciu europosłów z „Sojuszu dla Postępu i Przebudzenia” (ALFA) zdecydowało się ani nie bronić polskich ustaw, ani ich nie krytykować. W Europie suwerennych państw decyzje o rzekomych lub rzeczywistych naruszeniach zasad demokracji należy pozostawić w gestii obywateli. A fakt, że rząd nie tłumii wielotysięcznych protestów przeciwko nowym ustawom, powinien właściwie przekonać krytyków, że demokracja w Polsce funkcjonuje.

Bezpośrednio po tym, gdy wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Holender Frans Timmermans z powodu wprowadzonych przez Sejm zmian w sposobie działania Trybunału Konstytucyjnego zapowiedział uruchomienie wobec Polski procedury ochrony państwa prawa, Jarosław Kaczyński przypomniał mu, że Holandia w ogóle nie ma Trybunału Konstytucyjnego. Prezes PiS uważa tę procedurę za „radosną zabawę ku uciesze Komisji Europejskiej i jej urzędników”.

Z okazji pierwszej wizyty w Strasburgu w styczniu 2016 roku nowa premier Beata Szydło przyjęła deputowanego z ALFA Henkela na godzinną rozmowę. Obecni byli również minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski i koleżki Henkela z frakcji, profesor Ryszard Legutko i Tomasz Poręba. W trakcie rozmowy Henkel zrozumiał, jak niekorzystne wrażenie wśród polskich polityków wywołała zmasowana krytyka nowego polskiego rządu ze strony Niemców.

Henkel poskarżył się jednakże Beacie Szydło na nieodpowiednie reakcje niektórych wysokich rangą polskich polityków. Tak jak to się dzieje przy podobnych dyskusjach między politykami z różnych państw, winą za wybryki niektórych niemieckich podżegaczy polscy politycy obarczyli całe niemieckie społeczeństwo. Podczas spotkania strona polska obiecała Henkelowi, że nie będzie dalszych przesadnych, obraźliwych i nieakceptowalnych reakcji polskich polityków na wysoki Schulza, Oettingera i spółki. Warunkiem jednak była zmiana charakteru wypowiedzi Niemców, bo, jak to słusznie wyraził polski minister obrony Antoni Macierewicz, „Polska nie musi dalej akceptować pouczeń ze strony Niemiec na temat demokracji i wolności”.

Mimo to czołowym przedstawicielom nowego moralnego supermocarstwa, za jakie uważają się Niemcy, udało się jednak coś osiągnąć, gdyż – jak to potem określił Henkel w swoim przemówieniu – po rozmowie z nim premier Polski musiała się poddać w strasburskiej siedzibie Parlamentu Europejskiego „groteskowemu procesowi inkwizycyjnemu”, wywołanemu rzekomymi wypaczeniami demokracji w Polsce. Stała przed posłami z odwagą i dużą pewnością siebie, czym zaskarbiła sobie szacunek także ze strony fanatycznych krytyków.

W całej historii Parlamentu Europejskiego nie było jeszcze porównywalnej inkwizycji. Oto całymi latami bułgarscy i rumuńscy politycy masowo napychali sobie kieszenie

miliardami euro – pochodzącymi najczęściej od niemieckich podatników – ale nikt ich z tego powodu nigdy nie wezwał przed audytorium PE. Czy kiedykolwiek pociągnięto do odpowiedzialności polityków, którzy po porzuceniu klauzuli *no-bail-out* raz za razem łamali prawo? Trzech byłych sędziów Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, w tym były przewodniczący tego gremium, zarzucili kanclerz Angeli Merkel, że swoją polityką wobec uchodźców naruszyła nie tylko Konwencję dublińską, lecz także niemiecką Ustawę zasadniczą. Czy poruszyło to kogoś w europarlamencie? A przecież było za co krytykować już poprzedni polski rząd, który w obliczu grożącej mu porażki wyborczej postanowił swoim sposobem szybko zmonopolizować Trybunał Konstytucyjny. Obsadzono łącznie 14 z 15 miejsc w Trybunale<sup>3</sup>. Polski minister sprawiedliwości w wywiadzie dla „FAZ” dokonał pewnego porównania: „To jakby kanclerz Schröder tuż przed wyborami do Bundestagu obsadził 14 z 15 sędziów Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe”.

Co najmniej obłudna wydaje się nam także niemiecka krytyka przyjętych przez polski parlament nowych ustaw o mediach. Polski minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro w wywiadzie dla „FAZ” przypomniał, że niegdysiejszy redaktor naczelny ZDF Brender skarżył się na telefony niemieckich polityków do redaktorów telewizji. Henkel krytykował potem w PE stosowanie w tych przypadkach podwójnych standardów. Zaaapelował do komisarza Oettingera o zajęcie się finansowanymi z przymusowych opłat państwowymi niemieckimi radiem i telewizją. ARD i ZDF całymi latami w wyjątkowo łagodnym tonie informowały o kryzysie euro. W ten sam sposób przez wiele miesięcy donosiły o problemach z uchodźcami. Nie zająknęły się na temat skandalicz-

<sup>3</sup> Należy rozumieć to jako retoryczne uproszczenie. W rzeczywistości Sejm VIII kadencji, na mocy przyjętej przez siebie ustawy, wybrał 5 sędziów – co sprawiło, że odchodząca koalicja obsadziła w Trybunale Konstytucyjnym większość składu. PiS domagał się, by PO i PSL wybrały tylko 3 sędziów, których kadencje kończyły się 6 listopada 2015 – przyp. Kurhaus.



nych wypadków sylwestrowej nocy na Dworcu Głównym w Kolonii. Zamiast uczciwie zająć się tymi sprawami, media w Niemczech upowszechniały tezy, że nowy polski rząd łamie obowiązujące ustawy. Rzadko wspomina się jednak, że to wyraźna większość Polaków wybrała ten rząd, a mniejszość nawet po kilku miesiącach od wyborów wciąż nie akceptuje ich wyniku. Jeden z czytelników „FAZ” w liście do redakcji zauważył słusznie: „Całej sprawie ironii dodaje fakt, że to akurat brukselska biurokracja gładziej podenerwowana, a niemieccy politycy publicznie pouczają Polaków”.

Wydaje się prawdopodobne, że w tym przypadku chciano po prostu utrzyć nosa przeciwnikom koncepcji „*ever closer Union*” (pol. „jeszcze ściślejszej Unii”). Schulz, Oettinger i Kauder jeszcze przed zakończeniem przewidzianego w takich wypadkach postępowania wyjaśniającego („proces we-necki”) ekscytowali się zmianami w ustawach o konstytucji i mediach i tym samym publicznie przedwcześnie potępiali władze w Polsce. Milczeli jednak, gdy zaczęto głośno mówić o domniemanym naruszeniu przez rząd Merkel niemieckiej Ustawy zasadniczej. Polski minister sprawiedliwości trafił w sedno, mówiąc w wywiadzie dla „FAZ”: „Europa będzie się rozwijać, jeśli nie powstanie odczucie, że któryś kraj narzuca innemu swoją hegemonię!”. A dokładnie to robią Niemcy od końca 2015 roku. Zmuszają innych do przyjęcia niemieckiej polityki energetycznej, gospodarczej, fiskalnej i wobec uchodźców. Mieszają się do wewnętrznej polityki Polski zarówno z Berlina, jak i poprzez kontakty w Brukseli. Fakt, że akurat najważniejsza dla współpracy europejskiej osoba podejmuje bez konsultacji z innymi decyzje dotyczące najistotniejszych problemów, w tym polityki wobec uchodźców czy polityki energetycznej (które to sprawy boleśnie mogą dotknąć kraje partnerskie, takie jak Polska), musi w najwyższym stopniu Polaków niepokoić.

Niektórzy niemieccy krytycy Polski uważali, że należy Polaków nie tylko pouczać, lecz także grozić reperkusjami ekonomicznymi. Ich przekaz brzmiał mniej więcej tak: „Jeśli nie ugniecie się pod naciskiem Brukseli (i Niemiec), może to mieć dla was finansowe konsekwencje!”. Mówiąc z perspektywy Niemiec: „Jeśli nie posłuchacie, utracicie unijną pomoc”. Ta próba szantażu ze strony komisarza Oettingera nie zadziałała, gdyż jej wprowadzenie w czyn oznaczałoby ze strony Komisji Europejskiej nie tylko kolejne skandaliczne złamanie traktatu – wystarczy wspomnieć liczne przypadki łamania go w kontekście ratowania euro i przyjmowania uchodźców. Nie zyskała także poparcia wśród niemieckich inwestorów. Stosunki gospodarcze między obu państwami są i pozostaną także za nowego rządu znakomite. Polska stała się siódmym pod względem wielkości obrotów partnerem handlowym Niemiec. Jest lokomotywą gospodarczą Europy Wschodniej. Polsko-Niemiecka Izba Przemysłowo-Handlowa potwierdziła właśnie, że Polska pozostaje najpopularniejszym celem inwestycyjnym w całym regionie, więc Schulz, Oettinger i spółka mogą mówić sobie, co chcą. Dla inwestorów liczą się zaufanie, stabilność i przewidywalność. Dopóki nowy rząd nimi nie zachwieje, Polska pozostanie także dla niemieckiej gospodarki niezawodnym partnerem i krajem atrakcyjnym inwestycyjnie. Propozycja Henkela skierowana w Parlamencie Europejskim pod adresem Martina Schulza, by w obecności polskiej premier przeprosił za swoje tyrady, pozostała oczywiście bez odpowiedzi. Henkel przypomniał także o tym, że w nowo wybranym rządzie Polski działa wielu byłych członków „Solidarności” i że Polska, a także żaden inny kraj, nie potrzebuje korepetycji z wolności i demokracji. Zwłaszcza ze strony nowego moralnego supermocarstwa – Niemiec!

To wszystko nie powstrzymało jednak „Wielkiej Koalicji” Partii Europejskich Socjalistów i Europejskiej Partii Lu-

dowej przed rozpoczęciem 13 kwietnia [2016 roku] nowego ataku. Chodziło o rezolucję, w której krytykowano Polskę. Złożony przez przewodniczącego frakcji EKR wniosek o przesunięciu przyjęcia tej rezolucji został brutalnie odrzucony w głosowaniu. A przecież uzasadnienie, które przedstawił Syed Kamall, przemawiało do każdego rozsądnego polityka. Frans Timmermans, wiceprzewodniczący i drugi w hierarchii człowiek w Komisji Europejskiej, znajdował się w drodze do Warszawy, gdzie miał rozmawiać z polskim rządem o ewentualnych kompromisach. Czyż nie byłoby wskazane odczekać na wyniki tych rokowań? Henkel, jako zastępca przewodniczącego frakcji EKR, bez powodzenia próbował przekonać czołowego przedstawiciela frakcji Europejskiej Partii Ludowej (EPL) do rezygnacji z tego szalonego pomysłu w imię zdrowego rozsądku.

Dr Łukasz Kamiński, prezes Instytutu Pamięci Narodowej, w interesującym artykule zamieszczonym w dziale felietonów „FAZ” postawił pytanie: „Skąd Niemcy chcą wiedzieć, co jest typowo polskie?”. Odpowiedział, że Polacy wiedzą tylko, co było typowe [dla Niemców] pod niemiecką okupacją w Polsce. Współczesnym Niemcom może się to wydać niezrozumiałe, jednak dość dobrze obrazuje mentalność Polaków. Kamiński przedstawił też w bardziej obiektywnym świetle polskie mity, pisząc, że heroiczne postawy nigdy nie były czymś oczywistym. Słusznie zauważył, że liczba członków niemieckiego ruchu oporu, którzy występowali przeciwko reżimowi nazistowskiemu, była znacznie niższa niż liczba Polaków, którzy ratowali ściganych przez nazistów Żydów. A jedno i drugie nie było typowym zachowaniem. O członkach niemieckiego ruchu oporu „można dowiedzieć się czegoś w wielu muzeach i miejscach pamięci”, natomiast w Polsce o licznych polskich bohaterach, którzy dla Żydów narażali swoje życie, prawie niczego – pisał Kamiński.

To, że Niemcy wiedzą o wiele mniej o Polakach niż Polacy o Niemcach, wynika na pewno z różnej wielkości obu krajów. Również fakt, że wielu Niemcom Polska wciąż kojarzy się „socjalizmem” i „komunizmem”, jest jednym z powodów zbiorowej amnezji. Między innymi z tego powodu Henkel uznał za ważne, by wskazać na rolę Polski w zerwaniu żelaznej kurtyny w jego przemówieniu wygłoszonym na posiedzeniu frakcji EKR w europarlamencie z okazji 25 rocznicy upadku Muru Berlińskiego. Przypomniawszy wydarzenia w Poznaniu w 1956 roku, które bezpośrednio doprowadziły do powstania w Budapeszcie, o ruchu „Solidarności”, o odważnych bojownikach, takich jak polski ksiądz Jerzy Popiełuszko, którego zamordowali komunistyczni siepacze. Za wypowiedź, że „papież Polak zrobił więcej dla upadku muru i ponownego zjednoczenia Niemiec” niż „wszyscy politycy niemieccy razem wzięci” zebrał oklaski nie tylko od Niemców. Polacy słusznie uważają, że „zmiana przez zbliżenie”, a w rzeczywistości „zmiana przez podlizywanie się” raczej wzmacniała komunistyczne reżimy niż nimi chwiała. My też jesteśmy tego zdania! Nasi polscy sąsiedzi z większą uwagą obserwowali aferę Böhmermanna niż Niemcy skandale w Polsce. Nie dziwi więc, że wielu Polaków było oburzonych, gdy niemiecka telewizja, finansowana z obowiązkowego abonamentu, pokazała polską premier obok skandalu wywołanego wierszem Böhmermanna i obok przedstawicieli europejskich partii prawicowych takich jak Marine Le Pen czy Frauke Petry. Premier Szydło odniosła się do tego na Twitterze: „Urodziłam się w Oświęcimiu. Rodzina mojej matki została przymusowo wysiedlona przez Niemców. Mój dziadek zmarł w KL Auschwitz. Taka jest moja historia”.

W „FAZ” Stephan Stach z Uniwersytetu w Halle ironiczną wypowiedzią zareagował na oburzenie naszego kolegi z frakcji EKR, profesora Zdzisława Krasnodębskiego, na temat zafałszowywania wizerunków członków nowego polskiego rządu.

„Jakże śmieszne jest to sztuczne oburzenie!” – komentował Stach. Pisał także o tym, że Krasnodębski należy do partii rządzącej i od ponad dwudziestu lat zajmuje profesurę na uniwersytecie w Bremie. Jednak nie wspomniał, że właściwie czyni to z niego wyjątkowo kompetentnego świadka wrażliwości Polaków wobec Niemiec.

W czerwcu 2016 roku prezydent Polski Andrzej Duda odwiedził swojego niemieckiego odpowiednika Joachima Gaucka. Ten zaś natychmiast pojechał potem do Warszawy. Obaj świętowali w Berlinie i Warszawie swego rodzaju niemiecko-polskie srebrne wesele. Powodem była 25. rocznica podpisania Układu o przyjaźni i dobrym sąsiedztwie między tymi państwami. Tak Florian Hassel skomentował te wydarzenia w „Süddeutsche Zeitung” („SZ”): „Z pewnością nie jest to czas kwitnięcia harmonii!”. Ale stwierdził także, że oba narody mogą spojrzeć wstecz „na trwający od 27 lat okres szczęścia”. Jeszcze dwa lata wcześniej Jarosław Kaczyński twierdził: „Nie życzyłbym sobie wojsk niemieckich na polskim terytorium. Przynajmniej siedem pokoleń musi minąć, zanim to będzie dopuszczalne”. Dzień przed ukazaniem się wstępniaka Hassela na pierwszej stronie gazety, uczestniczyliśmy w przyjęciu na cześć polskiego ministra obrony Antoniego Macierewicza, który reprezentował swój kraj na konferencji NATO w Brukseli. Podczas wspólnej kolacji w niewielkim gronie rozmawiano między innymi o udziale niemieckich saperów w manewrach NATO w Europie Wschodniej. Jak napisał Hassel w „SZ”, „Polacy na poligonie klaskali na ich widok!”. Nie tylko Jarosław Kaczyński nie mógłby sobie jeszcze niedawno wyobrazić, że niemieccy żołnierze będą tak serdecznie witani nad Wisłą. My też nie. Mimo to nie robiliśmy sobie nadziei. Nic tak nie scala ludzi jak wspólny wróg. Historia pokazuje, że dotyczy to także narodów. Czujemy jednak rozczarowanie, gdy musimy stwierdzić, że to Putin przyczynia się obecnie w większym stopniu do pojednania niemiecko-polskiego niż niemieccy

i polscy politycy. Hessel ma rację, pisząc: „Nie ma żadnego sensu, by europejscy i niemieccy politycy stale publicznie pouczaali Polaków”. My dodajmy do tego: dotyczy to szczególnie niemieckich polityków w Brukseli! Potępienie Jarosława Kaczyńskiego stało się ulubionym zajęciem niektórych z nich i większości niemieckich dziennikarzy. Naszym zafascynowanym mediami politykom wydaje się podejrzane, że Kaczyński woli uprawiać politykę zza kulis niż na scenie. Osobiście jesteśmy przekonani, że można mu ufać. Oczywiście Kaczyński „prawie nie utrzymuje kontaktów ze światem zewnętrznym poza kręgiem swoich najbliższych współpracowników”, jak napisał Konrad Schuller w „FAZ”. Ale wiemy, że uważnie i często słucha doradców. A znamy nie tylko jego doradców, znamy także jego!

Ledwo w Berlinie i Warszawie dobiegły końca uroczystości z okazji niemiecko-polskiego srebrnego wesela, a już jeden z niemieckich polityków na kilka dni przed 75. rocznicą napaści Niemiec na Rosję wywołał zgrzyt również w relacjach Polski z Niemcami. Frank-Walter Steinmeier, „wierny uczeń Gerharda Schrödera” (według „Der Tagesspiegel”), skrytykował opisane wyżej manewry NATO jako „potrząsanie szabelką”, „okrzyki wojenne” i „symboliczne defilady”. Nie wierzyliśmy własnym oczom i uszom. Ledwo niemiecki rząd okazał wsparcie swoim partnerom w NATO: Polsce i w krajom bałtyckim, a już jego minister spraw zagranicznych wysługuje się Putinowi. Polscy przyjaciele pytali nas w Brukseli: a kto potrząsa szabelką na wschodniej Ukrainie, na Krymie i w Syrii? Ponieważ Steinmeier raczej nie mógł mieć na myśli Putina, Polacy zastanawiali się, kogóż to wziął na cel. Estonię, Litwę, Łotwę czy Polskę? A może swoją koleżankę z gabinetu, minister obrony Ursulę von der Leyen, która wysłała saperów nad Wisłę?

Relacje niemiecko-polskie pokazują nam, że nie tylko niemieccy politycy z Brukseli, ale także niemieccy politycy z Berlina powinni pilnie wylądować na kozetce.

## ROZDZIAŁ 8.

NIEMIECKIE „STADNE DZIENNIKARSTWO”  
I AUTOCENZURA

Przyglądając się projektowi jednolitej waluty (jeden z nas z punktu widzenia niemieckiego przemysłu, drugi jako przedstawiciel nauk ekonomicznych), zauważyliśmy, że niemieckie media w większości pozytywnie, ba, nawet euforycznie komentowały odejście od marki niemieckiej. Brakowało tu jakiegokolwiek krytyki. Ponieważ Starbatty, w przeciwieństwie do Henkela, od samego początku był nastawiony sceptycznie do wprowadzenia euro, o wiele wcześniej dostrzegł ów medialny jednogłós. Jako zwolennicy liberalnej gospodarki: Hayeka, Schumpetera i Erharda, byliśmy przez dziennikarzy niezłomnie służących idei euro określanei epitetami w stylu: „szowiniści zachodniej marki”, „przeciwnicy Europy” i „prawicowi populiści”.

Kiedy coraz wyraźniej rysowały się gospodarcze i polityczne konsekwencje wprowadzenia euro i nie tylko ekonomiści, lecz również zagraniczne media zaczęły dostrzegać koszmarne skutki uboczne tej decyzji, przede wszystkim w Europie Południowej i we Francji, w Niemczech większość dziennikarzy ARD, ZDF i prasy drukowanej pozostała bezgranicznie wierna jednolitej walucie. Krytyczne doniesienia anglosaskich mediów o konsekwencjach najpierw polityki euro, a potem ratowania tej waluty nie doczekały się rzeczowej odpowiedzi w niemieckich mediach. Wyjaśniano, że krytyka pochodzi przecież spoza strefy euro i w gruncie rzeczy Brytyjczycy są „zazdrośni” o nową pokojową walutę, albo też nie potrafią zrozumieć, czym jest wspólny europejski duch.

Pozytywne nastawienie niemieckich firm wydawniczych do euro nie zmieniło się nawet wtedy, gdy media innych państw eurozony publikowały coraz bardziej krytyczne materiały.

Oczywiście zdarzały się wyjątki. Dość wcześnie zmienił się „ton” informacji działu Gospodarka w „FAZ” na temat polityki rządu wobec euro. Mimo to przez długi czas gazeta zdawała się żyć pełną euforii schizofrenią. Z jednej strony dziennikarze działu Gospodarka w „FAZ” znacznie bardziej realistycznie niż ich koledzy oceniali rzekomo błogosławione skutki wprowadzenia jednolitej waluty, a z drugiej ci z działów Polityki czy Opinii zamieszczali peany na jej cześć. Pewien nasz dobry znajomy, znany powszechnie szef rodzinnego przedsiębiorstwa z Siegerlandu i były prezes potężnego związku gospodarczego, miał tak dalece dość tych sprzecznych komunikatów, że nakazał swoim sekretarkom, żeby rano kładły mu na biurko tylko te części gazety, które poświęcone są gospodarce i finansom.

Szczególnie rzucał się w oczy sposób komunikowania ARD i ZDF. Zarówno w wiadomościach, jak i komentarzach na temat rozlicznych pakietów ratunkowych, europejskich szczytów i kryzysowych posiedzeń prawie nigdy nie mówiono o „kryzysie euro”. Z punktu widzenia redakcji skierowałoby to aż nazbyt wyraźne światło na sprawcę tego bałaganu. Zamiast tego prowadzący woleli mówić o „kryzysie finansowym” lub „kryzysie zadłużenia państwa”. Gdyby częściej mówili o „kryzysie euro”, widzowie mogliby łatwiej zrozumieć, co jest prawdziwą przyczyną ograniczonych do strefy euro problemów i zawołać wtedy: „Łapać złodzieja!”. W bardzo podobnym tonie komunikowano w niemieckich mediach o kryzysie migracyjnym.

Zachwyty prowadzących wieczorne wiadomości w ARD i ZDF nad zademonstrowaną na dworcu głównym w Monachium we wrześniu 2015 roku kulturą powitania był zrozumiały i nawet my nie możemy go potępiać. Skrytykować należy natomiast interpretowanie tego wydarzenia przez państwową telewizję jako kolejnego kroku Niemiec na prostej drodze do osiągnięcia statusu nowego moralne-



go supermocarstwa. Z wielką radością pokazywano zdjęcia Niemców przekazujących na peronie wyczerpanym, ale przeszczęśliwym uchodźcom kwiaty i pluszowe misie. Z jeszcze większą satysfakcją wyświetlano materiały zagranicznych telewizji o tym wydarzeniu. Dzięki temu Niemcy z pewnością poczuli się podwójnie usatysfakcjonowani. Nie tylko bowiem sami uznali, że moralnie górują nad innymi, ale inni też tak to widzieli!

Ponieważ obrazy często są bardziej przekonujące od liczb, ARD i ZDF w relacjach o uchodźcach na greckich plażach, austriackich przejściach granicznych lub niemieckich dworcach epatowały wizerunkami kobiet, całych rodzin, a także prezentowały zbliżenia małych dzieci z szeroko otwartymi smutnymi oczami. Z tygodnia na tydzień było to coraz bardziej widoczne, a co za tym idzie – denerwujące, jeśli nie przytłaczające. Bo fakty od dawna mówiły co innego. Jak poinformowała nas Komisja Europejska, w roku 2015 spośród uchodźców szukających azylu w UE aż 72,3 proc. stanowili mężczyźni!

Czytana przez nas regularnie „FAZ” była chyba pierwszą niemiecką gazetą, która zajmowała się nie tylko kulturowymi szansami oraz korzyściami płynącymi z demograficznych i koniunkturalnych przemian, dyskontowanymi przez rząd, szefów niektórych stowarzyszeń i profesorów, lecz także wyzwaniem i zagrożeniem płynącymi z uprawianej przez Merkel polityki powitania. Pod koniec lata 2015 roku, w apogeum fali uchodźców, „FAZ” opublikował na pierwszej stronie kolorowe zdjęcie dużej grupy przybyszów. Działy fotograficzne większości niemieckich redakcji, w tym ARD i ZDF musiały odebrać to jako prowokację. Wśród dziesiątków uchodźców nie można było dostrzec ani kobiet, ani dzieci.

Oczywiście, rozumiemy potrzebę stałego eksponowania przykładów udanej integracji przez telewizję publiczną. Jasne jest dla nas, że będą w niej prezentowane rekomendacje oraz szanse wynikające z migracji, a także przedstawiane cierpie-

nia uchodźców. Oburza nas jednak trwająca miesiącami jednostronność przekazu ARD i ZDF i „zamiatanie pod dywan” informacji o ryzyku związanym z niekontrolowaną imigracją. Rosnąca liczba opłacających abonament obywateli musiała odczuwać to jako cowieczne pranie mózgu.

Opóźnienie w informowaniu o wydarzeniach z nocy sylwestrowej na dworcu głównym w Kolonii przelało czarę goryczy! I nie jest to tylko nasze zdanie. Oburzenie z tego powodu osiągnęło poziom, którego nie mogli ignorować nawet prezesi państwowej telewizji. Po tym, jak odpowiedzialny za newsy prezes ZDF zmuszony został do publicznych przeprosin, przekaz stacji telewizyjnych zmienił się o 180 stopni. Przecieraliśmy oczy ze zdumienia, oglądając wieczorne wiadomości. Nagle ataki pochodzących z Afryki Północnej mężczyzn na Niemki w Kolonii stały się częścią programów informacyjnych. Zaczęto swobodnie dyskutować o narodowości napastników. Pytania o to, czy zachowanie muzułmańskich mężczyzn w wieczór sylwestrowy mogło mieć coś wspólnego z islamem, przestały stanowić tabu. Po pewnym czasie mieliśmy wrażenie, że telewizja publiczna, zrzuciwszy jarzmo politycznej poprawności, starała się zadośćuczynić latom zaniedbań. Niespodziewanie redaktorzy i prowadzący programy zaczęli się prześcigać w tym, kto wypowie się najbardziej otwartym tekstem.

Ale nie dotyczyło to wszystkich. Gdy na początku czerwca 2016 roku po meczu w grupie eliminacyjnej podczas Mistrzostw Europy rosyjscy i brytyjscy chuligani bili się na trybunach stadionu, siły bezpieczeństwa schwytały jakiegoś „golasa” a wokół rozgrywały się różne nieobyczajne ale spektakularne sceny, Europejska Federacja Piłki Nożnej (UEFA) wprowadziła cenzurę i nie pokazała niczego. UEFA chciała przedstawiać wyłącznie piękny piłkarski świat, pozbawiony tej mniej estetycznej strony. Komentatorom niemieckiej telewizji nie pozostało nic innego, jak opisać słowami to, czego nie mo-

gli zobaczyć widzowie. Dostrzegliśmy hipokryzję w tym, że akurat redaktor naczelny WDR Jörg Schönenborn poskarżył się na stosowaną przez UEFA cenzurę. Powinien był znacznie wcześniej interweniować we własnej firmie, gdy dziennikarze podawali informacje o euro czy uchodźcach. Najwyraźniej Schönenborn dostrzega autocenzurę tylko u innych. Także prowadzącemu wiadomości w telewizji ZDF Klausowi Kleberowi nie brakuje tupetu. Również on przypisuje sobie „wyższy poziom” świadomości, gdy podczas programu zajmuje się szerzeniem najwyższych moralnych standardów. Kiedy w dyskotecie dla gejów na Florydzie 49 Amerykanów zostało zmasakrowanych przez zaopatrzonego w broń ciężką syna imigranta z Afganistanu, otwartego zwolennika ISIS, przestrzegał przed pośpiesznym wyciąganiem wniosków co do jego motywów. Uważaliśmy to za właściwe, jako że nawet kiedy nasza książka była oddawana do druku, wciąż nie było do końca jasne, czy chodziło o osobę nienawidzącą gejów, radykalnego islamistę czy psychopatę.

Gdy jednak kilka dni później, tuż przed referendum w sprawie pozostania Wielkiej Brytanii w UE, w biały dzień na ulicy została zamordowana prounijna posłanka laburzystów Jo Cox, Kleber natychmiast uznał, że musiała ona być ofiarą kampanii nienawiści ze strony zwolenników Brexitu. Nie byli tego pewni nawet prowadzący śledztwo funkcjonariusze, także po referendum.

Oczywiście dziennikarze mogą sami stosować autocenzurę. Gdy jednak staje się to praktyką w publicznej telewizji, niezależnie od ideologicznego kierunku, któremu sprzyja, to naszym zdaniem wyczerpuje to znamiona cenzury. Prowadzący, tacy jak Carmen Miosga, Thomas Roth i Jan Hofer, udowadniają jednak, że można inaczej.

Wydarzenia w Kolonii dały publicznej telewizji także inne spojrzenie na realne problemy integracji. Najpierw od

razu stwierdzono, że wśród sprawców nie było uchodźców. To, że od początku nie mogło być to prawdą, powinno być jasne nie tylko dla polityków, lecz także przedstawiciele mediów. Nawet jeśli sprawcy z dworca głównego w Kolonii już od wielu lat przebywali w Niemczech, musieli przecież skądś uciec, niezależnie od powodów. Nie świadczy to dalibóg o sukcesie naszej polityki integracyjnej, ale raczej o bezradnej próbie tuszowania całej sprawy. Również zagraniczni obserwatorzy ze zdumieniem przyjęli do wiadomości skandaliczne wydarzenia i bezradne interpretacje niemieckich polityków i mediów. Polski minister spraw zagranicznych oczywiście nie przepuścił takiej okazji, by odpowiednio zareagować na wypowiedzianą przez Niemców krytykę nowych polskich ustaw o mediach. Chciał się dowiedzieć od Berlina, czy wśród ofiar północnoafrykańskich imigrantów znajdowały się także polskie kobiety i dziewczęta.

Należy się jednak obawiać, że wahadło naznaczonych polityczną poprawnością doniesień w niemieckiej telewizji państwowej powróci na starą pozycję. Gdy Henkel w lutym 2016 roku został zaproszony do *talk show* „Markus Lanz”, w którym miał dyskutować na temat uchodźców, spotkał tam pięciu współrozmówców, którzy prawdopodobnie zostali dobrani w jednym celu: by przedstawić szanse rozwiązania kryzysu z uchodźcami w możliwie różowych barwach i bagatelizować związane z nim ryzyko. Tak jak to działo się przez wiele lat w temacie uniwersalnej waluty euro, prowadzący *talk show* o uchodźcach nie występował w roli neutralnego sędziego ani też prowadzącego. Był raczej rzecznikiem prasowym kanclerz Angeli Merkel.

Rzuca się w oczy także to, że od lat żaden z grupy tak zwanych konserwatywnych dziennikarzy niemieckich nie pojawia się w programach typu *talk show*. Nie może to jednak dziwić, gdyż takich dziennikarzy już nie ma! No bo dlaczego ciągle musi w tej roli występować szwajcarski wydawca „Weltwoche”

Roger Köppel? Na początku 2016 roku Henkel spotkał się z nim w programie „Maischberger”. Redakcja nie potrafiła znaleźć niemieckiego dziennikarza o odpowiednich poglądach. Szwajcarski publicysta Kurt W. Zimmermann wskazał na to, że Szwajcarzy rzadko trafiali na stronę tytułową tygodnika „Der Spiegel”. Udało się to Maksowi Frischowi i Friedrichowi Dürrenmattowi, a teraz Rogerowi Köppelowi, który stał się „coverboyem” szwajcarskiej edycji niemieckiego magazynu. Obecność Köppela w niemieckich mediach jest ewidentnym dowodem na jednomyślność, którą niemieckie dziennikarstwo samo sobie narzuciło. „U nas nie ma takiej doktryny o jednomyślności” – mawia Köppel. Znaleziono by na to w mediach całą paletę argumentów. W temacie imigracji sięga ona od „rozpadu demokracji” do „zdrady kraju”. Zimmermann uważa, że „Szwajcaria w porównaniu z niemiecką pustynią jest, jeśli chodzi o różnorodność publicystyczną, duchowym rajskim ogrodem”. Przez piętnaście lat Henkel zasiadał w radzie nadzorczej największej firmy wydawniczej w Szwajcarii, Ringier AG, i bez zastrzeżeń może się podpisać pod opinią Zimmermanna. Gdzie podziały się konserwatywne pióra niemieckie? Czy jest gdzieś następca Gerharda Löwenthala w publicznej telewizji? Naprawdę trudno znaleźć choćby jednego konserwatywnego niemieckiego dziennikarza.

Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami popularnej u nas w internecie i prawicowych kręgach spiskowej teorii głoszącej, że niemieccy dziennikarze na rozkaz z góry lub działający w tajnym stowarzyszeniu („kłamliva prasa”), zobowiązali się do pozytywnego prezentowania polityki rządu wobec uchodźców, euro lub polityki klimatycznej. Jesteśmy jednak przekonani, że gwiazdy mediów w naszym kraju często dokonują autocenzury. Zawsze gdy do głosu dochodzą działający w Brukseli korespondenci ARD i ZDF, odnosimy wrażenie, że zachowują się oni jak osiadli w Brukseli rzecznicy rządu federalnego. Pojawiają się regularnie w niemieckich programach typu

*talk show* jako dzielni obrońcy polityki Merkel wobec uchodźców i euro. W dyplomacji dokłada się starań, by ambasador nie pracował zbyt długo w jednym miejscu. Ministrowie spraw zagranicznych słusznie przypuszczają, że np. dyplomaci niemieccy, którzy przez wiele lat piastują swe stanowisko w danym kraju, przestają w pewnym momencie reprezentować interesy Niemiec i zamieniają się w ambasadorów gospodarzy. Już choćby z tego powodu nie pozostają oni na swoich stanowiskach dłużej niż trzy do pięciu lat. Wyjątki od tej reguły są raczej rzadkie. Pracując od pewnego czasu w Parlamencie Europejskim możemy stwierdzić, że wielu dziennikarzy, a przede wszystkim Wolf-Dieter Krause z ARD, już dawno temu zostało zarażonych „wirysem europejskim” i nie są oni zdolni do przekazywania informacji w innym niż euroromantyczny tonie. Musiał zauważyć to także dyrektor WDR Tom Buhrow. W każdym razie po piętnastu (!) latach zakończył ostatecznie „Wolf-Dieter-Krause-Europa-Show”. Gdy od kilku godzin znany był już wynik referendum w sprawie Brexitu, ARD połączyła się na wizji ze swoim korespondentem w Brukseli – Krausem. Otwarcie opowiedział się on za poglądami obrażonego na Brytyjczyków Junckera, któremu nie przyszło do głowy nic innego, jak tylko wezwać ich do natychmiastowego opuszczenia Unii. Z licznych wypowiedzi Krausego wynika, że – w przeciwieństwie na przykład do Henkela – „od zawsze był przeciwko traktatowi z Maastricht”. Skoro z jednej strony tak krytykował zacieśnianie Unii za pomocą traktatu z Maastricht, a z drugiej wyrażał się o niej pozytywnie, to mimo wszystko dla jej dobra nie powinien był w swojej brukselskiej korespondencji akceptować licznych przypadków łamania traktatu przez unijnych i niemieckich polityków.

Pięciu posłów ALFA często zastanawiało się, dlaczego ARD i ZDF jako „ekspertów” stale odpytywało na aktualne tematy przedstawicieli CDU/CSU, Zielonych i FDP, a pra-

wie nigdy przedstawicielei „Sojuszu”. Pięciu posłów ALFA reprezentuje bądź co bądź trzecią pod względem wielkości frakcję, czyli Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, a oni sami są w tej frakcji również trzecią co do wielkości grupą. Mimo to operatorzy ARD i ZDF wolą podstawiać mikrofony deputowanym FDP niż naszym, chociaż pracownicy obu programów w Brukseli powinni się orientować, kto jest kompetentny w kwestiach polityki gospodarczej i walutowej, kto ma praktyczne doświadczenie i kto może udzielić naukowego komentarza. Wyjaśnienie jest proste: osoby odpowiedzialne w ARD i ZDF nie lubią naszych odpowiedzi na pytania ich korespondentów.

Wcześniej często zadawano nam pytanie, dlaczego Niemcy, prawie zawsze osamotnione, kredytowały liczne akcje ratowania Grecji, Irlandii, Portugalii i Cypru, wystawiały gwarancje, a jednocześnie nie robiły nic, gdy Europejski Bank Centralny (EBC) naruszając rażąco swoje własne zasady, uruchamiał maszyny do drukowania pieniędzy, kosztami tego obarczając niemieckich podatników. Często zagraniczni dziennikarze pytali nas, dlaczego nikt w Niemczech się przeciw temu nie buntuje. Gdy kanclerz Merkel samodzielnie, bez uzgodnienia tego ze swoimi europejskimi partnerami, otworzyła dla uchodźców niemiecką służbę do Europy, wielu dziennikarzy w Brukseli, Strasburgu, Berlinie i Tybindze pytało nas, dlaczego w Niemczech tak późno, za późno, zorganizował się opór. Nasza odpowiedź brzmi: to wina między innymi niemieckich dziennikarzy!

Na krótko przed referendum w sprawie Brexitu Martin Fletcher opisał w „International New York Times” rolę mediów brytyjskich w bitwie między zwolennikami Brexitu a zwolennikami pozostania w Unii. Fletcher był korespondentem w Brukseli i obserwował, jak prawie cała brytyjska prasa napała na przeciwników Brexitu. Wyjątkiem był „The Guardian”, ale ma on względnie niewielu czytelników. „The Times” nato-

miast zachowywał powściągliwość. Wysokonakładowe „The Telegraph”, „The Daily Mail” i „The Sun” (odpowiednik niemieckiej gazety „Bild”) strzelały ze wszystkich dział w Unię. Dla nas było to „stadne dziennikarstwo”. Pojęcia tego użył Oscar Frey, członek rady nadzorczej szwajcarskiego koncernu medialnego Ringier AG, by opisać sposób pracy w swojej branży w Niemczech. My, autorzy tej książki, mieliśmy okazję doświadczać „stadnego dziennikarstwa” zawsze wtedy, gdy wyrażaliśmy sceptycyzm wobec świętej krowy – „jednolitej waluty: euro”. Miał z nim też do czynienia Thilo Sarrazin, autor wielu publikacji na temat emigrantów z krajów muzułmańskich. Można powiedzieć, że stał się on wręcz największą ofiarą niemieckiego dziennikarstwa stadnego. Po tym jak przewodniczący SPD Sigmar Gabriel wielokrotnie publicznie zapowiadał wykluczenie Sarrazina z partii, a Angela Merkel określiła jego książkę *Deutschland schafft sich ab* (pol. Niemcy likwidują same siebie) – nawet jej nie czytając – jako „mało pomocną”, Sarrazin stał się dla mediów człowiekiem wyjętym spod prawa. Dziwimy się jednak, że prawie bez echa przeszło jego uniewinnienie przez partyjny sąd koleżeński. Bądź co bądź obrońcą Sarrazina był nie kto inny, jak znany z rozsądku i stojący ponad wszelkim podejrzeniem Klaus von Dohnanyi, niegdyś burmistrz Wolnego i Hanzeatyckiego Miasta Hamburg i minister rządu w stanie spoczynku.

Także na Wyspach Brytyjskich przed referendum pojawiło się zjawisko stadnego dziennikarstwa. Jego celem było zniesławienie zwolenników pozostania w Unii. Ale amunicji brytyjskiemu dziennikarstwu stadnemu dostarczali przede wszystkim niemieccy i brukselscy europejscy romantycy.



## ROZDZIAŁ 9.

## NIEMCY RATUJĄ JASZCZURKI WE WŁOSZECH

Chorzy na „syndrom pomagacza” pomagają nie tylko ludziom w potrzebie, ale również tym, którzy wcale o pomoc nie prosili lub tym, którzy jej nie potrzebują. Z zapalem ratują także rośliny i zwierzęta. Dobrze pamiętamy o „obumieraniu lasów”, o którym mówili w latach 70. przede wszystkim Zieloni. Dziś w Niemczech jest więcej lasów niż na początku ostatniego stulecia. A termin „obumieranie lasów” zrobił wielką międzynarodową karierę, taką jak „*Kindergarten*” (pol. „przedszkole”) czy „*Angst*” (pol. „strach”, „lęk”). Nieustanne zwiększanie zasobów leśnych nie powstrzymuje jednak lokalnych społeczności w Niemczech przed stawianiem prawa jakiegoś drzewa ponad prawa obywateli. Jeśli drzewo zacienia dom właściciela posesji, na której stoi, to nie może on go ścinać i zastąpić nowym. Nie pomoże powoływanie się na niedostateczną ilość światła słonecznego, depresyjne nastroje mieszkańców czy rosnące koszty ogrzewania. Ani fakt, że to drzewo jako sadzonkę posadził właściciel, ani obietnica zasadzenia natychmiast „następcy” tego samego gatunku, najczęściej nie robią wrażenia na ratownikach drzew. Dla ocalenia drzewa dopuszcza się często podejmuje się działania, które przynoszą szkody.

W kuchniach Niemców stoi chyba więcej pojemników na odpadki, toreb na śmieci i skrzynek na butelki po napojach niż w kuchniach wszystkich innych narodów. Jedno wiadro zarezerwowane jest na kompost albo nawóz z nadających się do przetworzenia odpadów, drugie na papier i karton, trzecie na metale i surowce wtórne, kolejna skrzynka na butelki z kaucją (od czasów Trittina stoi ona obok wiadra na butelki jednorazowe i puszki). Są pojemniki na plastik, na specjalne odpadki, a wreszcie na pozostałe śmieci. Oczywiście jest też misa na zużyte baterie. W każdą sobotę mężczyzna jedzie – to zajęcie jest mimo wszystkich inicjatyw dotyczących równouprawnienia

ciągle jeszcze zastrzeżone dla płci męskiej – rodzinnym kombi do składu materiałów wtórnych. Tam opróżnia pojemniki do odpowiednich kontenerów. Przy tym spogląda na innych celem sprawdzenia, czy właściwie wypełniają oni makulaturą przeznaczony na nią kontener, a nie jakiś inny. Wprawdzie nie wiedzą, co dzieje się potem z tymi tak troskliwie posortowanymi odpadami, czy są zsypywane razem, palone czy wykorzystywane w jakiś inny sposób, ale mogą być dumni: są mistrzami świata w sortowaniu śmieci. Są pewni, że w ten sposób pomagają środowisku naturalnemu i czują się z tym doskonale. W kwietniu 2016 „FAZ” informował o pewnym szczególnym przypadku gminy ogarniętej syndromem pomagacza. Mowa jest o wielkim projekcie budowlanym „Stuttgart 21”. W demokratycznym głosowaniu zgodzili się na niego obywatele Badenii-Wirtembergii. Tak na marginesie, dziwne wydaje się nam, że w Niemczech można głosować nad budową dworca, ale już nie nad rezygnacją z własnej waluty.

Rzecznik Bahn AG informował, że istnieje niebezpieczeństwo, iż projekt, który z powodu niezliczonych demonstracji, procesów, skarg do władz i akcji sabotażowych i tak był już przesunięty w czasie, może zostać opóźniony o kolejne siedem miesięcy. „Z powodu kolejnej populacji jaszczurek na trasie budowy nowego odcinka ICE potrzebujemy decyzji o zmianach planów. Jeśli nie zostanie ona podjęta do sierpnia, nie będziemy mogli w tym roku zebrać jaszczurek”. Ponieważ ta informacja ukazała się we wspomnianej gazecie nie pierwszego, ale ósmego kwietnia 2016 roku, a dziennik dotychczas nie kojarzył się nam z kaczkami dziennikarskimi, artykułami satyrycznymi czy skłonnością do przesady, przeczytaliśmy artykuł do końca. Informowano w nim, że nowy odcinek ICE i należące do niego węzły kolejowe w Stuttgarcie mają zostać uruchomione jesienią 2022 roku. Żeby zadowolić ratowników jaszczurek wśród rządzących tym landem Zielonych, kolej musiała się zobowiązać do przesiedlenia około 10 tys. gadów.

Dowiedzieliśmy się, że na ten cel przeznaczono w budżecie „Stuttgart 21” wiele milionów euro. Przeczytaliśmy, że przy okazji budowy stacji Stuttgart-Untertürkheim zaczęto spierać się o to, czy sensowne byłoby wykonanie testów genetycznych, by ustalić, z jakich gatunków pochodzą jaszczurki, i odpowiednio je posegregować. Wydało się nam to godne uwagi, gdyż właśnie zwolennicy ochrony zwierząt z partii Zielonych często wypowiadają się przeciwko wykorzystywaniu dokonań genetyki i robią to nawet wtedy, gdy dzięki jej zastosowaniu można by zmniejszyć głód na świecie lub zwalczać uporczywe choroby.

Okazało się, pociągi towarowe kursujące między Stuttgartem a Włochami sprowadziły z tego kraju do Niemiec rzadkie gatunki jaszczurek, które, jak podaje się w artykule, krzyżowały się z lokalnymi gadami prowadząc do powstania mieszanej populacji, którą obecnie jest trudno rozdzielić. Kolejna komplikacja polegała na tym, że latem 2015 roku w pobliżu Wendingen, gdzie buduje się tunel górski dla ICE, odkryto nowy, nieznany do tej pory gatunek jaszczurek. Wprawdzie decyzja o planie budowy była już podjęta, ale z powodu występowania gadów musiała ulec zmianom i trafić do akceptacji do Federalnego Urzędu ds. Jaszczurek. *Pardon*, przez Federalnego Urzędu Kolejnictwa. To kosztochłonne i czasochłonne. „Przesiedlenie populacji jaszczurek jest drogie, skomplikowane i wymaga czasu”, pisze „FAZ”. Najpierw trzeba znaleźć, a być może nawet kupić zastępcze tereny. Potem przy możliwie słonecznej pogodzie – a to również wiąże się z poważnym ryzykiem dalszej zwłoki, no bo któż wymagałby od zwierząt, żeby dawały się zbierać w czasie deszczu – jaszczurki muszą „być chwytane za pomocą wędek, na których zamocowane jest jaszczurze lasso”. Ponieważ ich populacja szacowana jest na 6 do 10 tys. osobników, łapanie ich wymaga zatrudnienia do tego znacznej liczby ludzi. Dowiadujemy się, że uratowanie jednej jaszczurki kosztować będzie niemieckiego podatnika około 8,6 tys. euro,

a tereny zastępcze będą musiały być obserwowane po przesiedleniu przez 30 lat. Gdy rozważaliśmy ten jakże wymowny przykład niemieckiego syndromu pomagacza, wpadliśmy na pomysł, że do zbierania a potem do obserwacji jaszczurek można by wykorzystać syryjskich uchodźców. Naszą euforię przytłumiła jednak od razu myśl, że ta propozycja integracji mogłaby nie zostać zaakceptowana. W tym samym artykule poświęconym aktualnym wyzwaniom stojącym przed projektem „Stuttgart 21” przeczytaliśmy bowiem, że nie tylko on wymagać będzie dużych nakładów finansowych. Także budowa w mieście nowych kwater dla uchodźców będzie wyjątkowo kosztowna. Mają one powstać na miejscach przeznaczonych pod zabudowę, na których stwierdzono występowanie populacji nietoperzy. W konflikcie między chęcią niesienia pomocy uchodźcom a dobrobytem nietoperzy, administracja kierowana przez Winfrieda Kretschmanna stanęła po stronie nietoperzy. Artykuł kończy się konkluzją, że premier tego kraju związkowego często uskarża się na nadmierne regulacje w dziedzinie ochrony przeciwpożarowej.

W serii artykułów zatytułowanej „Co jest niemieckie?” „Bild” drukował wypowiedzi znanych osób. W czerwcu 2016 minister obrony Ursula von der Leyen pisała, że podczas regularnych lotów do bazy niemieckich oddziałów w Afganistanie zawsze była pod wrażeniem, że „w centralnych budynkach Camp Marmal stoją trzy pojemniki na śmieci, a w obozach innych państw tylko jeden”. Niemieckie jest nie tylko segregowanie śmieci; niemiecka jest także cecha polegająca na spoglądaniu z cnotliwą wyższością na innych. Niemiecka segregacja śmieci w Afganistanie – to dopiero coś!

# CZEŚĆ IV OD UNII POKOJU DO SKŁÓCONEJ UNII

## ROZDZIAŁ 10.

### CO I KTO ZAPEWNIŁ POKÓJ W EUROPIE?

Z uwagi na własne gorzkie doświadczenia niezwykle doceniamy fakt, że od 70 lat praktycznie wszędzie w Europie panuje pokój. Każdy z nas, autorów tej książki, stracił ojca w ostatnich tygodniach II wojny światowej. Obaj dorastaliśmy jako pólsieroty pośród pełnej gruzów pustyni i doświadczyliśmy biedy pierwszych lat powojennych. Obaj w dzieciństwie i młodości nabieraliśmy świadomości wielkiej winy, którą rzuciło nam na barki pokolenie naszych rodziców: przez fakt rozpętania II wojny światowej, z powodu zagłady Żydów i innych narodowości. Sądzymy, że z uwagi na tę właśnie osobistą historię potrafimy ocenić konsekwencje trwającego 12 lat panowania nazistów w Niemczech znacznie lepiej niż przedstawiciele młodszego pokolenia polityków. Innymi słowy, nie potrzebujemy, by ktoś w ramach korepetycji przekonywał nas, jaką wartość mają działania mające na celu utrzymanie pokoju w Europie.

Jako ludzie urodzeni w 1940 roku nie czujemy się ani bezpośrednio, ani nawet pośrednio współwinni okropności, jakich dopuszczali się w imieniu Niemców naziści. Wolimy mówić o odpowiedzialności zamiast o winie. Nie oznacza to oczywiście, że czujemy się odpowiedzialni za popełnione zbrodnie. Gotowi jesteśmy jednak wspierać ofiary nazizmu w dochodzeniu przez nie sprawiedliwości – jeśli w ogóle jest to możliwe. Przede wszystkim, w imieniu Niemiec, czujemy się współodpowiedzialni za to, by nie dopuścić do powtórze-

nia się takich zbrodni. Jesteśmy przekonani, jak chyba wszyscy nasi współobywatele i politycy, że zapewnienie pokoju w Europie jest najwyższym priorytetem. I choć pokój nie jest wszystkim, to zdecydowanie bez niego wszystko jest niczym.

70 lat bez wojen w Europie skłania także do refleksji na temat tego, dlaczego wcześniej tak długi okres względnego spokoju w Europie nie był możliwy. Między I a II wojną światową minęło 20 lat, a pokój przed I wojną światową trwał zaledwie 43 lata. Od kiedy rozpoczęliśmy „kampanię” przeciwko wspólnej walucie [euro] – celowo posługujemy się wojskową terminologią – jako autorzy niezliczonej liczby odczytów, artykułów, wykładów, goście programów telewizyjnych oraz posłowie do Parlamentu Europejskiego nieustannie spotykamy się z argumentem, że to ona właśnie zapewnia pokój. Ale to nie wszystko. Gdy wobec coraz mocniej uwidaczniających się tragicznych skutków wprowadzenia euro naszym adwersarzom kończą się argumenty z dziedziny ekonomii, zaczynają z uporem godnym lepszej sprawy wmawiać nam, że rezygnacja z euro stanowić będzie zagrożenie dla bezpieczeństwa w Europie i zagrozi wybuchem III wojny światowej.

Przy tej okazji należy wyraźnie podkreślić, że Joachim Starbatty od samego początku opowiadał się przeciwko wprowadzeniu w Europie wspólnej waluty. Hans-Olaf Henkel stał się sceptyczny wobec tego projektu dopiero kilka lat po jej wdrożeniu. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w 1995 roku. To było w biurze Starbatty’ego na terenie kierowanej przez niego Katedry Ekonomii Uniwersytetu w Tybindze. Henkel jako przewodniczący Federalnego Związku Przemysłu Niemieckiego (BDI) opracowywał wówczas stanowisko Związku na temat euro. Zbierając opinie na ten temat wśród różnych osób, zwrócił uwagę, że choć prawie wszyscy szefowie zrzeszonych w BDI związków branżowych opowiadali się za wspólną walutą, to większość szefów małych i średnich przedsiębiorstw była do niej bardzo sceptycznie nastawiona. Uderzyło go, że

przedstawiciele wielkich firm oficjalnie, mniej lub bardziej, popierali politykę jednolitej waluty. Przy czym określenie „oficjalnie” ma tu duże znaczenie: wielu z nich w rozmowach w cztery oczy wyrażało bowiem wobec niej szczerą niechęć. Do odważnych wyjątków należał ówczesny szef Thyssena<sup>1</sup>, Dieter Spethmann. Wraz z Joachimem Starbattym i kilkoma innymi osobami na dość wczesnym etapie złożył on skargę na politykę jednolitej waluty do Federalnego Trybunału Konstytucyjnego. Spethmann prowadził wieloletnią krucjatę, sprzeciwiając się najpierw przyjęciu euro, później niezliczonym naruszeniom traktatu z Maastricht, a wreszcie pakietom ratkowym dla innych państw eurozony, obciążającym przede wszystkim niemieckiego podatnika. Listy, które wysyłał często do redakcji „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, zawsze wyróżniały się na tle innych – również ambitnych i bardzo ciekawych wypowiedzi czytelników dziennika. Spethmann zmarł niedawno, pozostając dosłownie „do ostatniego tchu” jednym z najbardziej aktywnych i przekonujących adwersarzy europejskiej „polityki braku alternatywy” prowadzonej przez Merkel i Schäublego.

Również syn Henkela, Hans, już na początku lat 90. był zdecydowanym przeciwnikiem jednolitej waluty. Stale zasypywał ojca argumentami na poparcie swego poglądu. To zresztą wcale nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę, że Hans Henkel studiował wówczas ekonomię u profesora Joachima Starbatty’ego na Uniwersytecie w Tybindze. To Hans zachęcał ojca, by koniecznie wysłuchał Starbatty’ego, zanim odeleje w cemencie własne, względnie BDI, stanowisko w sprawie euro. Po tej pierwszej rozmowie Henkela ze Starbattym (młody Hans w niej zresztą uczestniczył), która miała miejsce w wypełnionym książkami ekonomicznymi gabinecie Starbatty’ego na Uniwersytecie w Tybindze, Henkel powrócił do

<sup>1</sup> ThyssenKrupp AG to niemiecka firma z branży stalowej – przyp. Kurhaus.

swojej położonej jeszcze na brzegu Renu w Kolonii centrali BDI. Był zamyślony. Uwagi Starbatty'ego na temat ryzyka, jakie niesie z sobą uniwersalna waluta, zrobiły na nim wrażenie. Szczególnie sensowna wydawała mu się teza Starbatty'ego, że to Niemcy będą zmuszone ponosić konsekwencje nieodpowiedzialnej polityki przywódców innych państw i ich zadłużania się.

Dlatego Henkel i BDI zgodzili się na wprowadzenie euro dopiero wtedy, gdy ówczesny podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów kierowanym przez Theo Waigla, Horst Köhler<sup>2</sup>, przeforsował wprowadzenie do traktatu z Maastricht<sup>3</sup> – wbrew potężnemu sprzeciwowi Francji – klauzuli o nieprzejmowaniu zobowiązań [*no-bail-out*].

Miało to zabezpieczyć Niemcy przed koniecznością ponoszenia odpowiedzialności finansowej za to, co się będzie działo w innych krajach eurozony, gdyby przewidywania profesora Starbatty'ego się sprawdziły. Zakaz przejmowania zobowiązań finansowych [innego kraju] zawarty w traktacie z Maastricht miał chronić przed tym, przed czym ostrzegał profesor z Tybingi! Henkel zupełnie się nie spodziewał, że za jakiś czas kanclerz Merkel i minister finansów Schäuble zniosą zakaz przejmowania zobowiązań, a człowiek, który wprowadził ów zasadniczy element do traktatu z Maastricht, Horst Köhler (który z czasem obejmie stanowisko prezydenta Niemiec), swoim podpisem uczyni z traktatu makulaturę. Starbatty jednak to przewidział.

Przy tej okazji warto przypomnieć, że Horst Köhler w niespełna 48 godzin od podpisania ustawy, która praktycznie znosiła zasadę, według której państwo członkowskie miało nie odpowiadać za zobowiązania innego państwa członkowskiego, trzymając żonę za rękę, ogłosił na pospiesznie zwołanej na Zamku Bellevue konferencji prasowej, że

<sup>2</sup> Później, w latach 2004–2010, Köhler był prezydentem Republiki Federalnej Niemiec – przyp. Kurhaus.

<sup>3</sup> Traktat z Maastricht (1992) zawierał m.in. postanowienia dotyczące realizacji unii walutowej – przyp. Kurhaus.



z „powodów osobistych” ustępuje ze stanowiska<sup>4</sup>.

Pytani o korzyści płynące z posiadania wspólnej waluty, znajdujemy jedną tylko: to dzięki niej spotkaliśmy się po raz pierwszy w 1995 roku na Uniwersytecie w Tybindze i dzięki niej nasze losy skrzyżowały się ponownie w 2014 roku w Parlamencie Europejskim. Obaj „na starość” postanowiliśmy wejść do polityki, by położyć kres koszmarnemu naszym zdaniem kursowi w kwestii euro – lub by przynajmniej móc zacząć na niego wpływać. Połączyły nas nie tylko program, członkostwo w „Sojuszu dla Postępu i Przebudzenia” (ALFA) oraz we Frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR) w PE, w Brukseli i w Strasburgu, lecz także głęboka przyjaźń. Możemy dzięki temu wspólnie komentować reakcje na nasze publiczne wypowiedzi. Uważamy, że „koniecznością utrzymywania pokoju w Europie” tłumaczy się obecnie nawet najbardziej groteskowe, błędne decyzje. Twierdząc uparcie, że „jeśli euro poniesie klęskę, to także Europa poniesie klęskę!”, kanclerz Merkel dusi w zarodku – jej zdaniem niepoprawną politycznie – dyskusję o alternatywnych kierunkach w polityce euro. Tych, którzy mają odwagę o tym mówić, uznała za wrogów Europy.

Europa wcale nie zawdzięcza 70 lat pokoju euro. Przed wprowadzeniem wspólnej waluty Niemcy ze swoją marką i Francja ze swoim frankiem wcale nie toczyły z sobą wojny. I choć Polacy stale mocno obstają przy złotym, żaden niemiecki żołnierz nie przekroczył polskiej granicy z zamiarem rozpętania wojny. Gwarancją bezpieczeństwa w Europie nie jest jednolita waluta, ale jej demokracje. Jeszcze nigdy europejskie demokratyczne państwo nie zaatakowało innego demokratycznego państwa. Oczywiście, dochodziło do wojen między dyktaturami; dyktatury atakowały kraje demokratyczne, a te nie pozostawały im dłużne. Jednak nigdy dotąd

<sup>4</sup> Köhler ustąpił w wyniku skandalu, jaki wywołał swą wypowiedzią dla publicznego radia po wizycie w Afganistanie. Stwierdził m.in., że Niemcy muszą być gotowe do obrony zbrojnej swych interesów gospodarczych – przyp. Kurhaus.

kraj demokratyczny nie uderzył w inne państwo demokratyczne.

Dlatego twierdzimy, że najlepszym sposobem zagwarantowania pokoju w Europie jest ochrona stosunkowo niedawno powstałych państw demokratycznych i przekształcenie istniejących jeszcze dyktatur w demokracje. Uważamy też, że celem wzmocnienia demokracji, należy bezwarunkowo i bezkompromisowo opowiadać się za rządami prawa. Z wielkim niepokojem przyglądaliśmy się więc łamaniu obowiązujących przepisów, obchodzeniu wiążących traktatów i międzynarodowych porozumień dla celów ratowania euro czy przyjmowania nierejestrowanych uchodźców. Oburzają nas regularne próby usprawiedliwiania tych działań lękiem przed wojną, wysanymi z palca argumentami o niezbędnych warunkach zachowania pokoju czy powoływaniem się na najnowszą historię Niemiec.

Tego ostatniego nie czynią nawet nasi dawni wojenni przeciwnicy. Tylko niemieckim politykom przychodzi do głowy, by utożsamiać euro z Europą. To niemal wyłącznie oni przedstawiają euro jako „gwaranta pokoju”. Naturalnie także tylko Niemcom przyszło na myśl, by szeroko otworzyć granice dla uchodźców i powoływać się przy tym na „szczególną wynikającą z przeszłości odpowiedzialność”. Szefowie wszystkich innych rządów ze zdumienia kręcili w tym czasie głowami. Odnosimy wrażenie, że owa wykoncypowana przez niemieckich polityków unia pokoju stanowi unik, którego celem jest odwrócenie uwagi od słabej jakości podejmowanych przez nich decyzji.

## ROZDZIAŁ 11.

### DROGA DO SKŁÓCONEJ UNII

Hasłu Angeli Merkel przeciwstawiamy inne: „Jeśli euro nie poniesie porażki, poniesie ją Europa!”. Wspólna waluta

nie tyle nie jest gwarantem pokoju w Europie, ile wręcz staje się zarzewiem coraz większych konfliktów. Sieje niezgodę. Komisja Europejska regularnie zleca badania na temat tego, co mieszkańcy 28 państw członkowskich sądzą o sobie nawzajem. Wynika z nich, że w maju 2010 roku Niemcy byli najbardziej lubianymi przez Greków partnerami w Europie. Od tego czasu kanclerz Merkel była dwa razy w Atenach. Za każdym razem tysiące greckich policjantów musiało ją chronić przed ewentualnymi incydentami ze strony demonstrantów.

Jeśli na chwilę oderwiemy wzrok od wzruszających fotografii sympatycznych Niemców [witających uchodźców] na dworcu głównym w Monachium, to zauważymy, że w wielu miejscach na południu Europy, a także we Francji, Merkel coraz bardziej uznawana jest za niesympatycznego ciemiężcę, nieznośnego i stawiającego wygórowane żądania. Dla wielu europejskich polityków, a tym bardziej dla obywateli krajów Europy Południowej, Schäuble natomiast jest uosobieniem niemieckiej arogancji, pychy i dążeń do hegemonii. W Grecji, Portugalii i Hiszpanii lewicowe i prawicowe populistyczne siły powstały lub wzmocniły się głównie dzięki odmalowywaniu obrazu Niemców jako wrogów. Przekonują one [swój elektorat], że Niemcy chcą narzucać im gospodarczy i finansowy model, i że to Niemcy są odpowiedzialne za promowanie polityki zaciskania pasa [*austerity*], a tym samym za ich [Grecji, Portugalii, Hiszpanii] gospodarczy upadek, bezrobocie i brak perspektyw dla młodzieży.

Oczywiście wiemy, że przyczyn fatalnej gospodarczej sytuacji południa Europy czy Francji nie należy szukać w polityce oszczędnościowej danego kraju. Wymuszone przez Niemców i w znacznym stopniu znienawidzone w innych krajach zaciskanie pasa jest tylko objawem choroby. Jej przyczyn należy szukać w polityce wspólnej waluty. Jednak przyznanie się do tego [unijnych] polityków oznaczałoby postawienie pod znakiem zapytania przyszłości tej waluty i potwierdzenie, że

popelniono błąd. Który polityk jest na to gotowy? Spójrzcie tylko na wymienione wyżej przykłady!

Nawet szczególnie istotne dla pokoju w Europie relacje między Francją a Niemcami uległy poważnemu pogorszeniu z powodu wspólnej waluty. Francuzi, uwiązani do zbyt silnego dla nich euro, ratunku z ich gospodarczej zapaści upatrują przede wszystkim w jego dewaluacji. Inflacja przeszkadza im w mniejszym stopniu niż Niemcom. Nie obawiają się zadłużenia państwa. Dążenie do celu, jakim jest osiągnięcie „czarnego zera”, a więc zrównoważonego budżetu, uważają za masochistyczne dziwactwo niemieckiego ministra finansów. We Francji interwencje państwa są na porządku dziennym. Gdy Niemcy cenią „społeczną gospodarkę rynkową” Ludwiga Erharda, Francuzi mają sentyment do merkantylizmu Jeana Colberta.

W czasach, gdy jeszcze były w obiegu niemiecka marka i francuski frank, te różnice w modelu gospodarczym nie prowadziły do poważniejszych rozdzwieńków między obiema stronami Renu. Prezydent Valéry Giscard d'Estaing świetnie rozumiał się z Helmutem Schmidtem. To samo można powiedzieć o relacji między francuskim socjalistą Mitterrandem a niemieckim konserwatystą Helmutem Kohlem.

Po wprowadzeniu euro sprawy przybrały inny obrót. Wspólna waluta, co europolitycy zauważyli dość późno, wymaga także jednolitej polityki gospodarczej i finansowej. Tymczasem tak samo jak Niemcy nie myśleli o tym, by zamienić swój oparty na dyscyplinie, przynoszący im sukcesy model gospodarczy na model francuski, tak Francuzi nie planowali rezygnacji z własnego sposobu gospodarowania opartego na państwowym interwencjonizmie. Ani oświadczenia o obustronnej sympatii i solidarności wygłaszane po tragediach takich jak atak na redakcję „Charlie Hebdo” czy ataki terrorystyczne w Paryżu w trakcie meczu towarzyskiego obu reprezentacji narodowych, ani też zwykle niezręczne wspólne wystąpienia Merkel i Hollande'a nie przykryją faktu, że

niemiecko-francuskie relacje są dzisiaj najgorsze w ostatnich 50 latach.

To wcale nie dziwi. Mało kogo nad Sprewą czy Sekwaną cieszy, gdy niemiecka strona publicznie ponagla francuski rząd do wprowadzania reform, wskazuje palcem na jej deficyt budżetowy, uskarża się na interwencjonizm we francuskim biznesie i przymusza do solidności. Nie jest też powodem do radości, gdy francuski minister spraw wewnętrznych twierdzi, że Niemcy muszą porzucić kurs oszczędności, albo też gdy francuski minister spraw społecznych proponuje, by Niemcy na znak solidarności połączyły swój system ubezpieczeń społecznych z francuskim. Zawsze gdy z niemieckiej strony Renu rozlega się wołanie o „solidność”, echo odpowiada „solidarnością”.

Na jakiej podstawie Wolfgang Schäuble żąda od Greków (którzy wcale nie wynieśli go do władzy), by prywatyzowali koleje państwowe? Abstrahując już od tego, że żaden z nas, autorów, nie kupiłby tej zrujnowanej firmy nawet za symboliczne euro, zwrócić należy uwagę, że jednak Schäuble nie domaga się, by np. wprowadzić na giełdę Deutsche Bahn (Kolej Niemiecką).

Dlaczego Angela Merkel uważa, że może wymagać od Belgów, by porzucili system kształtowania płac powiązany z poziomem inflacji? Abstrahując od tego, czy jest to sense, czy nie, warto odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to Belgowie wybrali ją w wyborach?

Dlaczego Merkel każe Hiszpanom skrócić wymiar urlopów? Abstrahując od tego, że ich urlopy są krótsze niż urlopy mistrzów Europy w tej dziedzinie, czyli Niemców, to kto daje prawo Merkel, by stawiać Hiszpanom takie wymagania?

Od Włochów Niemcy domagają się redukcji rozbuchanego długu publicznego, od Portugalczyków ograniczenia świadczeń emerytalnych, a od rządu Grecji, odchodząc od przyjętego wcześniej planu, by to obywatelom pozwolił de-

cydować o realizacji (lub nie) narzuconych przez Trojkę – a więc przedstawicieli Europejskiego Banku Centralnego, Komisji Europejskiej i eurogrupy – reform.

Odpowiedzi na te pytania [dlaczego? na jakiej podstawie? jakim prawem?] są proste. W obecnym systemie rząd federalny musi traktować strefę wspólnej waluty dokładnie tak, jak to robi. To euro narzuciło mu wobec innych krajów tej strefy rolę, która odpowiada roli banku wobec dłużnika. Jeśli bank lub kasa oszczędności przyznają właścicielowi średniej wielkości firmy kredyt na zakup nowych maszyn, a on zamiast nich kupuje sobie ferrari, bank musi zareagować. Pieniądze na kredyt pochodzą bowiem z depozytów oszczędnościowych. Aby zapewnić ich bezpieczeństwo, bank musi troszczyć się o to, by kredytobiorcy należycie i z pełną odpowiedzialnością wykorzystywali przekazane im środki.

Nie jest to jednak akceptowalne w polityce. Angela Merkel została wybrana przez deputowanych Bundestagu, których z kolei wybrał naród niemiecki. Dlatego twierdzimy w tej książce, że nadeszła już pora, by obok zaprzestania licznych niewłaściwych działań, będących wynikiem posiadania wspólnej waluty, rozbroić także samo euro – tę polityczną bombę z opóźnionym zapłonem, która jeśli wybuchnie, wytworzy tak wielką falę uderzeniową, że w powietrze wyleci nie tylko eurozona, ale także cała Europa.

System euro coraz bardziej zagraża również samej Unii Europejskiej, Europie, demokracji i, koniec końców, pokojowi. System walutowy, który zmusza potencjalnie największego kredytodawcę do nieustannego wtykania nosa w sprawy jego potencjalnych dłużników, może tylko siać niezgodę i powodować spory.

Euro uczyniło z unii pokoju unię konfliktów. Jeśli euro nie poniesie klęski, to poniesie ją Europa.

# CZEŚĆ V

## DAŻENIE DO POZBAWIENIA NIEMIEC WŁADZY I NIEPOŻĄDANE TEGO SKUTKI

### ROZDZIAŁ 12.

#### CEL FRANCJI: POZBAWIĆ WŁADZY NIEMIECKI BANK FEDERALNY

W 1960 roku rząd francuski zdenominował i ustabilizował kurs franka. Operacją kierował ekspert finansowy Jacques Rueff. Po skreśleniu trzech zer na banknotach, za jednego *nouveau franc* płacono 1,1 marki zachodnioniemieckiej. Jeden nowy frank był więcej wart niż marka zachodnioniemiecka. W maju 1998 roku, gdy podjęto decyzję o wprowadzeniu euro, za franka można było dostać tylko 27 fenigów, a więc jedną czwartą wcześniejszego kursu. Osłabienie tej waluty odzwierciedlało wzrost wskaźnika cen dóbr konsumpcyjnych i utratę konkurencyjności Francji na międzynarodowych rynkach. Także oprocentowanie państwowych obligacji było wyższe we Francji niż w Niemczech. Jednak inwestorzy tracili na spadku wartości franka, a na walorach niemieckich zarabiali – dzięki aprecjacji marki niemieckiej. Oczywiście, okresowe dewaluacje franka pozwoliły podtrzymywać zdolność gospodarki francuskiej do konkurowania na rynkach międzynarodowych. Każdorazowo było to jednak związane z utratą prestiżu. Przy czym politycy francuscy nie uważali wcale, że to oni ponoszą winę za tę sytuację. Ich zdaniem przyczyną tego stanu rzeczy była nastawiona wyłącznie na stabilizację cen polityka pieniężna Niemieckiego Banku Federalnego (Bundesbanku).

Pierwszym krokiem w stronę uwspólnotowienia walut i ograniczenia wpływu Bundesbanku na europejską politykę pieniężną był szczyt europejski w Hadze (1-2 grudnia 1969 roku). To na nim wytyczono cel, którym miała być europejska unia walutowa. Uczestnicy szczytu powierzyli premierowi Luksemburga Pierre'owi Wernerowi opracowanie stopniowego planu wprowadzenia europejskiej waluty.

W owym czasie konkurowały z sobą dwie koncepcje dojścia do celu – doktryna kamienia węgielnego i doktryna ukoronowania. Ta pierwsza mówiła o przygotowaniu gruntu pod unię polityczną za pomocą wspólnej waluty. Stawiano na strategię faktów dokonanych: po postawieniu decydującego kroku w polityce monetarnej będzie musiała nastąpić polityczna transformacja, która zapewni unii walutowej stałe funkcjonowanie. Natomiast według teorii ukoronowania należało najpierw dostosować politykę finansową, gospodarczą i systemy świadczeń socjalnych poszczególnych krajów, aby dojść do porozumienia co do kursów wymiany. Takie rozwiązanie przez dekady całkiem nieźle funkcjonowało w przypadku pozostających w nieformalnym związku Holandii, Austrii i Niemiec. Dopiero gdy trwale zapobieżono by wahaniom kursów wymiany, proces konwergencji można by ukoronować przyjęciem wspólnej waluty.

W koncepcji kamienia węgielnego impulsem do procesu konwergencji miała być decyzja polityczna. W tej drugiej – wspólna waluta miała być rezultatem ewolucyjnych zmian. Członkowie grupy Wenera, w której po niemieckiej stronie wybijał się Hans Tietmeyer, zgodzili się na kompromis. Zamierzali dojść do wspólnej waluty trzema równoległymi drogami:

- poprzez konwergencję monetarną i gospodarczą,
- poprzez rezygnację z narodowych instytucji i instrumentów przy jednoczesnej rozbudowie ich ponadnarodowych odpowiedników,



– poprzez uwspólnotowanie politycznej suwerenności na drodze tworzenia wspólnej waluty.

Kiedy gaullistowska partia sprawująca władzę we Francji doszła do wniosku, że na drodze do wspólnej waluty będzie musiała ograniczyć swoje kompetencje w kwestii planowania budżetu czy podatków, postanowiła forsować tylko jedną drogę do unii walutowej. Dziś wiemy, że to właśnie stanowi o chorobie Unii Gospodarczej i Walutowej: założenie, że kraje członkowskie podporządkują politykę narodową potrzebom wspólnej waluty nie sprawdza się. Zaslugą niemieckiej delegacji podczas rokowań było przeforsowanie idei podążania trzema równoległymi drogami. Zapobiegła wówczas tragicznemu w skutkach rozwojowi sytuacji.

Kolejnym krokiem na drodze wikłania Niemieckiego Banku Federalnego w sieć europejskich powiązań było utworzenie przez Giscarda d'Estaing'a i Helmuta Schmidta Europejskiego Systemu Walutowego (ESW). Ponieważ kraje dysponujące różnymi pod względem siły walutami były zobowiązane do utrzymywania stałych kursów [dla każdej pary walut] i interweniowania tylko w obrębie pewnego pasma wahań, politycy oczekiwali, że kraje o słabej walucie będą dążyć do większej dyscypliny w polityce pieniężnej, a te o silnej walucie do prowadzenia mniej restrykcyjnej polityki. Kraje mające problemy z bilansem płatniczym mogły w ramach systemu otrzymywać kredyty na finansowanie interwencji na rynku walutowym. Te musiały być spłacane najpóźniej po sześciu miesiącach. Zapewniały one względnie krótki oddech na podjęcie działań wzmacniających politykę monetarną i mających zapobiec dalszemu osłabianiu waluty. Gdy pomimo interwencji nie można było ustabilizować kursu danej waluty w ramach ESW, następowała wówczas zmiana kursów podstawowych. Nowe kursy musiały być zaakceptowane jednogłośnie przez ministrów finansów wszystkich krajów członkowskich. Z biegiem czasu okazało się, że gdy marka niemiecka znajdowała się w zniż-

kującym trendzie, inne kraje skupowały tę walutę i tworzyły z niej rezerwy (by w razie problemów móc stabilizować własny kurs, rzucając dewizy na rynek finansowy). W ten sposób w procesie konkurencji walut marka niemiecka zyskała status bezpiecznej przystani [ang. *safe haven*], czy też waluty stanowiącej kotwicę stabilizacyjną, wobec której regulowano kursy innych walut. Tam, gdzie Bank Federalny rzucił swoją kotwicę, tam musiały zarzucać je też inne banki centralne, włącznie z Bankiem Francji. Tym samym Bank Federalny wytyczał kurs, którym musiały podążać inne państwa członkowskie, jeśli nie chciały dopuścić do dewaluacji własnej waluty.

Bank Federalny cieszył się wprawdzie szacunkiem jako strażnik stabilności waluty, ale nie był lubiany. Największy atak na niego przypuściły francuskie elity. Poważany socjolog Pierre Bourdieu mówił o *principe Tietmeyer*, gdy brał na cel stabilizujący kurs Banku Federalnego, którego prezesem był wówczas Tietmeyer. Z kręgów politycznych, gospodarczych i z banków emisyjnych dochodziły głosy o „imperializmie marki zachodnioniemieckiej” uprawianym rzekomo przez Bundesbank. Dla opisanía relacji między Bankiem Francji a Niemieckim Bankiem Federalnym można posłużyć się głównym terminem teorii gier. Rozgrywała się między nimi *chicken game*: kto pierwszy straci nerwy i się podda. Niemiecki Bank Federalny wprawdzie wyciągał pomocną dłoń do Banku Francji, ale przy całej elastyczności pozostał wierny swojej polityce stabilizacyjnej.

Po tym, jak jesienią 1992 roku zawieszono udział funta brytyjskiego w mechanizmie kursowym [po ataku spekulacyjnym – przyp. Kurhaus], latem 1993 roku spekulanci skierowali się przeciwko frankowi. W trakcie dramatycznych rokowań francuska delegacja zażądała, aby Niemiecki Bank Federalny, którego uznawała za mąciociela w całej sprawie, opuścił ESW. Na takie *dictum* Holandia, a także pozostałe kraje członkowskie zareagowały oświadczeniem, że odejdą

razem z Bundesbankiem. W tej sytuacji jedynym strażnikiem waluty kotwicznej pozostałaby Francja. Kraje członkowskie uzgodniły wówczas poszerzenie przedziału dopuszczalnych fluktuacji od kursu parytetowego z plus minus 2,5 proc. do plus minus 15 proc. [w sumie do 30 procent]. Zapewniło to poszczególnym krajom takie pole manewru w prowadzeniu polityki pieniężnej, które pozwalało im na realizację celów narodowych. Ataki na Bundesbank stały się zbyt częste. I wtedy wydarzyło się coś zaskakującego: mimo zwiększonego pola manewru w polityce pieniężnej wzrosła gotowość państw ESW do podążania kursem Banku Federalnego. Tylko w ten sposób mogły bowiem udowodnić, że posiadają odpowiednie środki, by móc uczestniczyć w przewidzianej traktatowo unii walutowej. Dalsze spory na temat kursu w polityce pieniężnej i znaczące wychylenia w ramach poszerzonego pasma sugerowałyby bowiem, że albo jeszcze czas do tego nie dojrzał, albo poszczególne kraje nie spełniają kryteriów członkostwa w unii. Presja niezwykle zdyscyplinowała kraje członkowskie. Skończyły się ataki na Bank Federalny.

Oczywiście za kulisami rząd francuski dalej robił swoje. Podczas narad w Urzędzie Kanclerskim, w których uczestniczył Joachim Starbatty, przynajmniej dopóki uznawano go za osobę pożądaną, najbliżsi współpracownicy Helmuta Kohla opowiadali jak Mitterrand i Kohl dogadali się przy butelce burgunda, że francuski rząd będzie prowadził bardziej stabilizacyjną politykę, jeśli Bank Federalny wyjdzie mu naprzeciw. Mitterrand miał przyznać, że osiągnięcie poziomu Niemiec byłoby ponad siły Francji i zagroziłoby jej umowie społecznej. Kanclerz Helmut Kohl miał natomiast wykazać zrozumienie dla tego stanu rzeczy. Łatwo jednak było przewidzieć, że Bank Federalny będzie bronić swojej polityki stabilizacyjnej, a niemiecka opinia publiczna będzie stała po jego stronie.

Decydującą rolę przy wytyczaniu kierunku polityki pie-

niężnej odgrywały różne doświadczenia Niemiec i Francji z inflacją i deflacją. Po I wojnie światowej Niemcy cierpiały z powodu niewyobrażalnej utraty wartości pieniądza. Właściciele wielkich majątków i klasa średnia zostali wywłaszczeni i doprowadzeni do ruiny. W okresie inflacji po II wojnie światowej ceny zostały zamrożone – zamiast tego ciągle rosły kolejki przed sklepami. Zdewaluowany pieniądź zachowywał jakąkolwiek wartość tylko razem z kartkami na żywność. Czarny rynek kwitł, a przemytnicy nabijali kabzę. Właściciele sklepów magazynowali towary, bo pieniądź nie był nic wart. Dwie reformy walutowe – w latach 1923 i 1948 – przywróciły mocny pieniądź i zaufanie.

Ponieważ w trakcie reformy walutowej w 1948 roku Ludwig Erhard, ówczesny dyrektor urzędu gospodarczego Bizownii (zjednoczonego obszaru gospodarczego, który po II wojnie światowej był podporządkowany brytyjskim i amerykańskim władzom okupacyjnym), wbrew woli aliantów zniósł większość regulacji gospodarczych i ograniczeń, w ciągu nocy półki sklepowe wypełniły się niedostępnymi od dawna towarami. Czarny rynek upadł, gdyż pieniądź znów był coś wart – właściciele sklepów wymieniali towary na godną zaufania monetę. Hasło dnia brzmiało zaś: nigdy więcej inflacji.

Francuzi mieli odmienne doświadczenia. Po światowym kryzysie gospodarczym w 1929 roku francuski tradycyjnie trzymał się franka opartego na parytecie złota. Tymczasem zawieszona została wymienialność funta brytyjskiego i dolara amerykańskiego na złoto – waluty te zostały zdewaluowane. Ceny we Francji kształtowały się na wysokim poziomie. Francuzi mogli odzyskać konkurencyjność albo obniżając ceny na rynku wewnętrznym, albo dewaluując franka. Rząd francuski zdecydował się na deflację. Kierował się przy tym bardziej motywami politycznymi niż ekonomicznymi. Polityka deflacji okazała się błędem. Cięcia wydatków budżetowych i pensji nie doprowadziły do oczekiwanej obniżki cen, lecz

do zubożenia społeczeństwa i bezrobocia. Polityka ta wywołała wśród robotników, którzy ponosili główny ciężar dopasowania rynku do deflacji, wybuchy gniewu i rozczarowanie. W końcu doszło do buntu części społeczeństwa. Do dziś deflacja jest traumą Francuzów.

Dlatego nastawienie Niemców i Francuzów do pieniądza i polityki pieniężnej jest przeciwstawne. Politycy francuscy uważają, że pieniądz i polityka monetarna są zbyt ważne, by pozostawiać je ekspertom. Natomiast Niemcy sądzą, iż są one zbyt ważne, by pozostawiać je politykom. We Francji za pieniądz i stopę inflacji odpowiadały rządy. W Niemczech Bundesbank – wsparty ustawowo zapewnioną niezależnością – wywalczył sobie wolną rękę w kształtowaniu polityki pieniężnej.

Nie oznacza to, że rządy w Niemczech z radością powitałyby każdy kurs Banku Federalnego zmierzający do stabilizacji cen. Jednak poparcie społeczne, którym od zawsze cieszył się Bundesbank, jest zbyt duże, by jakikolwiek rząd odważył się otwarcie zaatakować jego politykę. Francuzi mieli inne podejście: to demokratycznie wybrany rząd musiał utrzymywać pod kontrolą inflację, by sprostać odpowiedzialności, którą na niego demokratycznie nałożono. Eksperci mogli jedynie doradzać, ale nie decydować.

Francuskim rządowi musiał wydawać się absurdem pomysł, by zagraniczni eksperci dyktowali im politykę. Gdy na rynkach walutowych występowały turbulencje, Niemiecki Bank Federalny kierował wzrok na Bank Rezerwy Federalnej USA (Fed), czasami również na Tokio (wówczas Bank Japonii był jeszcze ważnym graczem na rynku dewizowym), ale nigdy na Paryż. Amerykański Fed spoglądał zaś na Frankfurt nad Menem. Bank Francji nigdy nie spoglądał na Nowy Jork czy Tokio, lecz zawsze na Frankfurt. Będąc satelitą w polityce walutowej, musiał kierować się niemiecką polityką pieniężną, jeśli nie chciał opuścić ESW i zdewaluować franka. Ten związek dobrze opisuje pewna uwaga Jacques'a Attaliego, wówczas

najbardziej zaufanego współpracownika François Mitterranda. Opowiedział o niej kiedyś Joachimowi Starbatty'emu David Marsh. W trakcie rokowań Attali wskazał niemieckiemu negocjatorowi, że niemiecka bomba atomowa jest niebezpieczniejsza od francuskiej *force de frappe*. Gdy Niemiec spojrział na niego nic nierozumiejącym wzrokiem, Jacques Attali dodał tylko: „Bank Federalny”.

Także Włochom nie podobała się polityka Banku Federalnego. Włoski premier Andreotti wywierał presję na rząd federalny. Ale Hans-Dietrich Genscher, ówczesny minister spraw zagranicznych, uważał, że możliwości jego działania są bardzo ograniczone. Mimo zastrzeżeń Gerharda Stoltenberga, odpowiadającego jako minister finansów za pieniądz i waluty, przeforsował plan stworzenia unii walutowej. Nie mógłby tego zrobić, gdyby nie miał poparcia kanclerza. Podczas rozmowy w wąskim gronie Stoltenberg ujawnił Starbatty'emu, w jaki sposób on sam i jego resort zostali odstawieni na boczny tor. Ministerstwo Finansów próbowało potem ograniczyć szkody, upierając się, by przyszły Europejski Bank Centralny kierował się modelem Bundesbanku.

Niemiecki Bank Federalny przestał w końcu protestować przeciwko wprowadzeniu unii walutowej, gdyż uznał, że poprzez wpisanie jego statutu do traktatu z Maastricht zapewniono podtrzymanie prostabilizacyjnej polityki. Możemy tu słusznie mówić o transakcji wiązanej: Bank Federalny zrezygnował z funkcji „strażnika kotwicy stabilizacyjnej” w zamian za przyjęcie przez UE jego statutu, co miało zapewnić, iż polityka stabilizacyjna Banku Federalnego będzie kontynuowana na poziomie europejskim.

Helmut Kohl i ówczesny minister finansów Theo Waigel zaprzeczają istnieniu związku między pozbawieniem władzy Bundesbanku a zgodą Francji na ponowne zjednoczenie Niemiec. A co innego mieliby mówić? Jednak istnieje wiele dowodów potwierdzających taką tezę. Prawdopodobnie Helmut

Kohl zgodził się na utworzenie unii walutowej, by włączyć w proces europejskiej integracji rosnące politycznie i gospodarczo zjednoczone Niemcy. Chodziło o europeizację Niemiec, dzięki której państwa partnerskie wyzbyłyby się lęku przed niemiecką dominacją. Decydującym sprawdzianem tego była gotowość Niemiec do europeizacji marki. Dla Helmuta Kohla pierwszeństwo miała spójność UE. Dlatego odłożył na bok swoje zastrzeżenia dotyczące wprowadzenia unii walutowej bez wcześniejszego stworzenia ku temu politycznego fundamentu. Na pytanie, czy Mitterrand zagroził, że Francja odwróci się plecami do UE, jeśli Niemcy nie poświęcą Banku Federalnego na ołtarzu Europy, może odpowiedzieć tylko Helmut Kohl.

Wiemy, że sam zainteresowany mocno wpływał na opiniotwórcze media w Niemczech, by przeciwdziałać niechęci społeczeństwa wobec rezygnacji z marki. Hans D. Barbier, ceniony szef działu gospodarczego „FAZ”, zawsze reprezentował pogląd, że politycznie nie może być dobre to, co ekonomicznie jest złe. Podczas wizyty w redakcji „FAZ” Kohl z naciskiem podkreślał prymat polityki i dał do zrozumienia całej redakcji, że euro stanie się faktem, nawet jeśli niektórzy dziennikarze tego nie dostrzegają. Dlatego – jak mówił – potrzebna jest konstruktywna krytyka, aby euro, skoro już się pojawi, odniosło sukces. Od tej chwili zamilkły krytyczne głosy w tekstach „FAZ”.

Starbatty podczas spotkań w Izbach Przemysłowo-Handlowych lub Kasach Oszczędnościowych, zauważył, że ich prezesi i menedżerowie „trzymali się jednej linii”. W prywatnych rozmowach twierdzili, że są świadomi ryzyka, które niesie ze sobą wspólna waluta, i nie szczędzili wobec niej słów krytycznych, ale gdy występowali przed publicznością, chwaili dalekosiężne spojrzenie Helmuta Kohla, jego wolę utrzymania pokoju i poczucie odpowiedzialności za Europę.

## ROZDZIAŁ 13.

## NIEMIECKI BANK FEDERALNY NA STRACONEJ POZYCJI

Przy wprowadzaniu wspólnej waluty wszystkie kraje członkowskie zrezygnowały z własnego pieniądza, ale ich banki centralne, które przedtem w ramach ESW musiały podążać za Bankiem Federalnym w polityce pieniężnej, uzyskały ponownie wpływ na tę politykę – od tej pory mogły dyskutować o wspólnych krokach i współdecydować w radzie i dyrektoriatkach EBC. Były prezes Banku Francji Jacques de Larosière tak odpowiedział na pytanie, dlaczego jego kraj, zgadzając się na traktat z Maastricht, oddaje swoją suwerenność w polityce pieniężnej: „Nie chodzi o to, by ją dzielić, lecz by można było ją realizować w interesie Francji i wspólnoty”. O ile proces podejmowania decyzji był w ESW asymetryczny – kraje członkowskie kierowały się polityką Banku Federalnego – o tyle w sterowaniu wspólną walutą jest on symetryczny: każdy bank centralny dysponuje jednym głosem i może w ten sposób włączać swoje narodowe interesy w decyzje rady Europejskiego Banku Centralnego.

Ufność, że zapisanie niemieckiej kultury stabilności pieniądza w traktacie z Maastricht ochroni EBC przed upolitycznieniem, uległa zachwianiu już podczas pierwszej próby sił na początku unii walutowej 1 stycznia 1999 roku. Przyszli członkowie unii walutowej uzgodnili, że stanowisko prezesa EBC obejmie szef holenderskiego banku centralnego Wim Duisenberg. Do tamtej pory lojalnie podążał on kursem Banku Federalnego i uchodził za gwaranta sprawdzonej polityki stabilizacji.

Jednak prezydent Francji Jacques Chirac zaczął forsować swojego kandydata – Jeana-Claude’a Tricheta. Upierał się przy nim także dlatego, że oczekiwał po nim prowadzenia wygodnej dla Francji polityki pieniężnej. I tak unia walutowa rozpoczęła się nadszarpnięciem zaufania. Pierwsza kadencja preze-



sa została skrócona o połowę, a Duisenberg wyraził gotowość odejścia ze stanowiska po czterech latach.

Zdaniem byłego ministra gospodarki i orędownika zasad rynkowych hrabiego Ottona Lambsdorffa ten typowy targ – „przeciwko literze i duchowi traktatu z Maastricht” – był koszmarem początkiem, który podważył przekonanie obywateli o wiarygodności EBC i otworzył drzwi przyszłym politycznym manipulacjom.

Zauważmy, że przedstawiciele Wolnej Partii Demokratycznej (FPD) lubią twierdzić, iż w przypadku bratanka Ottona Lambsdorfa, hrabiego Alexandra, zasiadającego tak jak my w Parlamencie Europejskim, jego nazwisko jest „programem”. Nam wydaje się to bezczelnym nadużyciem, gdyż w przeciwieństwie do przeciwnika euro, jakim był hrabia Otto Lambsdorff, jego bratanek wypowiada się w Parlamencie Europejskim za utrzymaniem jednolitej waluty!

Zrezygnowano również z koncepcji stojącej za skutecznością polityki stabilizacyjnej Banku Federalnego. Kierował się on ustalonym wcześniej celem, którym była – ze względnie dużym zapasem – określona ilość pieniądza na rynku. Wprawdzie zdarzało się, że Bank dopuszczał do pojawiania się większej niż zakładano ilości pieniądza w obiegu, gdy pojawiała się potrzeba „poduszki” finansowej. Obserwatorzy polityki Bundesbanku nie mogli przewidzieć, czy w danym momencie będzie on realizował ów monetarny cel. Mogli jednak być pewni, że będzie kontrolować podaż pieniądza. Natomiast koncepcja EBC była od początku nie jedno-, lecz dwutorowa. Zamierzał on zarówno dążyć do wzrostu ilości pieniądza w obiegu, jak też prowadzić do harmonizacji indeksu cen konsumpcyjnych. Jego pole działania stale się więc poszerzało, a polityka uodparniała na krytykę.

Naruszanie celu, którym jest kontrola podaży pieniądza, usprawiedliwiano twierdzeniem, że indeks cen konsumpcyjnych kształtuje się zgodnie z założeniami. Jednak nadmierny

wzrost ilości pieniądza w obiegu nie doprowadzał do wzrostu cen tylko dlatego, że związki zawodowe wykazywały wstrzeżność w żądaniach płacowych, a jednostkowe koszty pracy rosły umiarkowanie. W górę zaś szły ceny towarów luksusowych. W takich sytuacjach EBC umywał ręce. Wreszcie w czerwcu 2003 roku całkowicie zrezygnował z określania pożądanej ilości pieniędzy w obiegu. Z tego powodu nie można już kontrolować polityki EBC. Jesteśmy właśnie świadkami procesu utraty kontroli.

W radzie prezesów EBC nie obowiązuje klucz kapitałowy – oznaczałby on większą siłę głosu banków centralnych, które mają największy udział w kapitale EBC. Każdy kraj niezależnie od wielkości populacji i siły gospodarczej dysponuje w niej jednym głosem. Jest to jedyna tego typu instytucja na świecie. Przy takim rozwiązaniu istnieje oczywiście niebezpieczeństwo, że banki centralne państw, które mają problemy z emisją własnych obligacji skarbowych i spłacaniem długów, będą nalegać na niskie stopy procentowe i przegłosowywać przedstawiciela Banku Federalnego.

Kiedy Starbatty zwrócił na to uwagę, usłyszał, że ten pogląd jest od dawna przestarzały, bo przecież wszystkie państwa członkowskie unii walutowej doświadczyły korzyści płynących z niemieckiej kultury stabilności pieniądza, która stała się częścią ogólnej świadomości. Reprezentanci Bundesbanku podkreślają – zagadnięci o zasadę „jeden kraj, jeden głos” – że posiedzenia rady prezesów Europejskiego Banku Centralnego przebiegają spokojnie. Oczywiście było tak, dopóki nie głosowano nad konfliktogennymi tematami, a narodowe interesy okazywały się w miarę zbieżne. Od praktyków polityki pieniężnej nie należy oczekiwać mydlenia oczu. Nasuwa się przypuszczenie, że wybrano taki podział głosów, by można było przegłosować Bank Federalny.

Jednak trzy najważniejsze gospodarki strefy euro – Francja, Włochy i Niemcy – są reprezentowane w Dyrektoriacie

EBC i mają prawo głosu w radzie EBC. Rząd federalny dostał także, na co bardzo naciskał, stanowisko „głównego ekonomisty” EBC. Ma ono wyjątkowe znaczenie. Piastująca je osoba sporządza bowiem projekty późniejszych decyzji Rady Prezesów EBC. Pracujący na tym stanowisku Otmar Issing i Jürgen Stark zawsze tak rozkładali akcenty, by wszelkie decyzje EBC wspierały politykę stabilizacyjną. Obecnie rząd federalny nie nalega już na realizację tego niepisanego prawa [by Niemiec był „głównym ekonomistą”] – albo dlatego, że nie może wysunąć porównywalnego kandydata, albo dlatego, że stracił zainteresowanie. Prawdopodobnie to drugie wytłumaczenie jest bliższe prawdy. Angela Merkel nie troszczyła się już nawet o to, by przedstawiciela niemieckiej kultury stabilności pieniądza wybrano na prezesa EBC. Nie sprzeciwiała się nominacji Maria Draghiego. Uznała chyba, że wybór Niemca mógłby zaszkodzić utrzymaniu eurostrefy.

Jeśli kogoś dzisiaj oburzają wypowiedzi i działania Maria Draghiego, to powinien wiedzieć, że cieszy się on pełnym poparciem Angeli Merkel i Wolfganga Schäublego, nawet jeśli Schäuble od czasu do czasu publicznie krytykuje kurs Draghiego. Możemy się tylko domyślać, co szepcze mu w kulisach: „Mario, muszę u nas opowiadać różne rzeczy na ten temat, bo inaczej odejdą od nas wyborcy, którzy obawiają się o swoje oszczędności”. Draghi mówi pewnie: „Przecież rozumiem. Ale ty także zrozum, że nie mogę uprawiać polityki pieniężnej tylko w imieniu Niemiec. Muszę utrzymywać w kupie całą eurozonę”. Na co Schäuble uspokaja: „Oczywiście, to dla mnie jasne”.

Mamy nadzieję, że Czytelnicy wybaczą nam, iż prawdopodobny sens rozmów Draghiego i Schäublego oddajemy w tak nieformalnym tonie. Od czasu, gdy wszyscy na scenie dyplomatycznej posługują się angielskim – z gorszym lub lepszym skutkiem – automatycznie zwracają się do siebie po imieniu.

Z dokumentów EBC można się dowiedzieć, że przedstawiciel Niemiec Jens Weidmann prowadzi osamotnioną walkę przeciwko zwiększaniu płynności finansowej i kosztownym skutkom działań banku. Kiedy Draghi zapowiedział miliardowy program skupu obligacji skarbowych państw oraz innych walorów, kanclerz Niemiec zapytano o ocenę tej polityki. Odpowiedziała: „Mam nadzieję, że nie osłabi ona woli państw-dłużników do przeprowadzania reform strukturalnych”.

Jeżeli poziom stóp procentowych nawet w zadłużonych gospodarkach zmierza w kierunku zera, to jakie bodźce miałyby je skłonić do wprowadzania – przynajmniej – niepopularnych reform strukturalnych? Ciągłe słyszymy, że za pomocą polityki pieniężnej próbuje się kupić czas, by dało się pieczołowicie przygotować niezbędne reformy.

Zasada kupowania czasu za pomocą drukowania banknotów okazała się „zasadą długiej ławki”, a rozpaczliwe próby przeciwstawienia się tej polityce podejmowane przez przedstawiciela Niemiec w EBC, z pewnością można określić jako walkę z wiatrakami.

## ROZDZIAŁ 14.

### FATUM DYWIDENDY

Fatum ciężące nad udręczonymi długami państwami początkowo przybrało formę pozornego szczęścia. Z uwagi na głębokie strukturalne różnice gospodarcze pomiędzy członkami unii walutowej i zróżnicowany poziom inflacji, rentowność obligacji skarbowych państw także nie była jednolita (czasem różnice w oprocentowaniu długu sięgały nawet 20 punktów procentowych). Odzwierciedlały one różnego rodzaju ryzyka. Po wejściu do unii walutowej rentowność papierów wszystkich krajów członkowskich spadła do poziomu obligacji niemieckich. Niemcy jako solidny dłużnik wniosły swoją reputację do unii walutowej.

Ponieważ wychwalano strefę euro jako wspólną losu, uchodziła ona także za wspólną odpowiedzialności. Państwa członkowskie mogły w dalszym ciągu dzięki swoim głosom znacząco wpływać na politykę pieniężną. Wyczekiwana i skwapliwie wykorzystywana [przez mniej zdyscyplinowane gospodarki] eurodywidenda stała się jednak fatum eurozo-ny. Unikalna w historii gospodarki sytuacja, polegająca na tym, że w niektórych krajach oprocentowanie zaciąganego długu spadło nawet o 20 punktów procentowych, do zaledwie 5 proc., stanowiła silny bodziec dla koniunktury. Politycy w Niemczech mieli nadzieję, że eurodywidenda zostanie wykorzystana do podreperowania finansów publicznych (i prywatnych) w tych państwach. Niestety, tańszy kredyt spożytkowany został na życie ponad stan.

Europejski Bank Centralny mógł określić dla wszystkich państw członkowskich tylko jedną stopę procentową – to jest właśnie problem uniwersalnej [ang. *one size fits all*] waluty. Mając na względzie osłabione gospodarczo państwa stanowiące trzon unii – Niemcy, Francję i Włochy – EBC na początku trzeciego tysiąclecia ustalił stopę refinansową (stopa procentowa, według której bank centralny udziela innym bankom kredytów, wpływając na koszt udzielanych przez nie kredytów klientom indywidualnym) na historycznie niskim poziomie 2 procent. Był to poziom odpowiedni dla tych krajów, ale już nie dla Irlandii i przeżywających *boom* gospodarek z południa strefy euro. Ponieważ w tych państwach, biorąc pod uwagę ustaloną przez EBC stopę refinansową na poziomie 2 proc. oraz jednoczesny wzrost cen dóbr konsumpcyjnych, realne stopy procentowe w latach 2002–2007 były ujemne, rynki oszalały.

Ujemne realne stopy doprowadziły do powstawania tzw. bąbli spekulacyjnych na rynku nieruchomości, szczególnie w Irlandii i Hiszpanii. Największą aktywność przejawiał przemysł budowlany oraz powiązane z nim sektory (te, z których

do budowlanki płynął sprzęt i materiały, a także branża wyposażenia wnętrz). Do branż tych napływała siła robocza, banki przyznawały bez zastrzeżeń kredyty w kwotach, jakich tylko życzyli sobie klienci, gospodarka [pozornie] kwitła, a źródła przychodów podatkowych państwa tryskały niczym fontanny.

Kraje takie jak Irlandia i Hiszpania mogły dzięki temu w istotny sposób zmniejszyć swoje zadłużenie. Zamiast tego żyły iluzją. Gdy amerykański Fed i EBC podniosły stopy procentowe, by przeciwdziałać skutkom przegrzania koniunktury, bańki pękły. Rezultaty? Zadłużeni po uszy ludzie, niemający z czego spłacać hipoteki, upadające firmy w sektorze budowlanym i powiązanych z nim branżach, a wreszcie pogrążony w kryzysie system bankowy, który wcześniej chętnie rozpatrywał wnioski kredytowe firm niezdolnych obecnie do spłacania rat i musiał być ratowany przed bankructwem przez rządy krajowe.

Gwałtownie wzrosło – i to ponad poziomy sprzed boomu – zadłużenie Irlandii i państw południa Europy. Cios zadany przegrzanym rynkom spowodował szybki wzrost bezrobocia, spadek przychodów i załamanie inwestycji. We wszystkich tych krajach rozpoczęła się poważna recesja. Jakby tego było mało, państwa te – z powodu śrubowania płac w latach koniunktury – przestały być konkurencyjne.

Podsumowując: oczekiwana (i spożytkowana) eurodywidenta oraz polityka uniwersalnej waluty [ang. *one size fits all*] prowadzona przez EBC okazały się dla krajów południowych krańców eurozony impulsem do prowadzenia niedbałej polityki budżetowej i podnoszenia płac do poziomu, którego nie dało się utrzymać. Z pewnością wiodłoby się im lepiej, gdyby pozostały poza unią walutową i nie uległy jej pokusom.

W systemie kursów zmiennych, gdy ponadprzeciętnie wzrasta konsumpcja (publiczna i prywatna) oraz ponadprzeciętnych rosną płace, waluta ulega dewaluacji. W systemie kursów stałych czy też w unii walutowej, w takiej sytu-

acji waluta ulega wewnętrznej aprecjacji – w takim samym wymiarze, w jakim w tym pierwszym przypadku zostałaby zdewaluowana. Ponieważ w unii walutowej wentyl zmiany kursu jest zatkany, zadłużone kraje muszą dokonać wewnętrznej dewaluacji, by odzyskać konkurencyjność na rynkach międzynarodowych<sup>1</sup>.

W tym kontekście musimy poruszyć problem świadomości tych zagadnień w Komisji Europejskiej, gdyż jako mediator czuje się ona odpowiedzialna za los unii walutowej. Dotyczy to szczególnie jej przewodniczącego Jeana-Claude'a Junckera. Za wyjątkowy sukces unii walutowej uważa on zapobieżenie eksplozji kursów wymiany w czasie kryzysu finansowego z lat 2007/2008. A przecież nic by nie eksplodowało, gdyby znajdujące się w kryzysie zadłużone kraje nie były członkami unii walutowej. Kursowy wentyl bezpieczeństwa skompensowałby różnice w rozwoju gospodarczym.

Juncker, wskazując na niezmiennosc kursu jako sukces unii walutowej, mówi w rzeczywistości, że wewnątrz niej istnieje potrzeba dopasowania się. Brak sukcesów w dopasowaniu kursów obciąża proces odżywiania zadłużonych gospodarek niczym hipoteka. W liście do redakcji „FAZ” Starbatty wyjaśnił to dokładnie, a tekst opatrzony krótkim wprowadzeniem wysłał przewodniczącemu Komisji Europejskiej. Odpowiedział mu szef gabinetu Junckera, Martin Selmayr. Wiadomo, że Juncker i Starbatty różnią się w poglądach. Zamiast odnieść się do istoty sprawy, Selmayr posłużył się frazesem: „psy szczekają, karawana idzie dalej”.

O braku wentyla bezpieczeństwa w postaci wymiennej waluty oraz o sytuacji na rynku pracy mówił minister gospodarki i finansów Włoch Pier Carlo Padoan, gdy w Komisji ds. Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Parlamentu Europejskie-

<sup>1</sup> Wewnętrzna dewaluacja polega na obniżce płac, świadczeń, a w końcu cen. Ekonomści uważają, że tylko w ten sposób kraje, które są członkami unii walutowej i – z braku swojej własnej narodowej waluty nie mogą przeprowadzić dewaluacji zewnętrznej, czyli obniżyć jej wartości w stosunku do innych walut – mogą odzyskać konkurencyjność przyp. tłum.

go (angielski skrót nazwy to EMPL) przedstawiał propozycję stworzenia wspólnego ubezpieczenia od bezrobocia w strefie euro. Padoan, z wykształcenia ekonomista, zwrócił uwagę na różne możliwości wyrównywania różnic w rozwoju gospodarczym poszczególnych państw – można to robić albo poprzez zmianę kursu walut albo poprzez rynek pracy. Przy zmiennym kursie różnice w rozwoju gospodarczym i poziomie konkurencyjności wyrównywane są za pomocą rewaluacji lub dewaluacji waluty. Ponieważ wentyl kursowy jest w unii walutowej zatkany, dopasowanie musi nastąpić poprzez rynek pracy. Przy słabnącej konkurencyjności na rynkach międzynarodowych, spadającym eksporcie i wzmożonym imporcie, na rynku wewnętrznym zwalnia się pracowników. Jednak wraz ze wzrostem bezrobocia wzrost płac staje się słabszy, a realne płace mogą nawet spadać. To z kolei może przyczynić się do zwiększenia krajowej produkcji – jako że szansę dostają mniejsze podmioty, znajdujące się dotąd na obrzeżach rynku. W ten sposób kraj może odzyskać utraconą zdolność do konkurowania. Ta droga dopasowania się jest oczywiście o wiele bardziej bolesna niż zdewaluowanie waluty. Opierając się na tych wywodach, Padoan wysunął żądanie stworzenia wspólnego ubezpieczenia i funduszu do walki z bezrobociem, do którego w znacznym stopniu miałyby się dokładać kraje-wierzyciele.

Ta klarowna analiza wprawiła wszystkich w komisji EMPL, czyli komisji PE zajmującej się polityką społeczną, w dobry nastrój, ponieważ zwykle oczekuje się w niej zachwalania transferów socjalnych wewnątrz Unii. Na pytanie europosła Starbaty'ego, w jaki sposób poprzez uwspólnotowanie ubezpieczeń można przywrócić konkurencyjność zadłużonych państw, Padoan odpowiedział, że efekt taki można wywołać poprzez zewnętrzny szok. Taką argumentację słuchać od dawna, choć do tej pory nie wywodzono z niej konieczności stworzenia wspólnego ubezpieczenia od bezrobocia. Ponieważ kraje członkow-



skie nie mogą już same decydować o polityce pieniężnej czy kursie walutowym, mogą za to wpływać na sytuację na rynku pracy i kształtować poziom płac realnych, należy uwspólnotowić ciężary dopasowania gospodarczego. Będziemy mieć wówczas do czynienia z wewnątrz europejskim wyrównaniem finansowym. Na transferowy charakter tej konstrukcji wskazywali szczególnie niemieccy posłowie z Europejskiej Partii Ludowej (EPL).

Ale gdzie tu logika? Jeśli Wolfgang Schäuble przekonywał przed Federalnym Trybunałem Konstytucyjnym, ale także przy innych okazjach, że na euro najbardziej zyskują Niemcy, to przecież inne kraje członkowskie, które zyskują w mniejszym stopniu, lub nie zyskują w ogóle, mogą powiedzieć: prosimy pozwolić nam mieć udział w tych zyskach.

Padoan ma rację. Wyrównywanie fundamentalnych różnic pomiędzy gospodarkami poprzez rynek pracy jest najtwardszą formą dopasowania, jaką można sobie wyobrazić. Przy dewaluacji obniżane są wszystkie ceny, przy wewnętrznym dopasowaniu spadają tylko niektóre. Ponieważ możemy mówić o pewnym zasięgu cen, proces ten jest długi, a obciążenia związane z dostosowaniem się stają się coraz większe i trudniejsze do zaakceptowania.

Jeśli kraje dysponujące nadwyżką odmówią wspierania swoich zadłużonych partnerów i będą nalegać na zwrot przyznanych kredytów, poskutkuje to w strefie euro obowiązkiem wprowadzenia polityki zaciskania pasa. Obejmuje ona szereg drastycznych metod: cięcia w wydatkach budżetowych i świadczeniach socjalnych, podwyżki podatków i składek czy wreszcie spadek płac realnych. Z powodu stłumienia wewnętrznej konsumpcji siada import, natomiast uwolnione zostają możliwości rozwoju eksportu. Jednak wątpliwe jest, czy dokładnie te produkty, na których zakup nie stać już obywateli w zadłużonych państwach, nadają się na towary eksportowe. Jak zredukować deficyt w budżecie państwa, bądź nawet osiągnąć nadwyżkę, skoro rośnie bezrobocie, a z powodu

braku inwestycji nie następuje wzrost gospodarczy? Ponieważ przeczy to logice, laureaci Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii na konferencji w Lindau z wielką przyjemnością rozbili w proch argumenty kanclerz Merkel na poparcie polityki zaciskania pasa. Mimo to kontynuowała ona swoją linię, gdyż w przeciwnym wypadku musiałaby przyznać, że jej europolityka była błędna od samego początku.

Dlatego rządy państw-dłużników i Komisja Europejska naciskały na rząd federalny, by zmienił front: to nie państwa-dłużnicy powinny dokonać wewnętrznej dewaluacji, lecz Niemcy powinny dokonać rewaluacji. Miałyby uczynić dokładnie to, co pozbawiło zadłużone kraje konkurencyjności – czyli dopuścić do znacznego wzrostu prywatnej i publicznej konsumpcji przy wzrastającym publicznym i prywatnym zadłużeniu, a wówczas wyśrubowane świadczenia socjalne i płace mogłyby w relatywnie krótkim czasie osłabić przewagę konkurencyjną Niemiec w strefie euro.

Jednak rząd niemiecki nie jest na to gotów. Warto przypomnieć powtarzane jak mantra słowa Wolfganga Schäublego o „czarnym zerze”, które przechodzi w czerwone liczby jeśli uwzględnić konieczność redukcji zadłużenia Grecji.

Również socjaldemokraci, Zieloni, Lewica i związki zawodowe opowiadali się za wewnętrzną rewaluacją. Zapominają przy tym, że od roku 2010 mamy wprawdzie w Niemczech zadowalający wzrost gospodarczy i znaczny wzrost zatrudnienia, ale nie dlatego, że Niemcy eksportują więcej w ramach eurozony – od samego początku istnienia unii walutowej eksport ten uległ drastycznemu spadkowi – lecz dlatego, że zdecydowanie zwiększył się nasz eksport poza kraje UE. Gdybyśmy dla dobra europejskiego pokoju pozbawili się naszego potencjału wynikającego z przeprowadzonej reformy systemu zabezpieczenia społecznego, zniknęłyby nasze nadwyżki finansowe, z pomocą których utrzymujemy obecnie strefę euro na powierzchni wody.

I tu mamy do czynienia z paradoksem. Z jednej strony rząd Francji sądził, że może osłabić Niemcy, gdy pozbawi władzy Bank Federalny. Udało mu się to w niewyobrażalnym kiedyś stopniu. Jednak z drugiej strony, Francja i pozostałe państwa popadły w o wiele bardziej niebezpieczną zależność. Gdy uwspólnotowieniu ulegają decyzje dotyczące podstawowych parametrów ekonomiczno-politycznych: o stopach procentowych i kursie walutowym, wówczas konkurencyjność gospodarki zapewnić mogą tylko działania w obrębie płac i świadczeń socjalnych. Dzięki częściowemu uzdrowieniu systemu świadczeń socjalnych oraz umiarkowanym podwyżkom płac w ciągu ostatniej dekady, Niemcy zapewniły sobie przewagę konkurencyjną, której nie zdołały osłabić zmierzające w przeciwnym kierunku zmiany kursów. W europejskiej unii walutowej Niemcy uprawiają politykę, jak by to określił John Maynard Keynes, czynienia z sąsiada żebraka (ang. *beggar my neighbor policy*) – za pomocą sztucznej dewaluacji eksportuje się więcej towarów, a za to importuje zatrudnienie.

Zdumiewające jest, że Niemcy czynią to za zgodą wszystkich krajów partnerskich w eurozonie. Subwencionowany eksport zapewnił Niemcom nowy cud na rynku pracy i tym samym środki finansowe, by uchronić ogarnięte kryzysem kraje członkowskie przed bankructwem – przynajmniej na razie. Pewne marginalne zjawisko unaocznia dominację Niemiec w strefie euro. Po spotkaniu dotyczącym kryzysu euro Starbatty spytał jednego z uczestników, jakie było najważniejsze pytanie podczas rokowań. Ten zaś odpowiedział, że najważniejsze pytanie w ogóle nie padło, a powinno ono brzmieć: „*How long the Germans will pay?*” (pol. „Jak długo Niemcy będą płacić?”). Niemcy działają niczym kramarz, który swoje towary sprzedaje na świecie poniżej kosztów i przyznaje odbiorcom kredyty w eurostrefie – słynne salda celowe – których ci, w obecnej sytuacji, nie są w stanie spłacić. Brakuje im przyszłościowego modelu gospodarczego, który pozwoliłby im z nadwyżek

obsługiwać i spłacać kredyty. Niemiecki kramarz będzie więc dalej dostarczał towary licząc na to, że kiedyś otrzyma zapłatę. Rząd federalny będzie ciągle ratować sytuację za pomocą środków z podatków. Pani kanclerz tego chce.

## ROZDZIAŁ 15.

### OD EUROPEJSKIEGO PAŃSTWA PRAWA DO POLITYKI I SPOŁECZEŃSTWA POCHOPNYCH DECYZJI

Euro jest politycznym projektem, mówi Jean-Claude Juncker, przewodniczący Komisji Europejskiej. François Mitterrand, gdy był prezydentem Francji, i Helmut Kohl, ówczesny kanclerz Niemiec, wspólnie pchali ten projekt do przodu. Jednak architekci traktatu z Maastricht wiedzieli, że unia walutowa, do której przystąpią zachowujące suwerenność państwa narodowe, jest ryzykowną ekspedycją na nieznany ląd. Dlatego członkowie wyprawy powinni, nim się ona rozpocznie, udowodnić, że się do niej nadają. Spełnienie kryteriów konwergencji miało świadczyć o tym, że potencjalne kraje członkowskie przez wstąpieniem do unii walutowej są na podobnym etapie rozwoju gospodarczego i społecznego. Chodziło o to, by zapewnić, że po wstąpieniu do strefy euro ich gospodarki nie rozwiną się w przeciwnych kierunkach i nie rozsądzą samej unii.

W Bundestagu mówiono zawsze, że kryteria konwergencji muszą być stosowane jak najsurowiej. Kiedy jednak już zostały wprowadzone, stosowano je niedbale i naciągano do granic możliwości. Można udowodnić, że przynajmniej w pewnym zakresie się ich nie trzymano. Wpływowy polityk CDU i przewodniczący Komisji Prawnej w Bundestagu Rupert Scholz, nim doszło do politycznych i legislacyjnych decyzji, obniżył znaczenie kryteriów konwergencji, które miały obowiązywać wszystkich, uznając, że w niektórych przypadkach wystarczy jedynie dążenie do osiągnięcia danych parametrów. Tym

samym europejska unia walutowa zaczęła się od naruszenia prawa. Nie zadbano, by kraje unii prowadziły jednakową politykę fiskalną. A przecież wiadomo, że gdy jedni rozsądnie gospodarują pieniędzmi, a inni się zadłużają, to prędzej czy później ci pierwsi będą musieli stać się poręczycielami zobowiązań drugich. Dlatego właśnie Theo Waigel, ówczesny minister finansów Niemiec, za radą Bundesbanku zaproponował UE projekt paktu stabilizacyjnego. Przewidywał on automatyczne sankcje dla kraju, który nie będzie realizował kryterium bieżącego deficytu budżetowego (gdy przekroczy on 3 proc. PKB) oraz długu publicznego.

Oczywiście koncepcja ta wydawała się oderwana od rzeczywistości. Opierała się bowiem na wyobrażeniu, że groźba skłoni państwa członkowskie do utrzymywania dyscypliny budżetowej i zapobiegania wypracowywaniu nadmiernego deficytu. Niemiecki minister finansów stawiał na reguły budżetowe, które wykluczyłyby pojawienie się niebezpiecznych napięć w unii walutowej. Prezydent Francji Jacques Chirac uznał to jednak pomysł za nierealistyczny i wręcz się z niego nabijał. No bo z jakiego powodu demokratycznie wybrany rząd miałby podporządkować się regułom, które od początku będą ograniczać jego możliwości prowadzenia polityki?

Pod naciskiem Francji pakt stabilizacyjny został zmieniony w istotnym punkcie: nadmierny deficyt budżetowy nie powinien automatycznie uruchamiać mechanizmu sankcji – to ministrowie finansów kwalifikowaną większością głosów powinni decydować, czy rzeczywiście mamy do czynienia z nadmiernym deficytem. Hans D. Barbier zastanawiał się wówczas, co wyniknie z tego, „że grzesznicy będą decydować o losie grzeszników”. Teraz już wiemy: „zrobi się gorąco”.

Fundamentem unii walutowej był przepis głoszący, że ani wspólnota, ani państwo członkowskie nie może przejmować finansowych zobowiązań innego państwa członkowskiego – chodzi o wspomnianą już klauzulę *no-bail-out*. Jeśli ktoś

przeczyta jeszcze raz sprawozdania z decydujących rokowań w Bundestagu, to dostrzeże, że partie ówczesnej koalicji rządowej – CDU/CSU i FDP – zapewniały o nienaruszalności tej klauzuli. Przepis ten CDU wpisała nawet w swoje hasła wyborcze podczas kampanii.

Kiedy Starbatty w swoich wystąpieniach dla członków CDU wyrażał wątpliwość, czy klauzula *no-bail-out* zostanie utrzymana, odpowiadano mu, że nie musi się o to martwić, bo klauzula została wyryta w kamieniu. Gdy kanclerz Angela Merkel, a wraz z nią rząd CDU/CSU-FDP, zrezygnowała z klauzuli, zatwierdzając pierwszy pakiet pomocy dla Grecji, minister finansów Wolfgang Schäuble usprawiedliwiał złamanie prawa, mówiąc, że żaden kraj nie będzie zmuszony do uczestnictwa w bailoucie, ale może to robić dobrowolnie. Jakże łatwo wkłada się do szuflady uzgodnienia, które rzekomo wykuto w kamieniu. Już bardziej szczerą była ówczesna minister finansów Francji Christine Lagarde. „Musimy złamać traktaty, by uratować euro” – powiedziała.

Od czasu owego naruszenia prawa unia walutowa zmieniła się zasadniczo: odpowiedzialni politycy nie czuli się już zobligowani europejskimi traktatami. Zaczęli myśleć: co należy zrobić, żeby strefa euro się nie rozpadła? Gdyby trzymali się litery europejskich traktatów, ryzykowałiby trwałość eurozo-ny. Tak więc przypadki łamania prawa następowały jeden po drugim. Octavio Piccolomini mówi w *Wallensteinie* Friedricha Schillera: „Na tym właśnie polega przekleństwo złego czynu, że on, kontynuowany, musi rodzić zło”. Przenosząc to na rzeczywistość unii walutowej: zło łamania traktatów europejskich polega na tym, że implikuje ono dalsze łamanie prawa. Europejskie państwo prawa skarłało do polityki i społeczności pochopnych decyzji. Jak sobie radzi z tym niemiecki Federalny Trybunał Konstytucyjny? Od czasu złożenia przez Manfreda Brunnera i Karla Albrechta Schachtschneidera skargi przeciwko ratyfikowaniu przez Niemcy traktatu z Maastricht, Trybu-

nał nieustannie rozważa korzyści i zagrożenia płynące z unii walutowej. Zgodnie z orzeczeniem z 1993 roku uczestnictwo w unii walutowej jest zgodne z Ustawą zasadniczą, jeśli unia walutowa rozwija się w stronę stabilnej wspólnoty. Stabilna wspólnota oznacza zaś, że po pierwsze, zostanie zabezpieczony poziom cen, a po drugie, że jej członkowie, aby utrzymać unię, nie będą zmuszeni sięgać po środki, które skierowane będą albo przeciwko ich narodowym interesom, albo przeciwko innym państwom członkowskim. W przeciwnym wypadku przekroczone by zapisy traktatowe. Jeśliby się tak stało, uznał Trybunał, instytucjonalne ustalenia nie byłyby przeszkodą dla opuszczenia unii walutowej. Można z tego wnioskować, że w celu przystąpienia do unii walutowej należy dokładnie przestrzegać kryteriów konwergencji, aby wykluczyć niekorzystny rozwój sytuacji. W skardze Wilhelma Hankela, Wilhelma Nöllinga, Karla Albrechta Schachtschneidera i Joachima Starbatty'ego zatytułowanej „Dlaczego euro musi ponieść klęskę” (rok 1998) wykazano brak realizacji kryteriów konwergencji. Jednak Trybunał Konstytucyjny odrzucił skargę, twierdząc, że nie może zabierać głosu w sprawie prognoz, czy unia walutowa stanie się wspólnotą stabilizacji czy też nie. W obszernym uzasadnieniu swej decyzji przypomniał rządowi federalnemu, by ten pilnował i zabezpieczył drogę ku wspólnotie stabilizacji. Tym samym jednak otworzył drogę do unii walutowej.

Heribert Prantl w komentarzu na pierwszej stronie „Süddeutsche Zeitung” tak odniósł się wówczas do decyzji Trybunału Konstytucyjnego: „Odrzucając skargę, zdjął po cichu koronę, którą nałożył, ogłaszając wyrok w sprawie traktatu z Maastricht”. Oczywiście uwzględnienie skargi konstytucyjnej i potwierdzenie faktu naruszenia prawa miałyby dalekosiężne skutki polityczne i gospodarcze. Należałoby oczekiwać, że unia walutowa wystartuje później i z mniejszą liczbą członków. Dzięki temu – co przyznają nawet ówcześni jej orędownicy – bardziej przysłużyłoby się krajom, które

bez należytego przygotowania weszły do unii i dziś znajdują się w trudnej sytuacji, obecnym krajom wierzycielom, a także rozwojowi Europy.

W następnych latach składano kolejne skargi na łamanie traktatów: na pomoc dla Grecji, na wprowadzenie europejskiego parasola ratunkowego, oraz na *outright monetary transactions* (OMT) Europejskiego Banku Centralnego – masowy skup obligacji skarbowych i innych papierów wartościowych. Trybunał Konstytucyjny odrzucał je jako nieuzasadnione lub przedkładał do zbadania Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej. W opinii publicznej powstało wrażenie, że składający skargi walczą z wiatrakami za pomocą prawniczych lanc. Federalny Trybunał Konstytucyjny postąpił słusznie, nie sprzeciwiając się politykom. Ale skarżący osiągnęli przynajmniej tyle, że nie będzie już mogło dojść do zwiększenia ponad ustalony pułap kwoty zobowiązań Niemiec w ramach Europejskiego Mechanizmu Stabilizacyjnego (EMS) bez zgody Bundestagu. Oczywiście w praktyce parlament nie będzie mógł się na to nie zgodzić. Byłoby to przecież wyrazem kruchości całej konstrukcji – konsekwencją tego mógłby być rozpad strefy euro.

Podczas wystąpień przed Trybunałem Konstytucyjnym minister finansów Wolfgang Schäuble opierał swoją argumentację na dwóch filarach. Niemcy ze wszystkich państw członkowskich odnoszą dzięki euro największe korzyści. Miał na myśli dodatni bilans handlowy oraz import miejsc pracy. Powodem tego jest niedoszacowane – z punktu widzenia Niemiec – euro. Jednak pozyskane dzięki sukcesom eksportowym w strefie euro wierzycielności Banku Federalnego, tak zwane salda celowe, ulegną dewaluacji, jeśli państwa-dłużnicy opuszczą unię walutową lub zbankrutują.

Gdyby Trybunał Konstytucyjny uwzględnił skargę, na rynkach dewizowych i kapitałowych nastąpiłby „chaos”, gdyż byłby to sygnał dla całego świata, że spójność strefy euro utrzy-



mywana jest tylko za pomocą środków wykraczających poza przepisy prawa. Inwestorzy natychmiast chcieliby się pozbyć obligacji w euro wyemitowanych przez znajdujące się w kłopotach państwa (dłużników), aby uprzedzić spadek kursu.

Orzeczenia trybunału z Karlsruhe<sup>2</sup> można było interpretować także w ten sposób, że nie da się obecnie rozstrzygnąć, czy decyzje polityczne zgodne są z Ustawą zasadniczą. Bądź co bądź we wszystkich wyrokach odnaleźć można się następujące argumenty:

Trybunał akceptuje decyzje Bundestagu jako wybranego demokratycznie przez obywateli organu. Jednakże musi on także okazać, że działa zgodnie z wolą wyborców. Przekazanie kompetencji parlamentu ponadnarodowym organizacjom nie byłoby zgodne z Ustawą zasadniczą.

Rząd federalny nie może poddawać się niekontrolowanemu automatyzmowi finansowych zobowiązań. Można więc wnioskować, że emisja euroobligacji – w ramach której wiarygodne kredytowo kraje poręczałyby za zobowiązania państw-dłużników znajdujących się w kryzysie – uznana zostałaby za sprzeczną z Ustawą zasadniczą.

Badanie przez trybunał konstytucyjny polityki własnego rządu pod kątem zgodności tworzonego przez niego prawa z konstytucją jest w Unii Europejskiej rzadko spotykane. 17 listopada 2014 roku przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej odbyła się rozprawa w sprawie wniosku Federalnego Trybunału Konstytucyjnego. Zawarto w nim pytanie, czy działalność EBC oparta na jego decyzji dotyczącej OMT z 26 września 2012 roku, odnoszącej się do zakupu papierów dłużnych krajów pogrążonych w kryzysie, jest zgodna z dyrektywami europejskimi. W toku przewodu wykazano istnienie różnic w interpretowaniu prawa wewnątrz unii. Niemieccy uczestnicy procesu opierali się na europejskich trakta-

<sup>2</sup> W Karlsruhe mieści się siedziba Federalnego Trybunału Konstytucyjnego - przyp. Kurhaus.

tach i umowach i na ich tle oceniali decyzje EBC. Natomiast przedstawiciele Komisji Europejskiej i innych krajów członkowskich patrzyli na decyzje EBC przez pryzmat oczekiwanego celu: utrzymania strefy euro. Doszli oni do wniosku, że EBC działał zgodnie z owym politycznym celem. Nie rozważali przy tym przed Trybunałem Sprawiedliwości, nie mówiąc już o innych ku temu pretekstach, czy taka polityka nie wykracza czasem poza wskazany w traktatach zakres kompetencji EBC – czy nie jest *ultra vires*.

Ci, którzy jak Starbatty byli uczestnikami wszystkich rokowań w sprawie europejskiej unii walutowej, mogą potwierdzić, że drugi senat Trybunału Konstytucyjnego rzeczowo zapoznał się z materiałem oraz intensywnie przepytął pełnomocników procesowych i ekspertów, w niektórych przypadkach im „dogryzając”. Zresztą Andreas Voßkuhle, prezes Trybunału Konstytucyjnego, prowadzi rozprawy pewnie, z odrobiną przewrotnego humoru. Sędziowie drugiego senatu, którzy na co dzień zajmują się różnymi obszarami prawa, są w stanie ocenić różne etapy negocjacji. Drugi senat wie, że jego orzeczenia wpływają na politykę w Niemczech, ale także w UE. Dlatego stara się jej nie wytyczać ani nie zastępować. Akceptuje decyzje Bundestagu jako wybranego przez naród organu, który chce realizować interesy wyborców. Tylko w jednym punkcie przywołałby Bundestag do porządku, a mianowicie gdyby ten zaakceptował wynikający z międzynarodowych traktatów automatyzm finansowych zobowiązań, którego skutków nie mógłby kontrolować ani Bundestag, ani rząd. Choć być może dałoby się jeszcze znaleźć luki prawne, które pozwoliłyby potwierdzić zgodność takich działań z Ustawą zasadniczą.

Dlatego małą sensacją było, gdy większość składu Trybunału przed dwoma laty uznała, że decyzja EBC o OMT z 6 września 2012 roku zapadła *ultra vires*, a więc poza przyznanymi zgodnie z europejskim prawem kompetencjami EBC. Z początkiem lata 2012 roku rozwój sytuacji w strefie euro

zmierzałby w stronę jej rozpadu, gdyby EBC po wcześniejszych uzgodnieniach między najważniejszymi politykami nie ogłosił, że jeśli zajdzie taka potrzeba, to będzie skupował z rynku w dowolnej ilości obligacje krajów zadłużonych („*whatever it takes*”, pol. niezależnie od kosztów). Tym samym EBC udzielił tym krajom gwarancji. Rentowność obligacji zadłużonych krajów w widoczny sposób spadła.

EBC uzasadniał swoją decyzję tym, że w innym przypadku jego polityka nie wpłynęłaby w pożądanym stopniu na istotne dla polityki pieniężnej zmienne. Ale każdy znawca tematu wie, że wcale nie chodziło o transmisję impulsów polityki monetarnej, tylko o utrzymanie w całości strefy euro.

Federalny Trybunał Konstytucyjny nie chciał swoimi rozstrzygnięciami wystąpić przeciwko polityce europejskiej. Odesłał skargę w trybie prejudycjalnym do Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Jednocześnie pozostawił mu uchyloną furtkę, stwierdzając, że decyzja OMT mieści się w ramach polityki pieniężnej i jest kompatybilna z prawem europejskim. Trybunał Sprawiedliwości nie korzystając nawet z tej furtki dość apodyktycznie orzekł, że decyzja o rozpoczęciu OMT była zgodna z prawem unijnym i nie przekraczała kompetencji EBC w zakresie polityki pieniężnej. Ową opinię Trybunału Sprawiedliwości można określić słowami: znamy już odpowiedź, musimy tylko znaleźć dla niej uzasadnienie.

Niemiecki Trybunał Konstytucyjny 16 lutego 2016 roku w obszernym uzasadnieniu podzielił opinię Trybunału Sprawiedliwości. Starbatty'emu pozostała w pamięci uwaga jednego z sędziów, którą przytacza tutaj jak najwierniej: nawet jeśli na gruncie naszego prawa uznamy, że mieliśmy rację mówiąc o *ultra vires*, to przecież nie możemy stawiać samych siebie przeciwko opinii prawnej pozostałej części Europy.

Jens Spahn, poseł i wiceminister finansów rządu federalnego, przestrzegł drugi senat przed postrzeganiem rundy pomiędzy trybunałami (Federalnym Trybunałem Konstytu-

cyjnym i Trybunałem Sprawiedliwości UE) jako decydującej bitwy o prawną dominację w Europie. Zalecił, by uznać ją raczej za mecz towarzyski. Oznaczałoby to, że w europejskiej wspólnocie prawnej powinno w mniejszym stopniu chodzić o prawo, a raczej o przyjacielską ugodę między konkurującymi ze sobą sądami.

Najwyraźniej zachęta Spahna padła na żyzną glebę. Również ostateczny wyrok Trybunału Konstytucyjnego dotyczący OMT, który zapadł 21 czerwca 2016 roku podpada pod kategorię: wynik był z góry przesądzony, trzeba tylko było znaleźć właściwe uzasadnienie. Trybunał odrzucił skargę konstytucyjną i podporządkował się wyrokowi Trybunału Sprawiedliwości dla dobra europejskiego pokoju. Tym samym zapewnił swobodę działania Europejskiemu Bankowi Centralnemu we wszystkich planowanych akcjach. Skoro decyzja o OMT nie zostanie zakwalifikowana jako akt *ultra vires*, to wszystkie następujące po niej operacje będą z europejskiej perspektywy dopuszczalne. Wprawdzie Trybunał Konstytucyjny wyraźnie dostrzegł, że Trybunał Sprawiedliwości wyrokował od końca, jednakże jego decyzja nie była przypadkowa ani błędna.

Dokładna analiza wyroku ujawnia, że drugi senat, podejmując decyzję, wcale nie był jednomyślny, lecz że wygrali ci, którzy chcieli uniknąć konfrontacji z Trybunałem Sprawiedliwości. Heribert Prantl obrazowo przedstawił dylemat, przed którym stali sędziowie w Karlsruhe: w przyszłości akceptowałyby także potrawy, które uznałyby za przesolone – dopóki choć w pewnej mierze nadawałyby się do spożycia, gdyż Europejczycy mają po prostu różne smaki. Nie zgadzamy się z Prantlem, że EBC nie może wcale rządzić, jak chce. Bo cóż robi Mario Draghi, wspierany przez większość w Radzie Europejskiego Banku Centralnego? Rządzi, jak mu się podoba. Natomiast o uzasadnieniu, które wygłosił prezes Trybunału Konstytucyjnego, stwierdzającym, iż po tej decyzji europejskie państwo prawa zostało wzmocnione – możemy tylko po-

wiedzieć: oto próba przekucia klęski w sukces.

Jeśli do tamtej pory istnieli jeszcze optymiści wierzący w powrót państwa prawa, respektowanie traktatu z Maastricht lub szanowanie paktu stabilizacyjnego, to w ostatnim tygodniu lipca 2016 roku dostali nauczkę. Wprawdzie szef Komisji Europejskiej Juncker sprawiał wrażenie, jakby tym razem zamierzał obłożyć sankcjami Hiszpanię i Portugalię za najnowsze naruszenia zasad deficytu budżetowego, jednak w paradę wszedł mu akurat pewien Niemiec. Jak napisała holenderska gazeta „Volkskrant”, „niemiecki jastrząb” (Schäuble) „jednym ruchem zmiotł ze stołu pomysły nałożenia na nie kary”. Już wcześniej odpowiedzialny za te sprawy komisarz UE z Łotwy Valdis Dombrovskis ogłosił, że kary przynoszą skutek odwrotny do zamierzonego, bo obciążają kraj na „przeszłość”. A w tym przypadku należy „patrzeć wstecz”. Po prostu zaparło nam dech! Po raz kolejny nie tylko nagięto prawo. Bruksela, a więc sama „góra”, postawiła pod znakiem zapytania cały system prawny. Pomijając już fakt, że interwencja Schäublego w ewidentny sposób uderza w interes Niemiec, za pomocą tego uzasadnienia można by teraz wywinąć się z każdej sankcji, każdej grzywny i w ogóle wymigać od wszelkiej kary, bo czyż zagrożony nią czyn nie został popełniony w przeszłości? Portal internetowy Politico oraz „FAZ” pisały o „telefonach Schäublego” do ministrów finansów z krajów eurozony i unijnych komisarzy. Podobno starał się ich skłonić, by zrezygnowali z zamiaru głosowania za karami finansowymi dla Hiszpanii i Portugalii. A przecież były one przewidziane w traktatach (a zostały zapisane w dokumentach unijnych pod naciskiem Niemiec obawiających się, że inne państwa będą przekraczać górną granicę deficytu budżetowego).

W instytucji państwa prawa kosztem Niemiec wydrążono kolejne korytarze. A pracowitym kretem okazał się znowu Niemiec.

# CZEŚĆ VI

## SYBSYDIARNOŚĆ ALBO WIR, KTÓRY WCIĄGA EUROPE

### ROZDZIAŁ 16.

#### CENTRALIZM ZAMIAST POMOCNICZOŚCI

W traktacie z Lizbony zapisano zasadę pomocniczości. Za jej wykorzystywaniem opowiada się regularnie Komisja Europejska. Niemal w każdym wystąpieniu w Parlamencie Europejskim przypomina się o tym, jak blisko obywateli są unijne instytucje i urzędy, i jaką swobodą podejmowania decyzji cieszą się poszczególne regiony i kraje.

Co właściwie oznacza termin „pomocniczość”? Przede wszystkim rzuca się w oczy, że nie ma on odpowiednika w języku niemieckim. Leksykon ekonomiczny Gablera prezentuje następującą definicję:

„Jest to zasada, która stawia na rozwój indywidualnych zdolności, samostanowienie i samodzielność. Tylko tam, gdzie możliwości jednostki względnie małej grupy (rodzina, gmina) nie wystarczają do rozwiązania zadań związanych z kształtowaniem codziennego bytu, powinny wkraczać subsydiarnie instytucje państwowe. Należy przy tym zapewnić pierwszeństwo dla samopomocy, nim państwo przejmie te zadania. Jednak niemożliwe jest precyzyjne oddzielenie indywidualnego aspektu subsydiarności (samodzielnej odpowiedzialność) od aspektu społecznego (stworzenia przez państwo materialnych podstaw do rozwiązania zadań). Zawsze, zgodnie z położonym akcentem, zasadzie subsydiarności odpowiadają koncepcje zarówno gospodarki rynkowej, jak państwa dobrobytu. Zasada subsydiarności jest centralnym elementem politycznej koncepcji społecznej gospodarki rynkowej”.

Nie dziwi, że ta zasada wywodzi się z nauki społecznej Kościoła. Nie dziwi również, że ani komunistyczne, ani faszystowskie dyktatury nigdy nie były i nie są zorganizowane według tej zasady. Idea stojąca za pomocniczością jest prosta: jeśli trzeba rozwiązać problem, to rozwiązanie należy powierzyć tym, którzy są blisko niego, znają jego przyczyny i przede wszystkim sami muszą żyć z wypracowanym rozwiązaniem.

Jeśli przeniesiemy tę zasadę na pole europejskiej polityki, to możemy ją zobrazować w następujący sposób: otóż gdyby mieszkańcy jednej z dzielnic Hamburga, Altony, albo mieszkańcy Tybingi mieli jakiś problem, to każda z gmin powinna najpierw samodzielnie poszukać rozwiązania. Dopiero gdy nie będzie w stanie tego zrobić, musi włączyć do sprawy rząd krajowy w Hamburgu lub Stuttgarcie. A dopiero wtedy, gdy rządy krajowe dojdą do wniosku, że niezbędne jest rozwiązanie na poziomie federalnym i że byłoby ono lepsze, należy włączyć rząd federalny w Berlinie. Natomiast tylko w ograniczonej – i to możliwie jak najbardziej – liczbie spraw, które wymagałyby znalezienia ogólnoeuropejskiego rozwiązania, mogłaby być włączana Bruksela.

Sięgnijmy do kilku praktycznych przykładów. O polityce oświatowej nie powinna decydować ani Bruksela, ani Berlin, lecz na przykład Bawaria czy Saksonia. A nawet tam politycy odpowiadający za oświatę powinni zawsze dążyć do pozostawienia szkołom jak największej swobody. Mimo to ciągle pojawiają się próby scentralizowania oświaty. Wysuwa się przy tym argumenty typu: „Trzeba ułatwiać przeprowadzkę z jednego kraju związkowego do innego!”. Chętnie pomija się przy tym fakt, że centralizacja zlikwiduje nie tylko konkurencję między krajami związkowymi, lecz chcąc nie chcąc zrówna, a tym samym obniży, poziom oświaty w krajach związkowych. Mówiąc otwarcie: efektem centralizacji nie będzie podniesienie poziomu szkół w Bremie do poziomu szkół w Saksonii, za

to poziom szkół w Badenii-Wirtembergii obniży się do poziomu szkół berlińskich.

Jeszcze bardziej groteskowa wydaje się postawa KE, która uważa, że kompetencje w dziedzinie oświaty muszą być krok po kroku przekazywane do Brukseli. No bo jakież byłby inny powód istnienia stanowiska komisarza ds. edukacji, kultury, młodzieży i sportu? Pikanterii dodaje fakt, że stanowisko to zajmuje Węgier Tibor Navracsics, którego desygnowała rządząca partia Viktora Orbána, Fidesz (Węgierska Unia Obywatelska). Ta sama partia wytacza zwykle ciężkie działa przeciwko centralistycznym zapędom Brukseli. Ale dla dobrze opłacanego stanowiska już niejednen polityk odłożył na bok swoje poglądy. Jak wskazuje sama nazwa tego urzędu, jest on odpowiedzialny nie tylko za oświatę, ale i kulturę.

Kulturę? Nawet w Niemczech w kompetencjach krajów związkowych leży nie tylko oświata, ale również kultura. Cóż w Brukseli zrobią z kulturą? Czy istnieje kultura europejska? Nie jest nam znany żaden „europejski” obraz, „europejska” opera ani nawet „europejski” język. Picasso był Hiszpanem, Verdi komponował włoskie opery, a europejski język nie istnieje, jeśli pominiemy nieudane eksperymenty tworzenia sztucznych uniwersalnych języków, jak wolapik czy esperanto. Zwolennicy „Stanów Zjednoczonych Europy” lubią pomijać fakt, że prawie wszyscy obywatele 50 stanów USA mówią po angielsku, natomiast w Unii Europejskiej mówi się 24 językami.

Z drugiej strony istnieją kwestie, o które nie można należycie zadbać ani w Stuttgarcie, ani w Berlinie, lecz tylko na poziomie unijnym. W takich przypadkach brukselski centralizm jest lepszą odpowiedzią. Zapewnienie należytego funkcjonowania europejskiego rynku wewnętrznego może być zadaniem tylko władz w Brukseli. Dlatego posłowie partii „Sojusz dla Postępu i Przebudzenia” (ALFA) zaangażowali się w stworzenie europejskiego Cyfrowego Rynku Wewnętrznego (Digital Single Market, DSM), bez którego Unia Europejska zostałaby [pod



względem cyfryzacji] daleko w tyle za USA i rynkami azjatyckimi. Do tej pory nie ma jeszcze ogólnoeuropejskiego urzędu nadzoru ruchu lotniczego, podczas gdy komisarze UE troszczą się o takie kwestie jak polityka kulturalna i oświatowa, które byłyby lepiej realizowane w gminach, regionach lub na poziomie krajowym. Konsekwencje tego zaniedbania ponosimy jako pasażerowie samolotów, gdy w niekończących się kolejkach krążymy nad lotniskami. Cierpi też środowisko naturalne. Ogólnoeuropejski urząd nadzoru ruchu lotniczego byłby świetnym polem do działania dla zwolenników centralizacji Unii. Pomysł ten jednak rozbija się o zastrzeżenia poszczególnych państw wynikające najczęściej z ich polityki obronnej.

Prawnicy zamiennie z terminem „pomocniczość” używają takich określeń, jak „federalny” lub „federalizm”. Naszym zdaniem to nie przypadek, że państwa o strukturze federalnej, małe jak Szwajcaria lub duże jak Stany Zjednoczone, lepiej sobie radzą w gospodarce niż państwa o strukturze scentralizowanej, takie jak Francja czy Rosja.

Podobne wnioski można wyciągnąć z uważnej obserwacji firm. Małe i średnie przedsiębiorstwa generalnie szybciej rosną, częściej wypłacają dywidendę i tworzą więcej nowych miejsc pracy niż duże organizacje. Szefowie wielkich koncernów zorientowali się już, że także w ich firmach do doskonałych wyników prowadzić mogą metody stosowane przez „średniaki”. Tylko gdy deleguje się odpowiedzialność, można kierować wielkim tankowcem. Wielcy uzyskują niezbędną swobodę ruchów dzięki tak zwanym centrom zysków [*profit centers*].

Jeszcze pod koniec ubiegłego wieku Henkel, będąc przewodniczącym rady i prezesem IBM Europe, kierował 90 tys. pracowników, w tym 2 tys. w paryskiej centrali, i decydował o produkcji technologicznego koncernu w Europie, europejskiej logistyce i europejskich strategiach rynkowych. Dzisiaj IBM Europe już nie istnieje. Podobnie jak IBM, globalnie

zorganizowane są od dawna BMW, Bayer i Siemens. Dla tych firm Europa była w najlepszym przypadku etapem w drodze od krajowego do globalnego rynku. Istnieje wprawdzie europejski rynek wewnętrzny, ale nie ma „europejskich samochodów”. Istnieją różnorodne systemy ubezpieczeń zdrowotnych, ale jest tylko jedna aspiryna produkowana przez Bayer, przeznaczona dla wszystkich na świecie, którzy skarżą się na ból głowy, a nie tylko dla europejskich klientów.

Nie tylko Mercedes traktuje dziś Europę jak anachronizm. Nie istnieje europejski klient salonów samochodowych. Za to na pewno są klienci francuscy, niemieccy i brytyjscy (nie tylko dlatego, że jeździ się tam po „złej” stronie drogi i trzeba przyzwyczać się do kierownicy po prawej). Oczywiście wiele międzynarodowych firm ma swój europejski oddział, najczęściej w Brukseli. Znajduje się on tam dlatego, że szefowie firm chcą być odpowiednio wcześniej informowani o nowych ustawach i wytycznych lub na nie wpływać.

W szufladach Henkela i Starbatty'ego w Brukseli i Strasburgu piętrzą się wizytówki przedstawicieli najróżniejszych firm i związków gospodarczych. Większości tych międzynarodowych firm zarządy w Europie są potrzebne jak dziura w moście. Równoległe do regionalnych dyrektorów, np. ABB w Niemczech czy firmy Infineon w USA, w wielkich koncernach funkcjonują szefowie ds. globalnej produkcji. Rzadko jednak delegują kogoś do odpowiadania za „rynek europejski” – po prostu dlatego, że nie ma „europejskiego klienta”.

Uważamy też, że w gruncie rzeczy nie istnieje „europejski obywatel”. Podobnie jak nie ma „europejskiej kuchni”, natomiast są włoskie i francuskie restauracje. Uważnie obserwujemy sukcesy i niepowodzenia drużyn piłkarskich HSV (Henkel) i VfB Stuttgart (Starbatty) lub niemieckiej reprezentacji narodowej. Mecz europejskiej „reprezentacji” zapewne odbyłby się przy pustych trybunach.

Oczywiście wiemy, że stowarzyszenia państw nie moż-

na utożsamiać jeden do jednego z córkami spółkami jakiejś firmy, jednakże takie porównanie wydaje się nam obrazowe: architekci „europejskiego domu” (jak to ujął Michaił Gorbaczow) postanowili czegoś dokonać i uparczywie trzymają się świata, który przeszedł do historii, wpatrując się przy tym w czubek własnego europejskiego nosa. Politycy w Europie powinni raczej spoglądać na cały świat, myśleć globalnie, nie tracąc przy tym z oczu swojego narodu.

Jesteśmy dzisiaj świadkami groteskowego procesu: okazuje się, że ubocznym produktem pakietów ratowania euro jest ucieczka wielu naszych euroromantycznych architektów od zapisanej w traktacie z Lizbony zasady subsydiarności i budowanie scentralizowanej strefy euro („unia fiskalna”, „europejski rząd gospodarczy”, „europejski podatek”, „europejski budżet”), która wkrótce okaże się niefunkcjonalna choćby dlatego, że całkowicie ignoruje kulturową i gospodarczą rzeczywistość. Zamiast dopasować system walutowy do istniejących kultur, podporządkowuje się cały kontynent potrzebom unii walutowej. Patrząc trzeźwo – to nie może się dobrze skończyć.

Marsz ku europejskiemu scentralizowanemu państwu wywołałby skutek odwrotny do zamierzonego – osłabiłby spójność Europy, zamiast ją wzmocnić. Wprawdzie gospodarka to nie wszystko, ale słuszna jest maksyma, w myśl której bez gospodarki wszystko jest niczym! Dlatego pozwalamy sobie na jeszcze jedną dygresję w stronę gospodarki. Wieloletnie doświadczenie mówi nam, że gdy wielkie firmy stają na krańcu bankructwa, wynika to z tego, iż osiągnęły zbyt wielki rozmiar lub nasila się u nich niewydolność zarządzania. Dlatego słusznym byłoby w takim przypadku zastosowanie zasady subsydiarności i przeorganizowanie się w konglomerat złożony z wielu samodzielnych jednostek. Im większa organizacja, tym więcej kompetencji musi delegować, tworzyć działające na własną odpowiedzialność centra i stwarzać możliwości, by na dole, czyli na poziomie klientów, znajdować optymalne rozwiązania.

Jeśli w tych rozważaniach termin „firma” zastąpimy pojęciem „rządy”, a „klienci” słowem „obywatele”, obowiązując będą podobne zalecenia: więcej decentralizacji zamiast centralizacji! Jeśli teraz, by zachować przy życiu jednolitą walutę, wszystkie nici będą zbiegać się w Brukseli, Strasburgu, Luksemburgu, a w kwestii euro w Europejskim Banku Centralnym we Frankfurcie nad Menem, to cały kontynent stanie się ociężałym kolosem, którym nie można sterować.

Ten polityczny scenariusz znany jest z przeszłości i miał już wiele twarzy. Najbardziej wyraźną z nich był Związek Radziecki. Los ZSRR przypieczętowały niezyciowa ideologia i wszechwładne, zbiurokratyzowane, scentralizowane państwo. Wszystkie drogi prowadziły do Moskwy. Nawet katastrofa stulecia, która wydarzyła się w odległym od stolicy Czarnobylu na Ukrainie, była z woli Moskwy tak długo zachowywana w tajemnicy, aż stało się zbyt późno na ewakuację ludności ze skażonych terenów. Podobne zjawisko można było także zaobserwować w Jugosławii. Przez dziesięciolecia Belgrad ignorował kulturową i gospodarczą odrębność oraz potrzeby narodów żyjących w tym państwie. Kiedy upadła nadrzędna ideologia, komunizm, narody Jugosławii rzuciły się sobie, i to dosłownie, do gardeł.

W Brukseli mamy możliwość bezpośrednio obserwować, jak Belgia ciągle jeszcze nie może dojść do ładu sama ze sobą. Zastanawiamy się, czy jeśli Belg mówiący dwoma i pół językami (flamandzkim, francuskim i łamanym niemieckim) ciągle jeszcze się nie uspokoił, to jak miałby funkcjonować w Stanach Zjednoczonych Europy z ich 24 językami? Już dziś w Brukseli i Strasburgu słyszymy, co przede wszystkim przedstawiciele byłego bloku wschodniego mówią o Brukseli. Wyrażają się o niej tak, jak w czasach żelaznej kurtyny mówili o Moskwie!

Wielkość państwa i centralizacja nie powinny być celem samym w sobie ani w gospodarce, ani polityce. Przeciwnie, w przypadku wątpliwości odpowiedzialność za znalezienie rozwiązania

problemów nigdy nie powinna być delegowana do góry, lecz musi pozostać na dole. Dowody świadczące o tym, że niezbędna jest interwencja Brukseli, musi przedstawić ten, kto chce scentralizować odpowiedzialność za rozwiązanie problemu.

Od wielu lat Szwajcaria udowadnia, że *small* może być *beautiful*, a federalna organizacja przewyższa centralistyczną. Ponieważ organizacje federalne, jeśli nie istnieje inna możliwość, mogą delegować problemy wyłącznie w górę, muszą szybko reagować na niedociągnięcia. Wspomnijmy tu chociażby o szwajcarskim hamulcu dla długów czy o podatkowej konkurencji między kantonami będącej główną przyczyną istnienia w tym kraju niskiej, w porównaniu z innymi krajami, stawki podatkowej oraz o sprawniejszej niż we wszystkich krajach UE administracji.

Bezpośrednio przed wybuchem „kryzysu euro” politycy europejscy bardzo chętnie mówili o „subsidiarności”. Teraz wołają mówić o „europejskiej solidarności”. Na podstawie niedającego się udowodnić stwierdzenia, że problemy euro powstały dlatego, że „w za małym stopniu wspierano Europę”, zaczęli twierdzić, że potrzebne jest stworzenie scentralizowanego państwa europejskiego. Szczególnie zagorzali euroromantycy posługiwali się przy tym ideą Stanów Zjednoczonych Europy, ale nie dostrzegali, że USA mimo jednolitej waluty pozostało państwem federalnym. Nikt by tam nie wpadł na pomysł, żeby zmuszać Teksas do przygotowania pakietów ratunkowych dla nadmiernie zadłużonej Kalifornii. W strefie euro, ciągle jeszcze złożonej z niezależnych według prawa międzynarodowego państw, praktykowane jest to dzisiaj za pomocą różnego rodzaju kół ratunkowych.

Klasa polityczna eurostrefy dokonuje teraz ucieczki do przodu pod hasłem „więcej Europy” w stronę scentralizowanego państwa europejskiego. Zamiast tego powinna wyciągnąć konsekwencje z błędów i delegować kompetencje tam, gdzie będą wykorzystywane z większą odpowiedzialnością – do państw, regionów i gmin.

## ROZDZIAŁ 17.

UWSPÓLNOTOWIENIE ZAMIAST  
SAMODZIELNEJ ODPOWIEDZIALNOŚCI

W kontekście mającego ratować euro uspołecznienia długów banków i państw wspominaliśmy już o *moral hazard* (pol. pokusa nadużyć). Termin ten utworzono w sektorze ubezpieczeń i początkowo używano go w kontekście ubezpieczenia od pożaru. *Moral hazard* oznacza, że właściciel budynku ubezpieczonego od pożaru wykazuje mniejszą troskę o unikanie, względnie ograniczanie szkód niż właściciel domu nieposiadający ubezpieczenia. O podobnym zachowaniu osób posiadających ubezpieczenie zdrowotne dowiadujemy się z obszernej literatury przedmiotu. W takim przypadku *moral hazard* dotyczy osoby, która jest pasożytem społecznym, lub gdy ubezpieczony w nadmiernym stopniu wykorzystuje świadczenia medyczne.

Republika Federalna Niemiec była początkowo państwem zorganizowanym podobnie jak USA lub Szwajcaria. Zapewnili to zgromadzeni w pałacu na pięknej wyspie Herrenchiemsee w Bawarii ojcowie naszej konstytucji. Pod nadzorem władz sojusznicych w niespełna trzy tygodnie spisali Ustawę zasadniczą, która rok później weszła w życie. Ten federalizm był i często jest uważany za obciążenie. Różnorodność może być wyczerpująca, ale już pokazaliśmy, co sprawia, że subsydiarność i federalizm są generalnie korzystnymi rozwiązaniami.

Wpisany do Ustawy zasadniczej federalizm jest dla nas ogromną szansą, której nie mają kraje o scentralizowanym systemie władzy. To, że coraz częściej jest tak oceniany, widać po dążeniach niektórych mocno scentralizowanych państw. We Francji trwają starania, by kosztem uprawnień centralnego rządu w Paryżu przekazać więcej odpowiedzialności regionom. W Zjednoczonym Królestwie stworzono odrębny parlament dla Szkocji. W Hiszpanii próbowano, notabene

wskazując na przykład Republiki Federalnej, wprowadzić daleko idącą regionalizację, chociaż według Katalończyków nawet ona jest niewystarczająca.

U nas polityka podąża niestety w odwrotnym kierunku. Federalizm krok po kroku ustępuje miejsca centralizmowi. Dewizą jest zrównanie, a nie różnorodność.

Szczególnie jaskrawym i szkodliwym przykładem jest ustrój finansów w Republice Federalnej, którym w ostatnich dziesięcioleciach tak manipulowano poprzez ciągłe interwencje polityków, że wystąpił opisany wyżej *moral hazard*. Jeśli początkowo między rządem federalnym a krajami związkowymi istniał wyraźny podział odpowiedzialności za pobieranie podatków i wydawanie zebranych z nich pieniędzy, to co rusz go potem zacierano. Wynik widać jak na dłoni. Dwanaście krajów związkowych otrzymuje wsparcie finansowe od pozostałych czterech: Badenii-Wirtembergii, Bawarii, Hamburga i Hesji. Rezultat? Wszystkie kraje związkowe pracują obecnie w „doskonałym systemie zorganizowanego braku odpowiedzialności”. Jeśli Bawaria uzyska jedno euro ze zwiększonych wpływów podatkowych, musi oddać z tego ponad 90 centów na kraje związkowe uprawnione do wsparcia. Jeśli Brema straci jedno euro wpływów, otrzyma ponad 90 centów od krajów udzielających wsparcia. Powstaje więc pytanie: Dlaczego politycy w Bremie mają się starać o długofalowe reformy, skoro mogą liczyć na redystrybucję?

Odpowiedzialność jest niezbędnym warunkiem racjonalnego gospodarowania zasobami. Jeśli wszyscy są odpowiedzialni za wszystko, to w końcu nikt za nic nie odpowiada. Żeby przynajmniej częściowo ograniczyć skutki tego fatalnego systemu, III komisja ds. federalizmu, kierowana przez Edmund Stoibera i Franza Münteferinga, wprowadziła mechanizm ograniczający zadłużanie, który w długiej perspektywie ma skłaniać kraje związkowe do całkowitego zaniechania ciągnięcia długów. Ale już teraz niektóre kraje związkowe zgła-

szają wnioski o kolejne wyjątki od tej zasady. Większe wydatki na inwestycje mają w dalszym ciągu umożliwić zaciąganie długów, przy czym fantazja naszych polityków, zaliczających do inwestycji coraz to nowe pomysły, nie zna granic. Nie tylko w Brukseli pojawiają się żądania niezaliczania na poczet deficytu dodatkowych wydatków na załagodzenie kryzysu imigracyjnego. Również w Niemczech te dodatkowe wydatki zagrażają „czarnemu zeru” Schäublego i sprawiają, że nie można uniknąć dalszego zaciągania długów.

Po tym gdy, jak to już opisaliśmy, w maju 2010 roku został złamany traktat z Maastricht i tym samym zniesiono tak istotny dla uzyskania zgody Niemiec na unię walutową zakaz udzielania wsparcia finansowego, cała strefa euro znalazła się w podobnym „systemie zorganizowanego braku odpowiedzialności”. Już przedtem naruszano kryteria z Maastricht: najpierw pod niemiecko-francuską egidą, a potem jeszcze ponad 60 razy przez inne kraje. Chcemy wyrazić się jasno: wszystko to były nieuniknione skutki ratowania euro. Faktyczne uwspólnotowanie długów państw za pomocą opisanych wyżej instrumentów, takich jak EFSF i EMS, oraz nieograniczone zakupy Europejskiego Banku Centralnego (EBC) otwarcie naruszającego własny statut, są nieuniknionymi konsekwencjami wprowadzenia euro! I nie tylko to. Mamy na myśli również unię bankową, która wbrew wszelkim zapewnieniom rządu federalnego i ministra finansów, obarczy niemieckich obywateli, którzy całe życie oszczędzali, odpowiedzialnością za hazardowe zagrywki banków w strefie euro. Przy tej okazji chcemy wskazać, że łączna suma zadłużenia banków w strefie euro jest dwa razy wyższa od sumy zadłużenia państw.

Oczywiście Merkel, Schäuble i spółka wiedzą, co to jest *moral hazard* i jakie wiążą się z nim niebezpieczeństwa dla niemieckiego podatnika, akcjonariusza i ich dzieci. Żeby stać mu czoła, przeforsowali pakt fiskalny będący rozmięk-



czonym traktatem z Maastricht. Kraje euro zobowiązują się w nim do fiskalnej dyscypliny i zaciągania mniejszej liczby długów. Przewodniczący frakcji CDU w Bundestagu, Kauder, ogłosił, że „Europa mówi po niemiecku!”. W ten sposób chciał wyjaśnić sceptycznym obywatelom w Niemczech, że od teraz wszyscy partnerzy w strefie euro będą prowadzić taką politykę gospodarczą i budżetową jak Niemcy.

Abstrahując od tego, że nasi partnerzy w UE odebrali tę wypowiedź jako w najwyższym stopniu arogancką, i mieli rację, rząd w Paryżu szybko dał do zrozumienia, że Europa wprawdzie może mówić po niemiecku, ale w dalszym ciągu musi działać po francusku. Skoro politycy nie byli nawet w stanie wypełnić wcześniejszych łagodniejszych kryteriów z Maastricht, to w jaki sposób mieliby spełnić w przyszłości wyższe wymagania paktu fiskalnego? Francuzi udzielili już odpowiedzi: „Nie przeskoczmy wyższych przeszkód, ale przebiegniemy pod nimi!”.

Tymczasem unia walutowa rozwinęła się w maszynę do przenoszenia chorób. Przeziębienie jednego państwa może prowadzić do grypy lub nawet zapalenia płuc w innym. To, że giełda we Frankfurcie nerwowo reaguje na traktat z Lizbony oraz że na skutek obniżania ratingów Włoch i Francji agencje ratingowe regularnie sprawdzają wiarygodność Niemiec, jest rezultatem wprowadzenia jednolitej waluty. By cofnąć się do korzeni *moral hazard*: zamiast zatroszczyć się za pomocą ścian przeciwpożarowych o to, by pożar się nie rozprzestrzenił, euro sprawia, że z jednego domu na drugi już sypią się iskry.

Zamiast przywrócić ciągle podkreślaną odpowiedzialność państw członkowskich w momencie, w którym rząd federalny rezygnował z marki, klasa polityczna eurostrefy kroczy w odwrotnym kierunku, zgodnie z kierunkowskazem „unia transferowa”, w której każde państwo członkowskie odpowiada za długi pozostałych. Widzimy, że dalsza droga została już wyty-

czona. Eurostrefa pomaszeruje nieodwołalnie z unii transferowej poprzez zadłużenie do unii inflacji. Niczego nie zmieni lipna etykieta z napisem „unia stabilizacyjna”.

Oczywiście Unia Europejska zawsze była solidarna. Fundusze strukturalne, Fundusz Spójności, wspólne projekty badawcze były finansowane przez „państwa dawców”, by zapewnić większy dobrobyt w „państwach biorcach”. Dotychczas ta redystrybucja wynosiła ok. 1,2 proc. PKB UE i była ograniczona do jasno zdefiniowanych projektów. A przede wszystkim podlegała demokratycznej kontroli.

Natomiast od niedawna przewidziana jest wspólna odpowiedzialność za już nagromadzone i przyszłe zadłużenie w poszczególnych krajach, którego wysokość jest znana w równie niewielkim stopniu jak cel, który doprowadził do zaciągania długów.

## ROZDZIAŁ 18.

### HARMONIZACJA ZAMIAST KONKURENCJI

„*How do we Europeans get competitver?*” (pol. „W jaki sposób Europejczycy mają stać się bardziej konkurencyjni?”), spytał w latach 90. ówczesny komisarz UE Leon Brittan podczas konferencji Federalnego Związku Przemysłu Niemieckiego (BDI). Odpowiedzi udzielił sobie sam: „*By competition!*” (pol. „Na drodze konkurencji”). Konkurencja między małymi jednostkami zawsze prowadzi, zakładając istnienie dobrych ram prawnych, do wzmocnienia całości.

Jak już pisaliśmy, jesteśmy kibicami nieodnoszących obecnie większych sukcesów drużyn piłkarskich HSV i VfB Stuttgart. Wyobraźmy sobie, że nie byłoby szans na awans do Ligii Mistrzów, ale też nie występowałoby ryzyko spadku do drugiej albo nawet trzeciej ligi. Zamiast tego w Bundeslidze rozgrywano by tylko mecze towarzyskie. Uważamy, że w takim przypadku nie tylko Volksparkstadion i Mercedes-Benz-Are-

na świeciłyby w weekendy pustkami, ale także poziom reprezentacji narodowej sięgnąłby dna. Nie minęłoby wiele czasu, a przegrywałaby regularnie z reprezentacjami Wysp Owczych, Cypru czy Malty.

A czy można wyobrazić sobie berliński maraton, w którym zaangażowani za duże pieniądze najlepsi biegacze z Etiopii i Kenii umówiliby się po cichu, że przybiegną jednocześnie do mety? Czy rola Otella w przedstawieniach na scenie berlińskiej Opery Państwowej ma być dostępna dla każdego, czy też tylko dla tych, którzy odnieśli sukcesy w konkursach muzycznych? Nasz pacjent na kozetce także w tych kwestiach wykazuje objawy schizofrenii. Uwielbia konkurencję w sporcie i kulturze, ale za to euro, jak chcą tego nasi politycy, ma mu zlikwidować konkurencję walut.

W roku 2000 szefowie państw i rządów państw UE ustalili, że Unia w roku 2010 stanie się „najbardziej konkurencyjnym rejonem świata”. W rezultacie UE stała się jedynie pośmiewiskiem. Przede wszystkim kraje eurostrefy znalazły się daleko za większością rejonów gospodarki światowej. Nawet na tle kurczącego się w strefie euro od lat produktu krajowego brutto najnowsze prognozy wzrostu gospodarczego wskazują raczej na stagnację niż ożywienie.

Różnorodność była kiedyś znakiem rozpoznawczym UE. Związaną z nią konkurencję różnych idei przytaczano jako uzasadnienie szybkiego przyjmowania nowych państw. Było to słuszne, gdyż dzięki rozszerzeniu rynku wewnętrznego nasiliła się konkurencja między krajami. Prowadzony przez UE *benchmarking*, czyli porównanie każdego narodu do najlepszego kraju w Europie, stworzyło podstawy do tego, by państwa europejskie uczyły się od siebie nawzajem.

Niestety, nasi unijni politycy nie dostrzegli, że nie można mieć jednocześnie dwóch rzeczy: poszerzania Unii i pogłębiania integracji. Przez hasło „więcej Europy” w odruchowej reakcji na kryzys euro tłumią konkurencję między krajami

UE. Zamiast konkurowania – jak twierdzą – należy harmonizować na przykład stawki podatkowe. Można się założyć, że w rezultacie wszystkich obowiązywać będzie najwyższa – francuska – stawka, a nie najniższa – irlandzka. A może ktoś naprawdę wierzy, że ministrowie finansów w krajach o najwyższych stawkach podatkowych zgodzą się je obniżyć? To wyrównanie – w tym zapowiedziana harmonizacja systemów ubezpieczeń społecznych, czasu pracy, poziomu płac i tak dalej – jest decyzją polityków. Zajmujący się sprawami społecznymi politycy europejscy oraz szefowie związków zawodowych wykorzystują każdą okazję, by rzekomo sprawiedliwiej dzielić dobrobyt w Europie. W rzeczywistości skutek jest taki, że dobrobyt maleje i pozostaje coraz mniej do podziału – co przecież nie może być sprawiedliwe.

Od lipca 2014 bardzo uważnie wysłuchujemy przemówień 28 (!) komisarzy w Parlamencie Europejskim i w komisjach (Henkel w ITRE – Komisji Przemysłu, Badań Naukowych i Energii, Strabatty w INTA – Komisji Handlu Międzynarodowego). Krzepiące jest to, że w przemówieniach stale podkreślana jest konieczność utrzymania przez firmy zdolności do konkurowania. Wydaje się jednak, że albo nie rozumie się jaki wpływ na konkurencyjność firm ma wynikająca z euro harmonizacja, albo świadomie zamyka się tę wiedzę pod dywan.

Nie przekonuje również argument o przestrzeni walutowej, która rzekomo już przez samą swoją wielkość ma ustawić eurostrefę na poziomie USA czy Chin. Wystarczy popytać Szwedów, Duńczyków czy Polaków. Profesor Roland Vaubel z Uniwersytetu w Mannheim udowodnił, że od czasu wprowadzenia euro kraje europejskie nienależące do eurostrefy notują znacznie większy wzrost gospodarczy niż państwa unii walutowej. Zasada *small is beautiful* obowiązuje najwyraźniej także na tej płaszczyźnie, po pierwsze dlatego, że mniejsze obszary walutowe zachowały nad swoją walutą kontrolę zamiast oddać ją „systemowi zorganizowanego braku odpowiedzial-

ności”, a po drugie dlatego, że banki centralne pozostały niezależne od wpływów polityki.

## ROZDZIAŁ 19.

### CO TO OZNACZA DLA PRZYSZŁOŚCI NIEMIEC

„Jeśli euro poniesie klęskę, poniesie ją również Europa”, podkreśla stale Angela Merkel. Jest to jednak błędny wniosek. Po pierwsze dlatego, że Europa istniała na długo przed wprowadzeniem euro, a po drugie dlatego, że w UE jest przecież osiem państw, które nie wprowadziły euro i w których, jak wynika z przeprowadzonych na zlecenie Komisji Europejskiej sondaży, tylko obywatele Rumunii opowiadają się za wspólną walutą. Ponadto istnieje jeszcze 20 innych państw europejskich, wśród nich Norwegia i Szwajcaria, które nawet nie są członkami UE. Czy one wszystkie są skazane na klęskę? Co więcej, ta wypowiedź kanclerz jest nieodpowiedzialna. W ten sposób podsycy się lęki. Lęki, które mają przesunąć na margines politycznej poprawności racjonalną i szczerą dyskusję o alternatywach. Co miałyby nam jeszcze do powiedzenia pani kanclerz, gdyby euro rzeczywiście poniosło klęskę?

Swą polityką energetyczną, tą dotyczącą euro i Europy, a ostatnio także polityką wobec uchodźców, kanclerz Merkel zapędziła nasz kraj w kozi róg. Wyobraźmy sobie sytuację, w której autorzy tej książki, Henkel i Strabatty, jadą samochodem ze Stuttgartu do Frankfurtu na spotkanie z przedstawicielami branży finansowej. Po godzinie jazdy jeden zwraca drugiemu uwagę na drogowskaz, na którym widnieje napis: Monachium 100 km. Co robić? Oczywiście, mogą jechać dalej ku Monachium, w końcu jadą już godzinę. Inaczej musieliby przyznać, że pojechali w złym kierunku, odbić na następnym zjeździe z autostrady i zawrócić. Byłoby to frustrujące, ale jak inaczej dojechać do Frankfurtu?

Żeby pozostać przy tej przenośni: siedząca za kierownicą kanclerz Merkel oświadcza, że droga powrotna w polityce dotyczącej euro i Europy jest bardzo trudna, a być może w ogóle nieprzejezdna. „Nie ma alternatywy”, mówi, i jedzie do Monachium! Jak już wspomniano, odnosimy to do zamienionego przez nią w stertę makulatury traktatu, który ustanawiał m.in. unię walutową. Zamiast zawrócić do Maastricht, kanclerz Merkel jedzie nadal w kierunku Aten!

Strefa euro z konieczności zamieni się w system harmonizacji, centralizacji i uwspólnotowienia zadłużenia państw i banków. Dlatego powoli, ale nieuchronnie zostanie w tyle za innymi regionami świata. Już przy porównaniu dotychczasowego poziomu wzrostu produktu krajowego brutto i poziomu bezrobocia w strefie euro z krajami UE, które zachowały własną walutę, strefa euro wypada znacznie gorzej.

Dla ratowania euro stanie się niezbędna dalsza harmonizacja polityki gospodarczej i społecznej. Następnym celem francuskich, włoskich i brukselskich polityków jest wspólne, dla całej strefy euro, ubezpieczenie na wypadek bezrobocia. Nieunikniony wydaje się więc wzrost składek na to ubezpieczenie przez niemieckich pracobiorców i pracodawców. Harmonizacją stawek podatkowych zajmuje się zarówno Komisja Europejska, jak i Parlament Europejski. Skutkiem będzie dalsze pogorszenie zdolności konkurencyjnych firm w strefie euro. Również postępująca centralizacja strefy euro pozostawi wyraźne ślady. Wraz z sukcesywnym przenoszeniem kompetencji państw do Brukseli i Strasburga, względnie przywłaszczaniem ich przez Europejski Bank Centralny, strefa euro będzie coraz bardziej niemrawa i ociężała. Jeśli dodamy do tego socjalizm związany z uwspólnotowaniem zadłużenia państw i banków, nic nie powstrzyma strefy euro na drodze do stania się najmniej konkurencyjnym regionem świata.

# CZEŚĆ VII PROBLEM UCHODźCÓW: STOJĄCE PRZED NAMI WYZWANIE

## ROZDZIAŁ 20. NASZA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Na początku 2016 roku Wolfgang Schäuble, odpowiadając w trakcie wywiadu na pytanie: „Czy przypomina pan sobie jakąś sytuację porównywalną z obecnym kryzysem z uchodźcami?”, odpowiedział: „Nie! Ale w rzeczywistości jesteśmy świadkami czegoś, co od dawna opisywaliśmy i omawialiśmy w wielu przemówieniach i badaniach, mianowicie globalizacji z jej potężnymi wyzwaniami”.

Czy Schäuble chce przez to powiedzieć: stanęliśmy twarzą w twarz z taką sytuacją, wobec rozwoju której jesteśmy bezradni? Globalizacja oznacza swobodny przepływ towarów, kapitału i usług. Nowoczesne techniki informacyjne przyspieszyły ten proces. Ludzie posługują się nowoczesnymi technikami informacji i komunikacji, by dotrzeć do pożądanego miejsca. Do fizycznego przemieszczania się potrzebują jednak paszportów i wiz. Tylko w ramach obszaru Schengen obywatele UE mogą poruszać się całkowicie swobodnie. Ludzi, którzy uciekają przed prześladowaniami i wojną albo przed nędzą i brakiem perspektyw, obowiązuje granica zewnętrzna UE. Wiadomo, że uchodźcy chcą dotrzeć przede wszystkim do Szwecji lub Niemiec. Zwłaszcza Niemcy stały się dla nich wymarzonym krajem („*most googled word in Syria is »Germany«*” – pol. „najczęściej google’owanym krajem w Syrii są Niemcy”) – a to z powodu naszych wysokich świadczeń socjalnych i propagowanej kultury powitania. We-

dług nas wypowiedź Schäublego o globalizacji jest tylko manewrem odwracającym uwagę od głównego problemu.

Jakie czynniki powodują narastanie napływu migrantów? Politycy unikają mówienia o czynnikach typu *push and pull* [pol. pchaj i ciągnij]. Czynniki „pchaj” wypędzają ludzi z ich ojczyzn, bo grozi im prześladowanie z powodów religijnych, etnicznych lub politycznych, bo chcą uciec w bezpieczne miejsce przed wojną domową lub nędzą ekonomiczną. Do czynników „ciągnij” zaliczamy takie, które skłaniają ludzi do wyszukania określonego kraju, ponieważ mają nadzieję, że spotka ich tam lepszy los i zakładają, że będą tam mile widziani. Wielu ludzi na świecie i w znacznej części Europy uważa, że świadczenia socjalne, w tym wypłacane uchodźcom „kieszonkowe”, są w Niemczech atrakcyjne, ponieważ wynoszą znacznie więcej niż dochód, który ludzie ci mogliby osiągnąć w swych ojczyznach. W roku akademickim 2015/16 w przygotowanym przez Starbatty’ego programie dla studentów Uniwersytetu w Tybindze wypowiedział się na ten temat unijny komisarz Günther Oettinger. Jego zdaniem dla większości uchodźców i migrantów otrzymanie świadczeń socjalnych w Szwecji lub Niemczech jest jak trafienie szóstki w lotto.

Gdy spojrzymy na naszego pacjenta na kozetce i wyobrazimy sobie zwłaszcza klasę polityczną, to jej zachowanie wyda się nam nadzwyczaj osobliwe. Oto na Bałkanach pustoszeją wsie, bo ludzie wolą emigrować do krajów Unii. Dlatego politycy na Bałkanach prosili, by ich państwa zaliczono do krajów bezpiecznych, co zapobiegnie dalszej emigracji. Wiadomo bowiem, że Unia nie przyjmie „uchodźców” z bezpiecznych państw. Ale wielu polityków w Niemczech, zwłaszcza Zieloni, odrzuca podział państw na bezpieczne i niebezpieczne, twierdząc, że wyraża on pogardę dla ludzi. Potem tę klasyfikację państw przyjął Bundesrat, mimo oporu krajów związkowych, w których Zieloni uczestniczyli w rządach (wyjątkiem jest Badenia-Wirtembergia).



W najwyższym stopniu irytująca jest także obecna postawa polityków z partii Zielonych. Odmawiają uznania za kraje bezpieczne północnoafrykańskich państw: Algierii, Tunezji i Maroka. A przecież nie chodzi o wyłączenie ich obywateli z procedury przyznawania azylu, lecz o założenie, że te państwa są bezpieczne. Takie założenie pozwoli każdej osobie składającej wniosek o azyl udowodnić, że mimo wszystko grożą jej niebezpieczeństwo i prześladowania.

Decydujące znaczenie w tej kwestii mają sygnały nadchodzące z niemieckich ambasad. Jeśli Angela Merkel mówi: „Damy radę”, tworzy kulturę powitania i pokazuje się na selfie razem z uchodźcami, to sygnały takie wywołują wielkie oczekiwania w wielu krajach. Przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk donosił z obozu dla uchodźców w Syrii, że zdjęcia przejawów kultury powitania i selfie kanclerz są tam powszechnie znane. Ludzie będą rozczarowani, jeśli – po zderzeniu z rzeczywistością – natrafią na ociężałą biurokrację. Alexander Kissler przypomniał w politycznym miesięczniku „Cicero”, że „serdecznego powitania” nie da się wpasować w żadną kulturę. Jego zdaniem historyczne wyciąganie w stronę uchodźców i migrantów szyldów z hasłami powitalnymi było „sympatyczne jako przejaw indywidualnej gotowości do pomocy, ale nierozsądne, jeśli chodzi o całą społeczność”.

Odpowiedzialność Niemiec polega na umożliwieniu godnego życia ludziom, którzy do nas przybywają. Nasza gotowość do tego opiera się na wezwaniu, które stawia chrześcijańskie przesłanie: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Przedstawiciele Kościoła wskazują na przypowieść o miłosiernym Samarytaninie (Łk 10, 25-37): Rannego człowieka, którego obojętnie minęli kapłan i lewita, dostrzegł na drodze Samarytanin. Podnosi go, opatruje mu obrażenia, prowadzi do gospody i płaci, by zatroszczono się o ranne go. Jest to miłosierne i głęboko ludzkie. To miłość bliźniego, którą odczuwa jednostka, ale która różni się jednak od zada-

nia, które mają do wykonania wspólnota i politycy, jeśli chcą trwale i skutecznie zintegrować uchodźców. Znamy także legendę o świętym Marcinie, który przeciął mieczem na pół swój płaszcz, by podzielić się nim z marznącym żebrakiem. Zauważmy, że podzielił się własnym płaszczem, a nie płaszczami innych!

Politycy natomiast muszą działać odpowiedzialnie w imieniu całego społeczeństwa. Kierować się sercem, ale przede wszystkim rozumem. Muszą rozważyć, jakie koszty kraj decydujący się na przyjmowanie i integrację uchodźców jest w stanie ponieść, a gdzie leżą granice jego możliwości. Gdyby chodziło tylko o zapewnienie uchodźcom pożywienia, ubrań i opieki medycznej, a potem można było odesłać ich do krajów ojczystych, wtedy przywoływanie przypowieści o miłosiernym Samarytaninie byłoby uzasadnione. Ale od nas oczekuje się, że uchodźcy przystosują się do obcego otoczenia i będą czuć się w nim dobrze, uczestniczyć w życiu wspólnoty i w końcu całkowicie się zintegrują. Odróżnia się to zdecydowanie od jednorazowej lub tymczasowej pomocy.

Godna podziwu jest energia, z którą jednostki lub grupy troszczą się o zapewnienie uchodźcom dachu nad głową. Napływ uchodźców wielokrotnie wywoływał odruch pomocy. Zaangażowały się w to zwłaszcza starsze osoby, które dysponowały wolnymi pokojami. Nie brakowało także datków pieniężnych. Te prywatne inicjatywy są ważne, bo tylko tak można udzielać przybyszom bezpośredniej i niezbiurokratyzowanej pomocy. Sprawiają one także, że uchodźcy nie czują się tylko obiektami państwowej reglamentacji, lecz ludźmi. Zauważyć należy, że wielu pomagających skarży się na biurokratyczne przeszkody ze strony urzędów.

Gotowość do integracji, którą muszą wykazać przybysze i społeczeństwo, nie może być niedoceniana. Jeśli nie przyniesie oczekiwanych rezultatów, może pojawić się uczucie zawodu, frustracja, a nawet agresja. Od mieszkających w Niem-

czech imigrantów dowiedzieliśmy się, że ich włączanie się do naszego społeczeństwa jest długim procesem, który często wykracza poza ramy czasowe jednego pokolenia.

Na początku 2016 roku Monika Maron w artykule na łamach „FAZ” cytowała fragmenty książki *Exodus* brytyjskiego historyka Paula Colliera. Opisuje on, jak wskutek napływu do bogatszego kraju ogromnej liczby imigrantów, z którym miejscowa ludność nie potrafi sobie poradzić, dochodzi najpierw do zniszczenia zaufania między miejscowymi a przybyszami, a potem także wewnątrz tych grup, co przynosi w naszym opartym na zaufaniu i współpracy społeczeństwie katastrofalne skutki.

Jeśli duchowni i nasza kanclerz oczekują od nas, że „damy radę”, to w rzeczywistości domagają się od nas wzięcia na siebie wszystkich materialnych i niematerialnych kosztów – wraz z wszelkim ryzykiem. Ich pragnienie czynienia wyłącznie dobra okazuje się wątpliwe, bo zobowiązują nas do spełniania wspomnianych oczekiwań i żądań bez pytania o zgodę. Zamiast tego każdy powinien sam decydować, czy chce i może odpowiedzieć na chrześcijańskie przykazanie o miłości bliźniego. Przykazanie to, wprowadzone w życie, odpowiada zasadzie subsydiarności w katolickiej nauce społecznej, którą opisaliśmy jako system przejrzystych reguł. Osoba poproszona o pomoc najlepiej dostrzega i rozumie, co należy od razu zrobić i czy może dokonać tego własnymi siłami. Następnie włączają się gminy. Zajmują się one zakwaterowaniem i zaopatrywaniem uchodźców i to one potrafią ocenić najlepiej, jakiej pomocy mogą udzielić. ALFA już dużo wcześniej nalegała na określenie górnej granicy liczby uchodźców, co pozwoliłoby lokalnym władzom na zaczerpnięcie oddechu i uniknięcie przeciążenia obowiązkami w procesie integracji.

Jesteśmy obecnie świadkami sytuacji, w której kanclerz stara się przerzucić odpowiedzialność Niemiec za przyjmowanie uchodźców na całą UE, i w ten sposób uczynić to

zadaniem dla całej Europy. Przekazując finansowe wsparcie krajom tranzytowym, przez które przybywają do nas uchodźcy, i idąc na ustępstwa wobec tych krajów w kwestiach politycznych, chce je skłonić do kontrolowania strumienia imigrantów. Chce także sprawiedliwego ich rozdzielenia między wszystkie kraje UE. Jak dotąd nie są one na to gotowe. Nasi polscy koledzy w Parlamencie Europejskim zadają nam następujące pytanie: Co roku emigruje z Polski do Niemiec około 300 tysięcy dobrze wyszkolonych pracowników, którzy zwiększają niemiecki produkt krajowy brutto, a Polska ma w zamian przyjąć setki tysięcy niewykształconych migrantów i uchodźców, którzy z kolei będą żądać świadczeń socjalnych zmniejszających polski produkt krajowy brutto? Czy można brać Polakom za złe, że nie chcą pójść na taką wymianę?

Kanclerz ma nadzieję, że umowa z Turcją ograniczy napływ uchodźców. Ale na ile można polegać na układzie z krajem, który narusza prawa człowieka i krępuje media? Angela Merkel, żeby nie być zmuszoną do przyznania, że jej polityka poniosła klęskę, zawarła *deal* z autokratycznym szefem tureckiego państwa i tym samym zdała się na jego łaskę. Po skardze Erdogana na bulwersujący wiersz Böhmermanna natychmiast przeprosiła rząd turecki, zamiast pozostawić tę sprawę wymiarowi sprawiedliwości. Gdy głosowano nad rezolucją w sprawie tureckiego ludobójstwa na Ormianach, w parlamencie zabrakło kanclerz Merkel, ministra spraw zagranicznych Steinmeiera i wicekanclerza Gabriela. Ugięli się przed Erdoganem ze względu na zawartą z nim umowę. Zakłada ona, że zamiast Niemiec, granice zamknie Turcja, a w zamian za każdego nielegalnego uchodźcę przechwyconego [przez Turcję] na szlaku egejskim, Turcja prześle Niemcom uchodźcę syryjskiego przebywającego w jednym z obozów na jej terenie. Jednak według jakich kryteriów dokonywany będzie wybór syryjskich uchodźców? Czy nasz rząd może mieć wpływ na ten proces? Nie da się tego jednoznacznie

ustalić, więc wokół całej sprawy mnożą się wątpliwości. A to nie koniec pytań. Skoro co roku na wsparcie uchodźców znajdujących się w obozach na terenie Turcji przeznaczonych zostaje 6 mld euro, to może warto się dowiedzieć, ile płacą poszczególne państwa? Czy te pieniądze docierają do przedsiębiorców? Brak wiz dla Turcji? Z istotnych przyczyn sprawy tej nie uregulowano do tej pory, bo trzeba między innymi rozważyć, czy ruch bezwizowy nie stanie się ułatwieniem dla niekontrolowanej migracji? UE chce przyspieszyć rokowania o akcesie Turcji, ale kraj ten coraz bardziej oddala się od kryteriów warunkujących przystąpienie do Wspólnoty. Helmut Kohl powiedział, że trzeba traktować Turcję jak najlepiej, ale nie wolno jej nigdy przyjąć do UE. Jeśli pani Merkel jest tego samego zdania, to dlaczego zgadza się na przyspieszenie negocjacji? Powstaje pytanie, czy Erdogan nie otworzy natychmiast granic, jeśli poczuje się oszukany.

Po zamknięciu szlaku bałkańskiego migranci z Afryki szukają na Morzu Śródziemnym innej drogi dotarcia do wymarzonego kraju w Europie. Jeśli trasa śródziemnomorska również zostanie zamknięta, poszukają szlaku przez Atlantyk. Zamiast rozglądać się za innymi regionami, które mogłyby przejąć od nas uchodźców, pani Merkel i jej rząd powinni wziąć sprawy w swoje i poszukać trwałych rozwiązań. Minister spraw zagranicznych Austrii Sebastian Kurz przedstawił plan, który ma wyeliminować ewentualny szantaż ze strony Turcji i zapobiec masowej migracji z Afryki Północnej do Europy. Oto jego główne punkty:

- Stworzenie skutecznej wspólnej ochrony zewnętrznych granic UE: „Australia pokazała, że granice morskie można kontrolować”.

- „To Europa będzie sama decydować, kto do nas przybywa, a nie przemytnicy ludzi”.

- Ratunek na morzu „tak, bezwarunkowo, ale nie może on być łączony z biletami do Europy”.

Kurz apeluje o przyjmowanie zgodnie z prawem przybyszów z regionów ogarniętych konfliktami i zwiększenie pomocy na miejscu. Jednak powinno to się odbywać w skali, nad którą można panować: „Wówczas nawet najsłabsi mieliby szansę, a nie tylko młodzi mężczyźni, którzy są wystarczająco sprawni, by przetrwać męczącą podróż. Niezbędne pozostają środki administracyjne, takie jak określenie górnej granicy liczby migrantów, co pozwoli uniknąć przeciążenia. W skali średnio- i długoterminowej powinniśmy jednak pracować nad ogólnoeuropejskim rozwiązaniem”.

Należy w tym miejscu wyjaśnić, że Australia musiała przez wiele lat walczyć z podobnym zjawiskiem. Migranci z otaczających Australię zdecydowanie biedniejszych państw południowego Pacyfiku podejmowali ryzyko dopłynięcia łodziami do wybrzeża, bo mieli nadzieję na lepsze życie. Dla ukrócenia bezprawnej imigracji i zniechęcenia ludzi do wypraw przez morze, często kończących się śmiercią, australijska straż przybrzeżna przechwytuje każdy statek z nielegalnymi imigrantami i holuje go do centrów utworzonych specjalnie w tym celu poza granicą australijskich wód terytorialnych. Metodę tę skrytykowało już wiele organizacji praw człowieka. Jednak kierunek, który zasygnalizowała ta polityka, jest słuszny. Przemysłowców pozbawiono możliwości zarobku, co doprowadziło do znacznego spadku liczby utonięć. Trudno uwierzyć, ale to prawda, że przemysłowcy celowo uszkodzają łodzie na Morzu Śródziemnym, by nie można było nimi sterować. Chodzi im o to, żeby dryfujące łajby były przechwytywane i ściągane do włoskich i greckich portów przez tamtejszą straż wybrzeża. W celu skutecznego zniechęcania do migracji niezbędne jest zawarcie układów z krajami, do których zostaną z powrotem zaholowane statki z imigrantami. Po podpisaniu przez Hiszpanię stosownych umów z Marokiem i innymi krajami północnoafrykańskimi znacznie spadła liczba łodzi płynących w kierunku Wysp Kanaryjskich.

Część osób sprzeciwia się takim działaniom. Niektórzy uważają je za niehumanitarne. Należy jednak przypomnieć porucznika z powieści Stefana Zweiga *Niecierpliwość serca*, który swoją litością obudził oczekiwania niemożliwe do zaspokojenia. Także rządy muszą się wystrzegać obietnic, których realizacja przekraczałaby możliwości ich obywateli.

## **ROZDZIAŁ 21. DACIE RADĘ!**

14 września 2015 roku nasza kanclerz powiedziała: „Niemcy są silnym krajem... Dokonaliśmy tak wiele. Damy radę i tym razem, a jeśli stanie nam coś na drodze, to zostanie usunięte”. „Damy radę” oznacza w rzeczywistości: „Dacie radę”. W przemówieniu wygłoszonym 14 grudnia 2015 roku na zjeździe CDU w Karlsruhe wołała, że osiągnięcie wielkich celów jest elementem tożsamości Niemiec. Przypomniała o „kobietach z gruzów” w powojennych Niemczech, o Ludwigu Erhardzie i niemieckim cudzie gospodarczym, jak również o Konradzie Adenauerze i integracji Niemiec z wolnym Zachodem. Henkel i Starbatty byli świadkami tamtych wydarzeń. Panowała atmosfera przełomu, ludzie chcieli sprawdzić swoje możliwości. Ludwig Erhard i Konrad Adenauer wytyczyli kierunek. A teraz Angela Merkel konfrontuje nas z wyzwaniem, których konsekwencji sama nie potrafiła przewidzieć. Ale ona już o tym wie. W przeciwnym razie nie musiałaby chodzić po prośbie do naszych europejskich partnerów i namawiać ich, żeby przejęli część ciężaru. Jednak oni tylko wzruszają ramionami – Francja także. Może i jest w tym *Schadenfreude*, bo oto kanclerz, która w strefie euro występuje w roli przywódcy, sama jest teraz skazana na pomoc innych. W Parlamencie Europejskim koledzy mówią nam: „Wasza kanclerz zaprosiła uchodźców! Odgrywacie przecież moralne supermocarstwo! Ciekawe, jak sobie z tym poradzicie”.

Prezydent Niemiec Joachim Gauck zadał sobie i całej klasie politycznej pytanie, dlaczego Angela Merkel postanowiła przyjąć napływ uchodźców bez sprawdzenia, czy jej krajanie się na to zgodzą.. W uroczystych przemówieniach przywołuje się prawo narodu do samostanowienia. Ale w kwestii uchodźców decyzje zapadły ponad głowami obywateli. Ani nie było debaty w Bundestagu, ani nie rozmawiano o tym z Niemcami. Wszystko zarządzono odgórnie. Każda ustawa Bundestagu – nawet ta najmniej istotna – jest przygotowywana i dokumentowana z wielką dokładnością, ale to, co istotnie zmienia Niemcy i nasze życie, zostało nakazane *par ordre de Mufti* (na rozkaz z góry), chociaż poprawniej byłoby powiedzieć: *par ordre de Mutti* (na rozkaz mamusi).

Michael Stürmer, wieloletni doradca Helmuta Kohla do spraw polityki zagranicznej, opowiadał, jak Kohl w wielogodzinnych rozmowach telefonicznych ze swoimi politycznymi zwolennikami, ale również przeciwnikami, przygotowywał swoje decyzje. Chciał, żeby go dobrze zrozumiano. Pragnął także wysłuchać opinii innych. Kanclerz Merkel natomiast rządzi wedle własnego uznania nie tylko w obszarze polityki energetycznej, klimatycznej, kryzysu euro, lecz także kwestii uchodźców. I nikomu nie pozwala się odwieść od tego, co robi. Wprawdzie w listopadzie 2015 roku na zjeździe CSU musiała wysłuchać pouczeń Horsta Seehofera<sup>1</sup>, jednak podczas debaty w Bundestagu 25 listopada 2015 roku koalicja CDU/CSU zgotowała jej tak długą owację, że przewodniczący izby Norbert Lammert musiał przywołać swoich kolegów do porządku. „Drogie koleżanki i koledzy, dalsze oklaski są możliwe tylko kosztem czasu poświęconego na debatę” – powiedział. Gdy kanclerz 14 grudnia 2015 roku na zjeździe CDU przywołała na pierwszy plan hasło moralnego supermocarstwa Niemiec,

<sup>1</sup> Premier Bawarii Horst Seehofer już we wrześniu 2015 r. zaczął krytykować Angelę Merkel za otworzenie granic uchodźcom, przekonując, że będzie to miało długofalowe, katastrofalne skutki. Zaatakował kanclerz najpierw w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel”, a później wraz z innymi członkami CSU wielokrotnie wysuwał żądanie dymisji gabinetu – przyp. Kurhaus.



delegaci na stojąco przez dziesięć minut bili jej brawo. Kiedy jednak spytamy kolegów z CDU w Parlamencie Europejskim, czy zaplecze partyjne nie buntuje się po cichu przeciwko Merkel, odpowiedzą wymownym spojrzeniem.

Partiami, które naprawdę stoją za Merkel, są: SPD, której przewodniczący Sigmar Gabriel zaproponował kanclerz polityczny azyl, gdyby jej partia nie chciała jej już w swoich szeregach; Lewica (*Die Linke*), która za nasze pieniądze chce ratować świat; i Zieloni, którzy jak Angela Merkel cierpią na syndrom pomagacza. Wyjątkiem jest tutaj należący do partii Zielonych nadburmistrz Tybingi; on przynajmniej nie traci z oczu pełnego obrazu rzeczywistości.

Wydaje się, że w siostrzanej partii, CSU, Angela Merkel stała się już *persona non grata*. Jej przyjaciele z tego ugrupowania mają jej za złe, że kazała z dnia na dzień otworzyć granice i przez to do Niemiec mogły napłynąć w niekontrolowany sposób setki tysięcy uchodźców. Ludzi, których nie znamy. Nasza kanclerz określa swoją decyzję jako „humanitarny imperatyw”. Jeśli czuje się uskrzydłona tą myślą i udziela pomocy jednostkom takim jak Murat Kurnaz i Ai Weiwei, to jest to akt humanitarny i jako taki musi być uznany za szlachetny. Ale jeśli otwiera granice dla uchodźców, zmienia tym samym nasze życie, nie pytając nas o zdanie. Lekceważy wolę obywateli i podkopuje wewnątrz europejski pokój, domagając się od europejskich partnerów, by zdjęli ten ciężar z niemieckich ramion. Gdy właśnie z tych powodów były minister spraw wewnętrznych Friedrich potępił otwarcie granic, przewodniczący komisji spraw zagranicznych Norbert Röttgen ruszył Merkel z pomocą. „Otwarcie granicy było konieczne z powodów humanitarnych” – stwierdził.

Przez długi czas Seehofer, a wraz z nim cała CSU, zastanawiał się, czy nie zaskarżyć decyzji o otwarciu granic – opartej na opiniach dwóch szanowanych znawców prawa konstytucyjnego – do Trybunału Konstytucyjnego. Chcieli położyć

kres, jak to ujął Seehofer, „panowaniu bezprawia”. Takie słowa są w rzeczywistości rzuceniem rękawicy. Jednakże patrząc na łamańce Seehofera, przecieramy oczy ze zdumienia. Zadaje cios pałką, po czym nagle następuje spotkanie z Merkel, w efekcie którego oboje oświadczają, że w przyszłości będą w pełnej zgodzie podchodzić do pojawiających się wyzwań. Znający polityczną karierę Seehofera nie są zaskoczeni jego zachowaniem. Wiadomo bowiem, że to jego stała cecha: szczeka, ale nie gryzie.

To złamanie prawa doczekało się godnej uwagi oceny ze strony Wolfganga Schäublego. Jego zdaniem otwarcie granic dla uchodźców w tamten weekend na początku września 2015 roku „było decyzją, poprzez którą chcieliśmy pomóc przede wszystkim Austrii i Węgrom, ale także krajom bałkańskim”. Ale przecież w przysiędze, którą kanclerz złożyła na naszą konstytucję, mowa jest o chronieniu przed szkodami narodu niemieckiego, a nie naszych sąsiadów. Trzeba respektować i w miarę możliwości chronić także ich interesy, ale przecież nie poprzez dopuszczenie do niekontrolowanego napływu całego tego mrowia ludzkiego do Niemiec.

Oczywiście liczni obserwatorzy zastanawiają się, jak długo jeszcze Angela Merkel utrzyma się na stanowisku. Z wielu stron płyną do niej słowa pocieszenia: modlą się za nią papież i premier Badenii-Wirtembergii Kretschmann, kardynał Reinhard Marx dziękuje jej za to, że postawiła się ponad prawem. „Nie dostrzegam – mówi duchowny – aby decyzja kanclerz pozwalająca na niebiurokratyczny wjazd uchodźcom z Węgier do Niemiec była błędna. Co może powiedzieć kanclerz w obliczu zdjęć z Węgier? Podziękowałem jej za to publicznie. Postawiła się nawet ponad prawem. To też jest elementem politycznego przywództwa!”

Godny uwagi jest sposób, w jaki Wolfgang Schäuble ruszył na pomoc pani kanclerz. Na pytanie: „Czy popiera pan panią kanclerz w polityce wobec uchodźców z wewnętrznego-

go przekonania czy z lojalności?”, Schäuble odpowiedział: „Z pełnym przekonaniem popieram to, co powiedziała kanclerz: musimy rozwiązać problem na zewnętrznych granicach. A przy tym mówi też, że jeśli nie zostanie on tam rozwiązany, pewnego dnia będzie on rozwiązany na narodowych granicach. Ale to byłoby gorsze rozwiązanie”. Nie wspomniał o zapoczątkowanej przez Merkel kulturze powitania, lecz chwali ją za coś, czego do tej pory nie mówiła i nie robiła.

W oświadczeniu rządowym z 25 listopada 2015 roku Merkel ponownie przywołała powtarzane jak mantrę słowa: „Damy radę. Ale potrzeba będzie znacznego wysiłku i – w znacznym stopniu – nowego sposobu myślenia”. Istnieją dwa sposoby percepcji świata – ten, w którym widzimy go takim, jakim byśmy sobie życzyli, i taki, w którym widzimy go takim, jakim rzeczywiście jest. Kanclerz najwyraźniej nie kieruje się faktami, lecz wizją wielkich wyzwań, którym Niemcy, jej zdaniem, są w stanie sprostać. Zaleca i zarządza nowy sposób myślenia, i to w dużej dawce! Powinniśmy spełnić jej wyobrażenia. Wystarczy, że Niemcy wraz z nią poddadzą się terapii, a z pewnością zaczną myśleć bardziej konstruktywnie niż do tej pory.

## **ROZDZIAŁ 22. AZYL A GRANICE**

To właśnie Niemcy, pomni swojej najnowszej historii, powinni angażować się w udzielanie schronienia ludziom, którzy uciekają przed represjami. Nie wszędzie przecież otwierano drzwi dla Żydów prześladowanych przez narodowych socjalistów. Jednakże, jak stwierdza Rupert Scholz, prawo do azylu – zapisane w Ustawie zasadniczej – nie może być stosowane kolektywnie. Tylko jednostka, gdy może jednoznacznie udowodnić, że była szykanowana z powodów politycznych, ma prawo do azylu. Z tej jasnej pozycji prawnej powstał już polityczny i niedający się rozsypać, także z powodu prawem

unijnego, kłębek. Różne, często wykluczające się nawzajem przepisy stały się tak skomplikowane, że trudno jest je wprowadzić w życie. Wymagają zbyt wiele od zainteresowanej osoby, ale także od zajmujących się sprawą sędziów. Od naszego politycznego kierownictwa nie możemy oczekiwać, że od razu znajdzie właściwy sposób na wyselekcjonowanie imigrantów, którym rzeczywiście przysługuje prawo do azylu. Angela Merkel powinna była jednak wiedzieć, że w tej kwestii niemal doszło do złamania obowiązującego prawa.

Obywatele mogli oczekiwać, że postara się ona znaleźć zadowalające rozwiązanie problemu, zasięgając rad krajowych i zewnętrznych ekspertów. Zamiast tego nasza kanclerz znajduje czas, by z gwiazdą Hollywood George'em Clooneyem i jego żoną wymieniać poglądy na temat światowych wydarzeń w ogólności i dramatu uchodźców w szczególności. Przy tej okazji doczekała się zresztą z ich strony uznania jako sumienie wszystkich polityków świata. Merkel musiało z przyczyn wizerunkowych zależeć na tym, by do obiegu dostały się zdjęcia, na których jest z hollywoodzkim gwiazdorem. A powinna była raczej w tym czasie wysłuchać informacji Ruperta Scholza, znawcy prawa konstytucyjnego oraz jej przyjaciela, Kaya Hailbronnera, profesora prawa publicznego unijnego i międzynarodowego, którego pięciu europosłów należących do „Sojuszu dla Postępu i Przebudzenia”, zaprosiło do EP. Zamieszczane przez niego między innymi w „FAZ” wywody na temat prawa azylu w Europie znalazły swój oddźwięk w poniższych rozważaniach.

Według Hailbronnera to niepotrzebne zachęty pod adresem imigrantów zagroziły bezpieczeństwu naszych granic zewnętrznych i tym samym naszemu prawu azylowemu. Migranci po nielegalnym wjeździe do Niemiec i w trakcie postępowania azylowego mogli wywalczyć sobie prawo do pozostania. Decydujące znaczenie miało – z reguły uzasadnione – oczekiwanie, że dalszy pobyt w Niemczech będzie niejako

automatyczny, jeśli tylko zostaną pokonane przeszkody na drodze do wymarzonego kraju w UE. To nadzieja była i jest podstawą każdej zorganizowanej ucieczki. Ludzie porzucają swój dobytek, zawierają los przemytnikom i udają się w podróż starymi łajbami, licząc, że wszystko dobrze się skończy. Jednak w trakcie prób dotarcia do Europy życie straciły tysiące ludzi.

Z biegiem czasu prawo jednostki do azylu przekształciło się w prawo społeczności starających się o azyl. Media, siły polityczne, a także sędziowie zmienili nazwę prawa do pobytu, które umożliwia przeprowadzenie procedury sprawdzającej, na „status uchodźcy”. Tym samym ustawodawca uległ politycznej presji, tworząc kolejne luki w przepisach. W wyniku tego procedura ubiegania się o azyl zmieniła się w humanitarne prawo do pobytu. Jest to zrozumiałe w obliczu znanych szeroko opinii publicznej zdjęć jednostkowych przypadków cierpienia i nędzy uciekinierów. Ale zadaniem sędziów jest wydawanie wyroków na podstawie prawa do azylu. Sędzia, który wydaje werdykt, by okazać humanitarną postawę, tworzy precedens i tym samym determinuje kolejne orzeczenia sądów. Często zdarzało się, że decyzje nie były wykonywane. Tym samym u wielu ludzi wzrosła pokusa, by po nielegalnym przekroczeniu granicy zapewnić sobie na drodze postępowania azylowego prawo do stałego pobytu w Niemczech.

Podobne zjawiska zaobserwowaliśmy na poziomie ogólnoeuropejskim. Kryterium uznania, czy ktoś może dostać azyl, prawna sytuacja wnoszących o azyl, sam proces przyznawania go, kompetencje w prowadzeniu tego procesu, prawa uznania i możliwości odesłania migrantów – to wszystko znalazło wyraz w znacznej liczbie zaleceń i zarządzeń, stanowiących część składową „wspólnego systemu azylowego w Europie”. Przepisy te są wprowadzane przez państwa członkowskie do ich systemu prawnego i interpretowane przez sądy krajowe. Mimo, a może raczej właśnie z powodu nad-

miernego zwracania uwagi na szczegóły w całej Unii, prawo dotyczące uchodźców daje duże pole manewru, które wykorzystują przede wszystkim sądy we wszystkich krajach członkowskich. Jednak potem ich decyzje musi często korygować Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. I odnosi się to do wszystkich 28 państw członkowskich. Efektem jest duża niepewność co do wykładni prawa w danym kraju.

Na tej podstawie Kay Hailbronner wyciąga wniosek, że obecna kombinacja niemieckiego prawa do azylu oraz unijnych zarządzeń i wytycznych, które stosowane są w bardzo niejednolity sposób – o ile chodzi o regulacje kompetencji zawarte w konwencji dublińskiej – lub są całkowicie ignorowane, nie może być podstawą dla rozwiązania kryzysu z uchodźcami. Widoczne dotychczas próby usprawnienia, wyjaśnienia lub zharmonizowania podstaw prawnych doprowadziły do powiększenia gąszczu przepisów. Dlatego Hailbronner proponuje – nawiązując do Herkulesa, który miał oczyścić stajnie Augiasza – by cały ten prawny chaos zmyła po prostu wielka fala. Potem należałoby stworzyć przejrzyste wspólnotowe prawo azylowe, bez turystyki azylowej i ustaw, które zniekształcają pierwotne prawo do azylu.

Jednolita, przejrzysta i jasno oddzielona od krajowego prawa procedura przyznawania azylu mogłaby przywrócić kontrolę nad ruchami migracyjnymi w UE, a jednocześnie osłabić skłonność do wykorzystywania prawa do azylu jako tylnych drzwi dla nielegalnej imigracji. W zorganizowanych i finansowanych przez Brukselę głównych punktach przyjęć niedaleko zewnętrznych granic UE wyspecjalizowane urzędy i sądy mogłyby, opierając się wyłącznie na unijnym prawie do azylu (włącznie z sądową ochroną prawną) podjąć wiążące decyzje w ciągu trzech miesięcy, a w przypadku wniosków z bezpiecznych krajów trzecich – w ciągu miesiąca. Ten, kto nie spełnia – i tak wymagających nowego opracowania – kryteriów uprawniających do indywidualnej ochrony, byłby traktowany

jak nielegalny imigrant. Byłoby to korzystne, gdyż pozwoliłoby na zredukowanie skomplikowanego procesu przyznawania prawa do tymczasowego pobytu do procedury sprawdzenia, czy istnieje uzasadniona potrzeba udzielenia ochrony danej osobie. W przypadku odrzucenia wniosku obowiązkowa byłaby szybka repatriacja takiej osoby. Do tego potrzebne są jednak dalsze uzgodnienia z krajami trzecimi, które umożliwią przyspieszoną repatriację lub deportację. Dzięki tej metodzie zbyteczne staje się sięganie po narodowe procedury, kolejne wnioski o azyl, humanitarne prawo do pobytu, komisje do spraw trudnych przypadków i azyl kościelny. Wykluczony byłby więc dostęp do procesu azylowego i różnorodnych krajowych systemów zabezpieczenia społecznego. Nie trzeba jednak tworzyć nowych urzędów. Zadanie to można by powierzyć władzom krajowym zajmującym się do tej pory problemami tego rodzaju. Nie wykluczałoby to przyjmowania ze względów humanitarnych dużych grup, które nie mogą domagać się indywidualnej ochrony, jak to zdarzyło się na przykład w Niemczech w przypadku około 40 tysięcy Syryjczyków. Ale działałoby się to właśnie na podstawie politycznej decyzji i tym samym politycznej dyskusji o możliwościach przyjmowania uchodźców i otwierania granic, co zresztą jest określone w punkcie pierwszym niemieckiej ustawy o prawie do pobytu. Przepis ten stanowi nić przewodnią niemieckiej polityki migracyjnej.

Czy nie należy się spodziewać, że po przyjęciu tak przejrzystej metody, imigranci – zdający sobie sprawę, że nie mają zbyt wielu szans na uzyskanie prawa do pobytu – nie dokonają szturmów na granice, by potem rozpląnąć się w powietrzu w kraju swoich marzeń lub dzięki pomocy mediów i polityków wywalczyć w postępowaniu azylowym prawo do pobytu? I czy nie trzeba będzie użyć broni palnej do ochrony granic? Nie, absolutnie. Doświadczenia Danii i Szwecji pokazują, że wskazówki na ulotkach zapowiadające, że każdy,

kto nielegalnie przekroczy granicę, traci prawo do pobytu lub postępowania azylowego, powstrzymują migrantów przed szturmowaniem innych krajów. Także UE wychodzi obecnie z założenia, że imigrant straci prawo do świadczeń socjalnych i pobytu, jeśli będzie nielegalnie przekraczał kolejne granice. To samo musi dotyczyć także przypadków niszczenia dokumentów tożsamości. Przeciw takim zamiarom UE protestują gwałtownie Zieloni, Kościoły i organizacje pomocy uchodźcom. Powołują się przy tym na decyzję Trybunału Konstytucyjnego z 2012 roku i godność człowieka. Ale sama godność nie daje imigrantowi prawa do pobytu w dowolnie wybranym przez niego kraju Unii Europejskiej i do pobierania tam zasiłku, skoro dostaje od państwa bilet do ośrodka dla imigrantów, w którym może mieszkać w dobrych warunkach, do czasu rozpatrzenia jego wniosku o azyl. Bądź co bądź, pod presją wydarzeń także w ustawie o integracji pojawiły się – szkoda, że tak późno – pierwsze oznaki zmierzania w tym kierunku. Jednakże takie regulacje i zapowiedzi odnoszą skutek tylko wtedy, gdy wprowadzane są w życie bez żadnego wyjątku.

Żeby system funkcjonował należycie, na zewnętrznych granicach UE muszą być prowadzone efektywne kontrole. W większym stopniu, lecz i tak z dużym opóźnieniem, zaczęto wreszcie wykorzystywać Frontex w celu przezwyciężenia narosłej przez dziesięciolecia niezdolności lub niechęci państw UE, a szczególnie Grecji, do prowadzenia określonych unijnymi przepisami kontroli granicznych i ponoszenia odpowiedzialności za wykonywanie nadanych im uprawnień w kwestii ochrony terytorium unijnego. Szeroko kolportowany w obliczu ogromnej liczby uchodźców złowrogo brzmiący frazes o „twierdzy Europa” nie uwzględnia faktu, że tylko dzięki odzyskaniu zdolności do sterowania wielkimi migracyjnymi ruchami Europa będzie w stanie zagwarantować wszystkim mieszkańcom bezpieczeństwo, stabilizację i dobrobyt. Zabezpieczenie granic jest więc nieodzowne – na gra-



nicach zewnętrznych UE, a jeśli będzie to konieczne, także na granicach wewnętrznych. Niektórzy uparcie twierdzą, że w wieku globalizacji narodowe granice są przeżytkiem. Prawda jest jednak inna. Tylko jeśli państwa członkowskie UE będą przekonane, że na ich terytorium nie występuje zjawisko niekontrolowanej imigracji, będą gotowe uczestniczyć w kwotowym podziale uchodźców. Państwa UE będą jednak same musiały określić, czy zaangażują się w ten proces na zasadzie ustalania górnej granicy liczby uchodźców, którą mogą przyjąć, czy też ich udział będzie mieć charakter wyłącznie finansowy lub polegać będzie na tworzeniu centrów dla azylantów.

Wszyscy doceniamy zapisaną w Układzie z Schengen swobodę ruchu osobowego oraz korzyści, jakie przynosi ona dla naszego dobrobytu. Nie można było jednak w momencie podpisywania układu przewidzieć, że dojdzie do takiego rozwoju wydarzeń, jakiego świadkami dzisiaj jesteśmy. Gdyby wówczas wzięto pod uwagę wszystkie prawdopodobne skutki otwarcia granic, zapewne zrezygnowano by z zapisu o całkowitej swobodzie poruszania się obywateli, gdyż to dzięki niemu po strefie Schengen mogą przemieszczać się także mieszkańcy państw spoza jej obszaru. Dlatego nie wolno twierdzić, że kontrole na wewnętrznych granicach, służące nadzorowaniu wjazdu osób spoza państw unijnych, naruszają literę i ducha traktatów europejskich.

Przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker twierdzi, że kontrole graniczne zagrażają funkcjonowaniu rynku wewnętrznego. W swojej wypowiedzi otarł się o patos: „Kiedy duch Schengen opuści nasze kraje i nasze serca, stracimy więcej niż tylko strefę Schengen”. Kontrole graniczne pociągają za sobą wydłużenie czasu podróży w ruchu towarowym i tym samym generują dla gospodarki wyższe koszty. Może to doprowadzić do problemu bezrobocia, nad którym „nie można będzie zapanować”, dodaje Juncker. Nie można oczywiście wykluczyć, że dojdzie do opóźnień w ruchu

granicznym. Jednak ciężarówki będą sprawdzane tylko pod kątem ewentualnych pasażerów na gapę. Jest mało prawdopodobne, by ich kierowcy świadomie przerzucali migrantów i ryzykowali, że z tego powodu zostaną zatrzymani na granicy. Dlatego możemy założyć, że opóźnienia będą utrzymywać się w rozsądnych granicach.

Klaus-Michael Kühne, większościowy udziałowiec działającej na całym świecie firmy logistycznej Kühne & Nagel i współzałożyciel firmy przewozów morskich Hapag-Lloyd, miał odwagę przeciwstawić się za pomocą logicznych argumentów tym pesymistycznym scenariuszom. Jego zdaniem można w pełni zapanować nad ekonomicznymi skutkami kontroli granic. A niby dlaczego miałyby być inaczej? Nigdy nie zniesiono kontroli na granicy z Wielką Brytanią, co nie wpłynęło przecież ujemnie na zwycięski korowód niemieckich ciężarówek na Wyspy. USA i Chiny stały się dla Niemiec najważniejszymi rynkami eksportowymi, chociaż działają tam kontrole graniczne i – zauważmy – nie ma tam euro! Nie ma więc żadnego powodu, by twierdzić, że po wprowadzeniu kontroli granicznych nie można byłoby opanować bezrobocia. Jest to raczej wymysł Junckera, żeby sprowadzić świat z – jego zdaniem – niebezpiecznej ścieżki. A poza tym, gdyby opóźnienia na szlakach transportowych rzeczywiście podniosły koszty, a te z kolei przełożyły się na wzrost cen, to spełniłoby się wielkie marzenie Maria Draghiego, gdyż w ten sposób o krok przybliżylibyśmy się do tak gorąco wytęsknionej przez niego inflacji.

Przejdźmy teraz do zaprezentowanej przez Junckera wariacji na temat hasła Angeli Merkel: „Jeśli euro upadnie, upadnie cała Europa!”. Juncker uważa zaś, że „jeśli upadnie Schengen, upadnie też euro”. Bez swobodnego przemieszczania się pracobiorców, bez swobody podróżowania, z której korzystają wszyscy Europejczycy, euro nie miałoby sensu – twierdzi Jean-Claude Juncker. Pogląd, że kontrole graniczne

zagrożą wspólnej walucie, jest również wymysłem Junckera, który w ten sposób chciałby trzymać polityków z daleka od możliwości kontrolowania granic. Tym argumentom Junckera brakuje jakiejkolwiek wewnętrznej logiki. Czy Juncker uważa, że na świecie żyją sami głupcy? Albo mówiąc inaczej: co Juncker musi myśleć o samym sobie, jeśli zakłada, że świat potraktuje poważnie jego wypowiedzi?

### **ROZDZIAŁ 23.** **INTEGRACJA NA RYNKU PRACY** **JAKO DECYDUJĄCY SPRAWDZIAN**

Ale najważniejsze ze wszystkich pytań brzmi: Jak w dłuższej perspektywie możemy pomóc ludziom, którzy do nas przybyli? Jak może udać się integracja, która przyniesie korzyści zarówno im, jak i nam? Najskuteczniejsza integracja odbywa się przez rynek pracy. Jeśli uchodźcy będą sami zarabiać, to będą mogli przejąć za siebie odpowiedzialność i poczują, że społeczeństwo ich przyjęło i potrzebuje. Odciążą to też znacząco finanse państwa.

Prezisi naszych najważniejszych związków gospodarczych – Federalnego Związku Przemysłu Niemieckiego (BDI) i Federalnego Stowarzyszenia Niemieckich Związków Pracodawców (BDA) – przychylnie spoglądali na napływających imigrantów. Twierdzili, że mogą oni być rozwiązaniem problemu niedoboru siły roboczej wynikającego z trendów demograficznej. Przyklaskiwali temu, co się działo, nie sprawdzwszy nawet ilu imigrantów mogłoby sprostać wymogom niemieckiej gospodarki. Dieter Zetsche, szef Daimlera, zdobył się nawet na uwagę, że imigracja może stać się podstawą kolejnego niemieckiego cudu gospodarczego. „Większość uchodźców jest młoda, dobrze wykształcona i ma ogromną motywację. Dokładnie takich ludzi szukamy”. Rzeczywistość wygląda jednak inaczej. Dziennikarskie śledztwo „FAZ” (publikacja z 4 lipca

2016 roku) ujawniło, że 30 firm z indeksu giełdowego DAX<sup>2</sup> zatrudniło łącznie zaledwie 54 uchodźców – 50 z nich Deutsche Post (Poczta Niemiecka), a po dwóch SAP i Merck. Okazało się, że firmie Daimler AG nie przydał się żaden. Ta informacja rozeszła się lotem błyskawicy po Parlamencie Europejskim. Dzień po publikacji tych danych – 5 lipca 2016 roku – co drugi poseł, przemawiając na temat raportu „Refugees: Social Inclusion and Integration into the Labour Market”, przywoływał te liczby albo z oburzeniem, albo z nieskrywaną satysfakcją.

Gdy przedsiębiorcy, nie zasięgawszy nawet opinii kompetentnych współpracowników, wygłaszają tego typu oświadczenia, urastają one do rangi rekomendacji. Wiedzą przecież o tym, że tych stwierdzeń nie da się obronić. Czyżby chcieli w ten sposób tylko oddać przysługę pani kanclerz? Zakładamy, że prezesi spółek mają elementarną wiedzę na temat ekonomii. Dlatego też przypuszczamy, że tego typu deklaracje są odpowiedzią na prośby albo samej kanclerz, albo jej zaufanych współpracowników, o udzielenie rządowi wsparcia. Heike Göbel z „FAZ” zakłada, że przedstawiciele gospodarki od dawna zdają sobie sprawę, że przesadzili z wyrażaniem radości, gdyż większość przybyłych do Niemiec imigrantów to przypadki raczej dla opieki społecznej niż użyteczni pracownicy czy uczniowie, którzy mogliby przeskoczyć do jakiegoś zawodu.

Architekt Max Schwitalla stworzył teorię na temat integracji na rynku pracy. I chciałby sprawdzić ją w praktyce. Zamierza zbudować dom przy pomocy uchodźców – oczywiście pod fachowym kierownictwem. Uchodźcy zaangażują się w sprawę, która bezpośrednio ich dotyczy. W grupie budującej dom mogą zebrać najrozmaitsze doświadczenia, które przydadzą się im także później na rynku pracy. Nowością, niemal genialną w tym pomysle, jest to, że przyszli mieszkań-

<sup>2</sup> DAX to najważniejszy indeks niemieckiej giełdy papierów wartościowych we Frankfurcie – przyp. Kurhaus.

cy, budując dom, mogą prezentować własne koncepcje, których nie rozważano w trakcie planowania. Taki projekt powinien spotkać się z uznaniem ze względu na swoje znaczenie w wymiarze ludzkim, politycznym i dydaktycznym.

Jest wielu uchodźców, którzy natychmiast lub po krótkim przygotowaniu mogliby zostać zintegrowani na rynku pracy. Przykładów tu nie brakuje. Pracodawcy wychwalają ich silną motywację, gotowość do nauki i zapał do pracy. Jednak już na pierwszy rzut oka widać, że dużej części imigrantów to nie dotyczy. Nieznajomość języka i brak rozeznania w nowoczesnych metodach pracy są dużymi przeszkodami, które utrudniają szybkie wdrożenie się do zawodu. Uciekinierzy zwykle nie są wykształceni, a ich doświadczenie zawodowe jest mniejsze niż gospodarzy.

Najlepsza droga do integracji polega na szybkim, niezbiurokratyzowanym przyjęciu ich na rynek pracy. Włączając ich do niego na najniższym poziomie, możemy zrealizować zasadę subsydiarności. Szefowie zakładów wiedzą najlepiej, jakich pracowników potrzebują i jak mogą wykorzystać ich przy pracy.

System edukacji w Niemczech opiera się na długiej tradycji rzemieślniczej. Kształcenie odbywa się w zakładach pracy, a jego uzupełnieniem są zajęcia w szkołach zawodowych. Ten system sprawdził się doskonale i uchodzi za atut Niemiec. Inne kraje opierają się raczej na systemie kształcenia określanym jako *learning by doing*. Można by go stosować w Niemczech przez pewien czas, nazwijmy to okresem przejściowym. Jego niedoskonałości nadrobiono by dzięki lepszemu zarządzaniu, dostosowanemu do potrzeb.

Skoro obecnie z rynku pracy odchodzi – i to wcześniej niż zwykle – wielu wykwalifikowanych pracowników – za co nie możemy być wdzięczni pani Nahles – to można im zaproponować, aby towarzyszyli nowo przybyłym w poznawaniu nowego zawodu. Wskazywaliby zadania, wprowadzali w obo-

wiązki i nadzorowali oraz kontrolowali proces pracy. W ten sposób przejęliby w pewnym sensie patronat nad jednym lub kilkoma uchodźcami i otrzymywaliby dodatkową zapłatę.

Dla większości imigrantów liczą się przede wszystkim miejsca pracy, na których nie trzeba ich przyuczać lub wystarczy zrobić to w niewielkim stopniu. Ale ponieważ takie miejsca pracy cechuje niewielka wydajność, pracownicy mogą otrzymywać za nią tylko niskie wynagrodzenie. W Niemczech obowiązuje ustawowo określona płaca minimalna, a zatem pracy za taką stawkę brakuje. Należałoby więc znieść płacę minimalną, aby dzięki temu więcej ludzi miało zajęcie i mogło zarabiać. SPD i związki zawodowe sprzeciwiają się jednak temu pomysłowi. Obawiają się, że w wyniku obniżenia płacy minimalnej praca mogłaby „odpłynąć” do gorzej opłacanych pracowników, a ci, którzy do tej pory byli zatrudnieni na płacy minimalnej, mogliby stracić posady. Nie stałoby się tak, gdyby płaca minimalna odpowiadała specyficznej dla danego zajęcia wydajności. Jeśli w ramach danej stawki zatrudniani są pracownicy o niskiej wydajności, gdyż bez nich nie można osiągnąć pożądanego wyniku produkcji, są oni subwencjonowani przez zwiększoną wydajność innych miejsc pracy.

Często nie dostrzega się tego, że fala imigracyjna wywołuje presję na obniżenie płac. Przesiedleńcy bowiem przy podobnej efektywności oferują swoją pracę taniej niż inni. Właśnie tego chcą uniknąć politycy i związki zawodowe. A przecież jeśli przenieśliśmy te rozważania na płaszczyznę gospodarki narodowej, należałoby uznać, że zjawisko to jest bodźcem dla rozwoju: przecież jeśli przedsiębiorcy zaproponuje się usługi i produkty po cenach niższych niż do tej pory, będzie on mógł przeznaczyć nadwyżki na inwestycje. Dzięki temu mogłyby powstać nowe miejsca pracy, spaść ceny oferowanych przez producentów produktów, a siła nabywczą ludności wzrosłaby, przynosząc ogólną korzyść. Politycy

prawdopodobnie zareagują jednak jak zwykle. Będą chcieli, aby wielu uchodźców na stałe pobierało zasiłek Hartz IV<sup>3</sup> lub znalazło zatrudnienie na subwencionowanych przez państwo stanowiskach pracy. Tym samym politycy nie dotykają istoty problemu, lecz jedynie leczą objawy.

Jeśli stworzą specjalne przepisy, które nie będą dotyczyć „normalnych” pracobiorców, doprowadzą do zwiększenia biurokracji i powstania „socjalnej zazdrości”. A przecież przy większym udziale rynku i ograniczonej biurokracji można by wypracować kreatywne rozwiązania na rynku pracy. Większość uchodźców jest przyzwyczajona do samodzielnego troszczenia się o siebie i do osobistej odpowiedzialności za swoje losy. Ich młodość, fantazja i entuzjazm mogłyby być wykorzystane z pożytkiem dla nich, zakładając jednakże, że biurokracja im w tym nie przeszkodzi. Poza tym nawet „niełatwa” praca bardziej wspiera integrację niż bezczynne czekanie na subwencionowane przez państwo miejsce w zakładzie. Dajmy znowu szansę ludzkiej inicjatywie, osobistej wolności i odpowiedzialności.

## ROZDZIAŁ 24.

### CZY KULTUROWA INTEGRACJA JEST MOŻLIWA?

Istnieją sukcesy integracji, o których nikt nie mówi. Przykładem może być masowa emigracja do Ameryki w minionych stuleciach. Oczywiście można powiedzieć, że było tam pod dostatkiem miejsca dla wszystkich. Decydujące znaczenie miało jednak to, że emigranci wiedzieli, że muszą polegać tylko na sobie, bo nikt inny im nie pomoże. Możemy z tego wyciągnąć wniosek, że odpowiedzialność z jednej strony i otwarty rynek pracy z drugiej tworzyły decydujące przesłanki udanej integracji. W ostatnich czasach większość biednych

<sup>3</sup> Świadczenia wprowadzone w ramach tzw. ustaw Hartz, będących częścią pakietu reform Agenda 2010 wprowadzonego przez rząd Gerharda Schrödera – przyp. Kurhaus.

imigrantów z Meksyku i innych latynoamerykańskich państw awansowała do klasy średniej w USA, mimo że początkowo zajmowali się kiepsko płatnymi zajęciami. Dzisiaj stanowią znaczącą siłę w amerykańskim społeczeństwie, której nie może ignorować żaden kandydat na prezydenta.

Innym przykładem udanej integracji są Wietnamczycy w byłej NRD oraz Chińczycy i Japończycy na zachodnim wybrzeżu USA. Kierownictwu NRD brakowało siły roboczej z powodu pracochłonnej produkcji i niskiej wydajności. Wietnamczycy szybko dostosowali się do wymagań i przy okazji nauczyli się niemieckiego na tyle, że mogli się porozumiewać z miejscowymi. Wielu z nich po zjednoczeniu Niemiec musiało powrócić do ojczyzny, bo nie przedłużono im zezwoleń na pobyt. Kiedy po upadku muru Starbatty odwiedził stolicę Wietnamu Hanoi, dziwił się, jak często w restauracjach lub na targowiskach zagadywano go po niemiecku z lekkim saksońskim akcentem, pytając, jakie ma życzenia.

W czasie pobytów na University of Washington w Seattle (1992, 1995 i 2002) w roli profesora wizytującego Starbatty zaobserwował, że z roku na rok na jego kursach rosła liczba Chińczyków, Japończyków i Wietnamczyków. Stwierdził, że imigranci z Azji Południowo-Wschodniej bardzo starali się zintegrować z Amerykanami. Rodziny robiły wszystko, by poprzez wykształcenie umożliwić dzieciom awans w społeczeństwie. Czas wolny wykorzystywano raczej do nauki niż zabawy. W końcu prześcignęli swoich amerykańskich kolegów ze szkoły. Kulturowa integracja była dla nich czymś oczywistym. I tak stali się obywatelami USA chińskiego lub japońskiego pochodzenia. Dzisiaj Amerykanie azjatyckiego pochodzenia mają najwyższe średnie dochody w USA.

Także w naszym rejonie geograficznym istniało i istnieje wiele przykładów udanej integracji imigrantów z krajów arabskich i afrykańskich. Po rewolucji w 1979 roku młodzi Irańczycy opuścili swój kraj, by rozpocząć życie w wolnych



państwach Europy, w USA lub Kanadzie. Udało im się nie tylko odnieść sukces zawodowy, lecz niemal całkowicie wtopili się w kulturę gospodarzy. Należy oczywiście zaznaczyć, że chodziło przy tym głównie o ponadprzeciętnie wykształconych i zlaicyzowanych Irańczyków. Starbatty uczył i kształcił w czasie swojej akademickiej kariery także wielu dobrych studentów obu płci z rodzin tureckich.

Istnieją jednak wątpliwości, czy tak wielu ludzi bez wykształcenia, którzy obecnie przybywają do Europy, może z sukcesem i na stałe zintegrować się z tutejszym społeczeństwem – a zwłaszcza ci, którzy są ortodoksyjnymi muzułmanami. W decydującym stopniu zależy to od indywidualnych przypadków. Jednakże istnieją przesłanki i zachowania, które utrudniają skuteczną integrację. Dzieje się tak, jeśli socjalizacja danej osoby w kraju jej pochodzenia istotnie różniła się od naszej, gdy występują znaczne różnice w poziomie edukacji lub gdy relacje między płciami odbiegają od przyjętych u nas. Równouprawnienie wywalczono u nas w wyniku długiego, mozolnego procesu. Jednostka zbyt silnie ukształtowana przez dosłowne wypełnianie sur koranicznych ma trudności z integracją i zbyt często popada w konflikty z naszym społeczeństwem. Podstawowe znaczenie w szerzeniu radykalnych poglądów religijnych mają rosnący wpływ coraz bogatszych – dzięki ropie – wahabickich państw znad Zatoki Perskiej i islamska rewolucja w Iranie w 1979 roku. Za pośrednictwem gastarbeiterów z biedniejszych arabskich państw i dzięki bezpośredniemu finansowaniu meczetów przez arabskich władców islamskie poglądy rozeszły się z Półwyspu Arabskiego na cały świat.

Potworne wojny domowe w arabskim świecie są praprzyczyną napływu uchodźców nie tylko do Europy. Wśród imigrantów znajdują się jednak nie tylko otwarci na świat muzułmanie i członkowie elit, lecz także ludzie z głęboko wierzących, biedniejszych i słabo wykształconych warstw społecznych.

Religia określa ich życie, a z powodu swojej odmienności łatwo mogą popaść w konflikt z naszym zlaicyzowanym społeczeństwem. Politycy nie zaprzeczają, że ukształtowane przez obcą religię spojrzenie na świat stanowi problem – w przeciwnym razie nie zastanawialiby się nad skłonieniem wyznających islam przybyszów do złożenia podpisu pod przyrzeczeniem wierności niemieckiej Ustawie zasadniczej. Naiwnością jest jednak zakładać, że głęboko wierzący, ukształtowany przez swoją religię muzułmanin będzie czuł się zobowiązany do czegokolwiek wymuszonym podpisem. Raczej odczuje taką deklarację jako zdradę własnego społeczeństwa i tradycji. Jeśli chcemy chronić nasze różnorodne i gwarantujące wiele swobód społeczeństwo, to musimy jednak jasno i wyraźnie powiedzieć: muzułmanie przyjechali do kraju, który ich chroni i daje możliwość ułożenia sobie życia. Warunkiem ich pobytu jest jednak przestrzeganie przez nich naszych i zasad, i to bez żadnych zastrzeżeń.

W tym kontekście pomocne są słowa Immanuela Kanta zawarte w jego słynnym eseju *Projekt wieczystego pokoju*. W trzecim „artykule definitywnym” Kant pisze, że w ramach gościnności obowiązuje prawo zakazujące traktować obcego po jego przybyciu na teren innego kraju jako wroga tak długo, jak długo zachowuje się on pokojowo. Decydujące znaczenie dla pobytu w innym kraju ma więc pokojowe zachowanie przybysza. Kant mówi wyraźnie, że podstawą wspólnego życia nie jest filantropia, lecz prawo. Dalej wyjaśnia, że sztuka budowy państwa polega na takim kształtowaniu jego konstytucji, by gwarantowała ona pokojowe współistnienie, nawet gdy prywatnie ludzie dążą do konfliktu. Należy ich jednak powstrzymywać, by „publicznie zachowywali się tak, jakby wcale nie żywili wobec siebie wrogich myśli”. Według tych poglądów tolerowanie społeczności funkcjonujących na marginesie normalnego społeczeństwa, wyznających zasady i prawo sprzeczne z naszym, doprowadzi do poważnych kon-

fliktów. Społeczności te bowiem naruszają zasady państwa prawa jako takiego. A tego nasze społeczeństwo nie może zaakceptować.

Istotna trudność polega na tym, że przedstawiciele konserwatywnych kierunków islamu wierzą, że najmłodsza monoteistyczna religia góruje nad innymi. Przekonanie zawarte w *Natanie mędrca* Lessinga, że dzięki pokojowemu współistnieniu trzech monoteistycznych religii okaże się, która z nich jest religią prawdziwą, jest zdecydowanie obce dzisiejszym wykładniom odnoszącym się do roli religii. Wielu arabskim krajom obca jest też idea laickiego oświecenia i związana z nią akceptacja innowierców. Religia jednoznacznie reguluje zasady współżycia społecznego w wielu islamskich państwach. Jeszcze dziś w prawie wszystkich muzułmańskich krajach kobietom nie wolno wychodzić za mąż za niemuzułmanów. Karalne jest w niektórych krajach także odejście od islamu. Jest to – na przykład dla Irańczyków – ważny czynnik *push* skłaniający osoby, które przeszły na chrześcijaństwo do wyjazdu za granicę. Bez wątpienia wielu muzułmanów ucieka od takich rygorów, zarazem jednak wielu głęboko wierzących muzułmańskich migrantów przybywa do nas, nie porzuciwszy swoich przekonań. Dlatego należy sądzić, że niektóre osoby ze środowisk uchodźców i migrantów nie traktują kulturowych wzorców kraju, który ich przyjmuje, jako czegoś, czym winni się kierować, lecz jako otoczenie, które w dłuższym okresie należy przekształcić tak, aby zbliżyło się do ich religii.

Istnieje wiele krytycznych sprawozdań na temat ucisku kobiet w islamie. Jeśli kobieta dobrowolnie podporządkowuje się obowiązującym zwyczajom, jest to osobista sprawa między mężczyzną a kobietą. Nie nam tu rozstrzygać, czy kobieta dobrze się wtedy czuje. Istnieje tak wiele form współżycia ludzi, że powinniśmy być powściągliwi w naszym osądzie. Inaczej wygląda sytuacja kobiety, która chce uwolnić się od tych związków. Wówczas państwo nie może tolerować żąd-

nych „wysp”, na których nie obowiązuje państwowe prawo. Nie można oczekiwać, by ukształtowane przez religię poglądy muzułmanów uległy zmianie, gdy stawiają oni stopę na obcej ziemi. Ale przyjmujące ich państwo musi swoją postawą pokazać im, że od tej pory obowiązuje ich prawo przyjmującego ich kraju.

Tolerancja naszego społeczeństwa, wolności, które zapewnia, są wielkie. Może to jednak przyjmować karykaturalne formy. Sięgnijmy do przypadku, który rozegrał się we Włoszech i jest tak dziwaczny, że nie uważano by go za możliwy, gdyby się rzeczywiście nie wydarzył. Podczas wizyty głowy państwa irańskiego w Rzymie 26 stycznia 2016 roku okryto nagie posągi, aby nie wywołać zawstydzenia u ważnego gościa. Nie wiadomo, czy gość państwa włoskiego o to prosił. Wówczas można byłoby mu wyjaśnić, że te posągi są nagie od dwóch tysięcy lat i dotychczas nikt się z tego powodu nie obraził. Można byłoby mu powiedzieć także, że nie ma obowiązku ich oglądać. Potem w Rzymie nikt nie chciał się przyznać do wydania polecenia zakrycia posągów, a włoski premier Renzi opryskliwie zbył dziennikarzy, którzy o to pytali.

Komentowane już przez nas przeprosiny, złożone przez Angelę Merkel tureckiemu rządowi w związku z wierszem satyryka telewizji ZDF Böhmermanna, służyły chyba tylko oczyszczeniu atmosfery we wzajemnych relacjach. Nastąpiły one zbyt pośpiesznie, bez poddania całej sprawy analizie prawnej, bez dyskusji o tym, jak daleko możemy posunąć się w ramach wolności słowa i czy naruszenie dóbr osobistych polityka jest jej granicą. Przeprosiny były ustępstwem politycznym i mogą być traktowane także jako kulturowa kapitulacja. W tym przypadku media, które zwykle chwala Merkel, zwróciły się przeciwko niej. Ba, zachowały się zdumiewająco *politically incorrect* (pol. niepoprawnie politycznie). Niemal wszystkie pośrednio lub bezpośrednio zrugwały Merkel za jej służalczość. Skrytykował ją nawet Mathias Döpfner, prezes

zarządu wydawnictwa Axel Springer.

Tolerancja nie może oznaczać, że bez walki oddaje się pole w sytuacji, w której obce religie domagają się poważania, a same zachowują się nietolerancyjnie wobec naszej religii. Żadnej tolerancji dla nietolerancji! Rozdział Kościoła od państwa jest częścią składową naszego wspólnego nowoczesnego życia. Musi to obowiązywać wszystkie religie w naszym kraju. Poetka Marie von Ebner-Eschenbach tak uzupełniła przysłowie „mądry głupiemu ustępuje”: „To smutna prawda, uzasadnia światowe panowanie głupich”. Odniesione do tolerancji słowa te oznaczają: „Tolerancyjny ustępuje nietolerancyjnemu – to smutna prawda, uzasadnia światowe panowanie nietolerancyjnych”.

## CZEŚĆ VIII GREXIT CZY DEXIT?

Grexit lub Dexit – albo dojdzie do załamania Europejskiego Systemu Walutowego. Może przyjąć formę eksplozji lub implozji. Rządy krajów członkowskich, Komisja Europejska (KE), a także duża część Parlamentu Europejskiego (PE) mają jednak inne zdanie. Utrzymują, że wyjście Grecji ze strefy euro postawiłoby ten kraj na skraju gospodarczej przepaści. Grecja zubożałaby, bo nie miałaby czym płacić za importowane towary, a przede wszystkim za pilnie potrzebne lekarstwa. Kapitał uciekłby z niej, bojąc się łatwej do przewidzenia dewaluacji nowej drachmy. Wzrosłyby zadłużenie, jako że większość kredytów [zagranicznych] denominowanych jest w euro lub w dolarach amerykańskich. Ale szkody poniosłaby też Europa. Argumentuje się, że wyjście Grecji [z eurostrefy] pogorszyłoby reputację Unii Europejskiej na całym świecie, bo zostałoby to zinterpretowane jako porażka pokojowego projektu Europy. Mogłoby to też spowodować wyjście kolejnych państw z obszaru wspólnej waluty – pod presją rynków. To rozsadziło by eurostrefę. W Brukseli uważa się ponadto, że wyjście Niemiec ze strefy euro byłoby dowodem na to, że zdradziły one europejskie ideały i zwróciły się w stronę – zdawałoby się przewyżnionego już – nacjonalizmu.

My jednak twierdzimy, że Niemcy zachowują się dokładnie odwrotnie. Uparcie obstają przy źle skonstruowanej unii walutowej, która koniec końców rozsadzi fundamentalne europejskie wartości: wolność, demokrację, praworządność i pokojowe sąsiedztwo.

**ROZDZIAŁ 25.**  
**POGLĄDY WOLFGANGA SCHÄUBLEGO**  
**– W ROKU 2010 I PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ**

Dla przypomnienia: gdy pod koniec 2009 roku Europejski Urząd Statystyczny (Eurostat) ujawnił, że deficyt budżetowy Grecji nie kształtuje się wcale na poziomie 4-5 proc., jak informował grecki rząd, lecz jest dwucyfrowy, wszyscy nagle zdali sobie sprawę, że Grecja nie jest w stanie obsługiwać i spłacać swoich długów. W reakcji na to gwałtownie wzrosło oprocentowanie greckich obligacji. Grecja stała się niewypłacalna. Faktycznie zbankrutowała. W tej sytuacji – wiosną 2010 roku – niemiecki minister finansów Wolfgang Schäuble uznał za rozsądne, by w razie konieczności umożliwić krajom eurozony opuszczanie unii walutowej. W oświadczeniu rządowym 17 marca 2010 roku Angela Merkel poparła propozycję Schäublego i dodała: „Nawet w takich przypadkach, jak sytuacja Grecji, musimy przede wszystkim myśleć o stabilności całej wspólnoty. Nie możemy wobec tego udzielić takiemu krajowi pomocy, jeśli w dłuższej perspektywie nie przyniosłaby ona pozytywnych konkretów, a tylko doprowadziła do osłabienia euro”. Została za to nagrodzona oklaskami członków CDU/CSU i FDP.

Trudno o bardziej jednoznaczny ogląd rzeczywistości. Niestety, kanclerz i jej ministrowie nie wyjawili nigdy, dlaczego później wszystko potoczyło się inaczej. Prawdopodobnie banki podniosły alarm, nie chcąc ponosić strat na greckich kredytach. Udało im się chyba przeciągnąć na swoją stronę także prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego oraz premiera Wielkiej Brytanii Gordona Browna. Wszystko to wydarzyło się ponad naszymi głowami, mimo że to my, podatnicy, ponosimy ostatecznie konsekwencje zaangażowania banków w ryzykowne operacje, a transparentność politycznych procesów jest podstawowym warunkiem sprawowania przez naród władzy.

Jednak [europejscy] politycy nie oddali Grecji przysługi – wręcz przeciwnie. Jeśli dłużnikowi daje się pieniądze na spłatę wierzycieli, to zabezpiecza się tych drugich, a zobowiązania dłużnika rosną. Nam, obywatelom, mówiło się, że [dzięki pomocy finansowej] Grecja zostanie uratowana, a sytuacja w strefie euro pozostanie stabilna. Ani jedno, ani drugie nie było prawdą. Grecja musi stale ponosić koszty kursu walutowego, który nie pozwala na uzdrowienie jej gospodarki. „The Economist”, najpoważniejszy tygodnik ekonomiczny na świecie, pisał już wtedy: „*The greek economy is hopelessly uncompetitive*” (pol. „Grecka gospodarka jest kompletnie niezdolna do konkurowania z innymi”).

Po pięciu latach oczekiwania minister finansów Schäuble zaproponował w lipcu 2015 roku, by Grecja na pewien czas wyszła ze strefy euro. Do swojego pomysłu przekonał 14 rządów państw członkowskich strefy euro; tylko Francja, Włochy, Grecja i Cypr opowiedziały się przeciwko tej koncepcji. Schäuble prawdopodobnie przypuszczał już wtedy, że także trzeci pakiet pomocowy nie przesunie Grecji na ścieżkę wzrostu, za to w dalszym ciągu będzie ją trzymać w pułapce zadłużenia. Grecja cały czas podłączona jest do finansowej kroplówki krajów wierzycieli i nie zostanie odłączona, gdyż w zaistniałych okolicznościach jej gospodarka nie może zostać uzdrowiona. Minister finansów Francji odrzucił pomysł wyjścia Grecji ze strefy euro, twierdząc, że dewaluacja jej waluty zaszkodzi innym krajom członkowskim. Jego zdaniem należało dążyć do natychmiastowego uzdrowienia gospodarki za pomocą odpowiednich reform. Tym razem Angela Merkel pozostawiła Schäublego – po rozmowie z prezydentem Francji – samemu sobie. Swego czasu narzekał, że akurat jemu, Europejczykowi z przekonania, zarzuca się zdradę europejskiej idei. A przecież on tylko powiedział prawdę. Oto szalony europejski świat: kto dostrzega rzeczywistość i na tej podstawie tworzy politykę, uchodzi za zdrajcę europejskiej



idei; natomiast wszelcy złotouści są fetowani jako zbawcy europejskich wartości.

## ROZDZIAŁ 26. OD ODPOWIEDZIALNOŚCI FINANSOWEJ PAŃSTW DO SOCJALIZMU WALUTOWEGO

Wiemy, że bankructwo Grecji ma długą historię. Wręcz zachęcano ten kraj do zadłużania się. Za pomocą różnych finansowych sztuczek Grecja wślizgnęła się do unii walutowej – dotyczy to zresztą także innych państw strefy euro – a teraz musi za to pokutować. Dzięki korzystnym stopom procentowym jej gospodarka kwitła, rosły zarobki, a tym samym siła nabywcza ludności. Zwiększony import tłumił inflację, zaspokajając wszystkie życzenia konsumentów. Świat wydawał się wspaniały jak błękitne niebo i nikt nie chciał dostrzec nadciągających burzowych chmur: nadmiernego zadłużenia, spadku konkurencyjności greckiej gospodarki międzynarodowym rynku, a w końcu bankructwa państwa i masowego bezrobocia.

Gdy bankructwo Grecji stało się faktem, kraj powinien opuścić strefę euro. W traktatach europejskich uzgodniono, że ani wspólnota, ani żadne państwo członkowskie nie mają obowiązku do pokrywania zobowiązań finansowych innego państwa członkowskiego. Zasadę tę, wielokrotnie przywoływaną w dyskusjach, nazywa się *no-bail-out* (art. 124 traktatu z Lizbony). 23 kwietnia 1998 roku, gdy w Bundestagu odbywało ostateczne głosowanie nad kwestią przystąpienia do unii walutowej, Helmut Kohl w swoim przemówieniu szczegółowo opowiadał o walce, jaką niemiecki rząd musiał stoczyć w trakcie rokowań nad traktatem z Maastricht, by umieścić tę klauzulę w ostatecznym dokumencie. Lecz gdy przyszło do wypełnienia zawartego w niej zobowiązania w polityce walutowej, unijni politycy wcale nie trzymali się zasady *no-bail-out*. Za-

miast tego opracowali pakiet pomocowy dla Grecji. W trakcie szczytu w Brukseli, na którym miał pakiet ów zostać zatwierdzony, w nocy z 7 na 8 maja 2010 roku, ku zaskoczeniu niektórych głów państw i szefów rządów utworzono dodatkowo tzw. europejski parasol ochronny<sup>1</sup>. Miał on być narzędziem pomocy dla krajów, które stanęły na krawędzi niewypłacalności – czyli takich, które nie są w stanie pokrywać już zobowiązań finansowych. Żeby ułatwić głosowanie za jego przyjęciem państwom, które z tym zwlekały, to zaangażowanie finansowe określono jako przejściowe.

Tym samym doszło do zasadniczej przemiany unii walutowej: ze wspólnoty opartej na samodzielnej odpowiedzialności – w której każde państwo samo reguluje swoje zobowiązania – zmieniła się w socjalizm walutowy. Twórcą tego zwrotu jest Václav Klaus. Wiele osób uznaje ten zwrot za niesprawiedliwy, jednak bardzo dokładnie opisuje on to, co wydarzyło się w nocy 7 na 8 maja 2010 roku w Brukseli. Węgierski badacz systemów politycznych János Kornai twierdzi, że różnicę między gospodarką rynkową a socjalizmem streścić można następująco: „*hard budget constraints versus soft budget constraints*” („twarde ograniczenia budżetowe vs. Miękkie ograniczenia budżetowe”). W gospodarce rynkowej obowiązuje zasada, według której gdy przychody firmy przestają pokrywać koszty, to przedsiębiorca ma trzy możliwości: obniżyć koszty, zaproponować lepszy/ unowocześniony produkt albo ogłosić upadłość. Jeśli chce uniknąć tego ostatniego, musi zacząć pracować wydajniej. Mówi się wówczas o twardych ograniczeniach budżetowych.

Gdy w socjalizmie przychody nie równoważyły kosztów, wówczas szef danego zakładu dzwonił do urzędu planowania i raportował swoje problemy finansowe. Następnie do zakła-

<sup>1</sup> Chodzi o Europejski Instrument Stabilności Finansowej (EFSF), czyli instrument w postaci luksemburskiej spółki powołanej przez ministrów finansów strefy euro dla celów udzielania pomocy krajom borykającym się z problemami płynnościowymi, z gwarancjami do 780 mld euro. EFSF miał działać do czerwca 2013 roku. Już na początku swej działalności mógł udzielić pożyczek wartości 440 mld euro. Zadeklarował pomoc Grecji, Portugalii i Irlandii. Prawie jednocześnie politycy unijni rozpoczęli prace nad powołaniem Europejskiego Mechanizmu Stabilizacyjnego (EMS), które miało być rozwiązaniem długofalnym. EMS funkcjonuje do dziś – przyp. Kurhaus.

du przyjeżdżali kontrolerzy, dokonywali audytu i dorzucali zakładowi brakujące fundusze, a jego szefowie obiecywali poprawę i podejmowali kolejne zobowiązania produkcyjne. W socjalizmie przedsiębiorstwa nie mogły bankrutować. Gdy jedna interwencja nie załatwiła sprawy, powtarzano ją drugi raz i kolejny. W takim przypadku mówimy o tzw. miękkich ograniczeniach budżetowych.

Z dokładnie taką sytuacją mamy do czynienia w unii walutowej od pamiętnego weekendu majowego z 2010 roku. Gdy jakiś kraj popada w problemy finansowe, chroni się pod parasolem ratunkowym, a kraje-wierzyciele z UE przekazują mu środki pomocowe. Nowo utworzone gremium kontrolne (tak zwana Trojka), złożone z przedstawicieli Komisji Europejskiej, Europejskiego Banku Centralnego (EBC) i Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW), pilnuje, czy ogarnięte kryzysem państwo po otrzymaniu środków pomocowych pracuje nad programem naprawczym i go wdraża, by móc w przyszłości wypełniać swe zobowiązania bez pomocy.

Opracowane przez Trojkę szczegółowe programy naprawcze zmierzają w gruncie rzeczy do polityki zaciskania pasa [*austerity*]. Ponieważ w konsekwencji cyklu koniunkturalnego zadłużone państwa tkwią w głębokiej recesji, prowadzona przez nie polityka zaciskania pasa staje się w końcu bodźcem do ożywienia gospodarki. Od 2010 roku Grecja tkwi w pułapce recesji, zamykane są zakłady i sklepy, upadają kolejne dzielnice miast, rozpada się infrastruktura, a bezrobocie utrzymuje się na wysokim poziomie. Młodzież siedzi na wializkach i myśli o szukaniu szczęścia gdzie indziej.

## ROZDZIAŁ 27.

### GRECJA W RĘKACH WIERZYCIELI

Państwa-wierzyciele nie chcą sypać pieniędzy do dziury bez dna, muszą więc pilnować, by zadłużone kraje wypełnia-

ly nałożone na nie zobowiązania. Parlamenty krajów-dłużników muszą działać zgodnie z wolą państw-wierzycieli. Oznacza to w znacznym stopniu ograniczenie suwerenności państw-dłużników. Ich obywatele mogą wprawdzie głosować na partie, którym ufają, jednak ostateczne zdanie [w procesie rządzenia państwem] należy do – uważanej za wroga – Trojki.

Z drugiej strony także parlamenty i rządy krajów-wierzycieli mają związane ręce. Wprawdzie Federalny Trybunał Konstytucyjny uznał za niezgodne z prawem zwiększanie przez kraje unii monetarnej wartości pakietów pomocowych dla zadłużonych krajów bez zgody Bundestagu<sup>2</sup> – a w ślad za Niemcami tę zasadę przyjęły wszystkie pozostałe kraje strefy euro – jednak krajowe parlamenty nie do końca mają swobodę decyzji. Jeśli odmówią zgody [na pomoc finansową dla zadłużonego kraju], rynki kapitałowe i walutowy ocenią to jako zerwanie unii walutowej. Dlatego też, kiedy deputowani do niemieckiego Bundestagu wywodzą przed Trybunałem Konstytucyjnym, jak wiele czasu i wysiłków kosztuje ich wypełnianie obowiązków w ramach unii walutowej, to po prostu udają, że mogą w tych kwestiach podejmować samodzielnie decyzje.

Irlandia, Portugalia, Cypr i Hiszpania powróciły już na międzynarodowy rynek finansowy<sup>3</sup>. Zawdzięczają to ustanowieniu programu Outright Monetary Transactions (OMT)<sup>4</sup>, i polityce skupowania długów poszczególnych państw, prowadzonej przez Europejski Bank Centralny (EBC). Terminem OMT określa się skupowanie przez EBC obligacji danego kraju na tzw. rynku wtórnym. O tym, jak duże jest zapotrzebowanie na ten rodzaj interwencji, świadczy fakt, iż w PE co

<sup>1</sup> Chodzi o orzeczenie z 2011 roku. Więcej na ten temat w przypisie 4 do Części IX – przyp. Kurhaus.

<sup>2</sup> Irlandia ponownie emituje obligacje od 2013 roku, Portugalia i Cypr od 2014 – przyp. Kurhaus.

<sup>3</sup> Program zainicjowany we wrześniu 2012 roku. Chodzi o bezwarunkowe transakcje monetarne (kupna i sprzedaży), czyli nieograniczony skup krótkoterminowych obligacji poszczególnych krajów, prowadzony przez Europejski Bank Centralny (EBC) na tzw. rynku wtórnym (EBC nie może kupować obligacji bezpośrednio od rządów państw, bo zabraniają mu tego unijne traktaty. Może jednak, w uzasadnionych przypadkach, kupować rządowe papiery wartościowe na rynku finansowym – przyp. Kurhaus.

chwile słysząc głosy o konieczności wdrożenia reform strukturalnych w danym kraju, prowadzących do długotrwałej konsolidacji fiskalnej. Jednak w tym kontekście względnie szybko na rynkach może pojawić się niepewność, czy uda się zapewnić na dłuższą metę funkcjonowanie programów naprawczych. Mówiąc o Grecji, trzeba przyznać, że ani jej rząd, ani rządy państw członkowskich nie zakładają, by kraj ten mógł kiedykolwiek samodzielnie stanąć na nogach.

Różnica między Grecją a innymi państwami-dłużnikami polega na tym, że ta ostatnia nie spełniała składanych obietnic. Polityka „byle do przodu” wepchnęła Grecję w spiralę zadłużenia. Grecja otrzymuje kredyt za kredytem, jej długi wciąż rosną, a kryzys nie dobiega końca. Japońskie doświadczenia wskazują, że firmy utrzymywane przy życiu za pomocą pożyczek tylko dlatego, że banki chcą uniknąć odpisów wynikających z niespłaconych kredytów, mutują do postaci „firm-zombie”. Wyższą formę tego zjawiska zrodziła unia walutowa – powstało „państwo-zombie”, którego dalsze życie uzależnione jest od dostarczanej przez EBC i od państwa-wierzycieli finansowej kroplówki.

W Grecji wybory przegrywały rządy, które próbowały zadośćuczynić wymaganiom państw-wierzycieli, nawet jeśli robiły to wyłącznie na poziomie deklaracji. Rządząca niegdyś, potężna socjaldemokratyczna partia PASOK, na której czele stał premier Jorgos Papandreu, niemal zniknęła ze sceny politycznej. Karierę zrobił natomiast przywódca stojącej na lewo od PASOK partii Syriza, Alexis Tsipras. Gdy został premierem próbował zrzucić nałożone Grecji przez unię jarzmo, odmawiając spełnienia zobowiązań wobec wspólnoty. Nie skorzystał z oferty [złagodzenie polityki oszczędnościowej], złożonej mu przewodniczącemu Komisji Europejskiej Junkera i przewodniczącemu Parlamentu Europejskiego Schulz. Wiadomo, że obaj politycy uważają za fatalne programy naprawcze przedstawiane zadłużonym krajom przez Angelę

Merkel i uchwalane przez eurogrupę. Dlatego interpretują je elastycznie i dążą do ich łagodzenia. Radzili oni Tsiprasowi, by przystał na wymagania państw-wierzycieli i zawarł korzystny dla Grecji kompromis.

Jednak Tsipras nie skorzystał z ich uprzejmości. Na drodze referendum uzyskał legitymizację dla swojej polityki kontrowania UE. W Parlamencie Europejskim przedstawił swoją własną propozycję porozumienia. Nie spotkał się jednak z aprobatą, której oczekiwał. Tsiprasa zaatakował najmocniej Guy Verhofstadt z frakcji Porozumienie Liberałów i Demokratów na rzecz Europy (ALDE). Zapewnił on wprawdzie, że jest przyjacielem Grecji, ale skoro Tsipras po prostu odmawia wprowadzenia reform, które kraj ten dawno już powinien wdrożyć z korzyścią dla siebie, to to nie może już liczyć na wsparcie ze strony PE.

Widać było wyraźnie, jak pod wpływem tych retorycznych ciosów Tsipras się załamuje. Dotarło do niego, że jeśli będzie dalej odmawiać wprowadzenia reform, to Grecja znajdzie się poza unią monetarną. Chciał tego uniknąć. Liczył, że będzie mógł realizować obietnice, które złożył swoim wyborcom, a pieniądze znów popłyną szeroką strugą do Grecji.

Tymczasem dobrze znana nam gra rozpoczęła się od nowa: pieniądze owszem, popłyną, ale tylko jeśli Grecja wdroży program naprawczy. Jego warunki są bolesne dla Grecji. Wśród nich wymienić można: podwyższenie wieku emerytalnego i składek z jednej strony, obniżka świadczeń emerytalnych z drugiej, poprawa bilansów bankowych na drodze przymusowej licytacji nieruchomości, których hipoteki nie są obsługiwane, czy wreszcie przyspieszenie prywatyzacji państwowych spółek i znaczne redukcje zatrudnienia. Nawet w normalnych czasach realizacja takiego programu jest wyzwaniem na miarę Herkulesa, a co dopiero, gdy wokół w najlepsze trwa recesja.

Jest zrozumiałe jest, że Tsipras korzysta ze znanej metody – składania obietnic, które nie przechodzą w czyny. Państwa-

-wierzycciele najwyraźniej to akceptują. Rzecznik niemieckiego Ministerstwa Finansów wyraził zrozumienie dla stanowiska Grecji (konferencja prasowa rządu 29 lutego 2016 roku). „Innym aspektem – drugą linią, jeśli można tak powiedzieć – jest toczący się proces reformowania kraju. Grecja trochę z tym zwleka, ale stara się wdrażać reformy – zdecydowanie to doceniamy”.

Gdyby nas, autorów tej książki, poproszono o szkolną ocenę owego „wdrażania reform”, brzmiałaby ona: „niedostateczny”.

Do tego wszystkiego dochodzi dziś problem z uchodźcami. Sprawia on, że coraz trudniej o projekt długofalowego ekonomicznego rozwiązania dla Grecji. Unia Europejska, a w szczególności kanclerz Niemiec, dała się wmanewrować w sytuację, w której jest podatna na szantaż. Angela Merkel o tym wie. Tak skomentowała sytuację Grecji: „W obecnej sytuacji nie zostawimy Grecji samej sobie; nie po to w końcu ratowaliśmy ten kraj w czasie kryzysu euro, by teraz, by tak rzec, pozwolić mu utonąć”.

## ROZDZIAŁ 28.

### GREXIT JAKO RATUNEK DLA GRECJI

Jak już wspomnieliśmy, Joachim Starbatty od początku był przeciwnikiem jednolitej europejskiej waluty, zaś Hans-Olaf Henkel stracił do niej cierpliwość dopiero w maju 2010 roku. Odejście przez Angelę Merkel od zapisanej w traktacie z Maastricht klauzuli *no-bail-out* skojarzyło się Henkelowi ze skutkami nalotu aliantów na jego rodzinny Hamburg. Wieczorem 26 lipca 1943 roku jako trzyletni Hans-Olaf stał przed płonącym domem rodziców przy Rothenbaumchaussee 141, w dzielnicy Harvestehude. Na dach budynku spadła bomba zapalająca, a zrzucona jednocześnie bomba burząca wywołała eksplozję w ogrodzie. Wprawdzie ojciec Henkela próbował za

pomocą łopaty, trzymanej na wszelki wypadek na poddaszu, zasypać piaskiem płonące miejsca, ale jego wysiłki prędko okazały się daremne. Nie pozostało mu więc nic innego jak wyprowadzić żonę i syna do względnie bezpiecznego miejsca, pod drzewem. Wspólnie patrzyli na przerażający spektakl, gdy ogień niszczył ich piękną willę, przedzierając się z dachu na drugie, potem pierwsze piętro, a wreszcie na parter. Ojciec Henkela wrócił do płonącego domu. Zamiast ratować wartościowe rzeczy, obrazy i ubrania, chwycił swoją 16-milimetrową kamerę, założył taśmę i sfilmował całe to wydarzenie. Następnego ranka nakręcił jeszcze dymiącą ruinę.

Henkel przez całe lata pokazywał ten film krewnym i znajomym. Chętnie przywołuje tę historię w kontekście pierwszego „pakietu pomocowego” dla Grecji. Gdy obserwował płonący dom rodzinny, zauważył, że ogień oszczędził sąsiadującego z nim budynku. Powód był oczywisty: niemieckie prawo budowlane wymaga od architektów i budowniczych, by ściana od strony stojącego obok budynku była ścianą oddzielenia przeciwpożarowego.

Podczas negocjacji dotyczących wprowadzenia euro, ówczesny minister finansów Niemiec Theo Waigel i jego sekretarz stanu Horst Köhler, wbrew zdecydowanemu oporowi Francuzów nalegali na wprowadzenie takiej „ściany przeciwpożarowej” do traktatu z Maastricht. Odnieśli sukces. Zakaz przejmowania zobowiązań [innego państwa członkowskiego] miał być takim właśnie zabezpieczeniem dla europejskich podatników przed politykami z Europy Południowej i Francji, lubiącymi lekką ręką wydawać pieniądze. Merkel i Schäuble usunęli to zabezpieczenie, tworząc pierwszy pakiet pomocowy dla Grecji. Tym samym umożliwili „rozlanie się” kryzysu euro na inne kraje.

Była to zresztą już druga fatalna decyzją podjęta przez niemieckich polityków w związku z Grecją. Pierwszą była zgoda Gerharda Schrödera i jego ministra finansów Hansa



Eichela na przyjęcie tego kraju do unii walutowej.

Choć powiedziano i napisano już prawie wszystko o katastrofalnych skutkach zbyt silnego euro dla gospodarki, rynku pracy i stabilności systemu politycznego Grecji, zdumiewa i stabilizacji w Grecji, zdumiewa jak przemilczają związek jednego z drugim politycy, media i niektórzy lewicowi ekonomiści. Mówią o „kryzysie długu”, „kryzysie finansowym” lub „kryzysie gospodarczym”. Milczą natomiast o euro, o niekorzystnych skutkach uniwersalnej waluty.

Nie brakowało konkretnych pomysłów na Grexit. Wraz z kolegami z Parlamentu Europejskiego – Ulrike Trebesius, Berndem Lucke i Berndem Kölmelem – sugerowaliśmy (Henkel i Starbatty) politykom, żeby zamiast trzeciego pakietu pomocowego, przedłożyć rządowi Grecji propozycję nie do odrzucenia, która nie rodziłaby kosztów dla niemieckiego podatnika, a Grekom oszczędziłaby w przyszłości dalszych ratunkowych „akcji” ze strony Merkel.

Nasz pomysł był bardzo prosty: jeśli Grecja wróciłaby do drachmy, Niemcy zrezygnowałyby egzekwowania zobowiązań wynikających z udzielonych Grecji kredytów i wzięłyby na siebie ryzyko wynikające ze wszystkich programów pomocowych, w tym pośredniego zaangażowania EBC. Mając taką ofertę w kieszeni: konkretną i atrakcyjną, premier Tsipras miałby się czym pochwalić się przed wyborcami. Mógłby wprowadzić nową, świeżo zdewaluowaną drachmę i uprawiać politykę uwzględniającą przede wszystkim potrzeby Grecji. Europę zabezpieczyłoby to przed nawrotami syndromu pomagacza, na który cierpi Angela Merkel.

Na pytanie, dlaczego nie przyjęto naszej propozycji, odpowiedź jest tylko jedna: kanclerz Merkel i minister Schäuble musieliby przyznać, że w maju 2010 roku popełnili wielki błąd. Oni tymczasem uparcie powtarzali, że Grexit byłby zbyt dużym obciążeniem dla niemieckich podatników. Schäuble w rzeczywistości nie podjął żadnych wysiłków, aby zabezpie-

czyć swój kraj na wypadek, gdyby ów dłużnik, na którym nie można polegać, nie spłacał kredytów i nie wypełniał zobowiązań.

Przywołajmy tu kolejne porównanie do biznesu. Toksyczne kredyty znajdują się jeszcze w stu procentach w bilansie Schäublego. Dyskusje o rozłożeniu ich spłaty na 50 lub nawet – jak się ostatnio mówi – 80 lat, a także zredukowanie oprocentowania niemal do zera, w oczach niemieckiego ministra finansów nie są jednak wystarczającym powodem do tego, by wątpić w ich ściągalność, lub choćby by podjąć niezbędne działania [zabezpieczające].

Zarazem my, autorzy tej książki, nie znamy żadnego ekonomisty – łącznie z tymi, którzy stoją po lewej stronie politycznego sporu, który z pełną powagą twierdziłby, że Niemcy odzyskają kiedyś swoje pieniądze.

Realizacja zaproponowanego przez nas modelu Grexitu, z jednoczesnym umorzeniem zobowiązań Grecji, spowodowałaby, że Schäuble musiałby tłumaczyć się w Bundestagu z wielomiliardowej dziury budżetowej. Jego „czarne zero” okazałoby się tym, czym jest w rzeczywistości: oszustwem bilansowym.

Niezależnie od tego, jak Schäuble to zaksięguje, wiemy, że te pieniądze i tak przepadły! Grexit, oprócz pozytywnego efektu dla greckiej gospodarki i wstrzymania akcji ratunkowych realizowanych z kieszeni niemieckich podatników, miałby jeszcze jeden dobry skutek uboczny. Przywróciłby uczciwość w niemieckiej polityce fiskalnej.

## **ROZDZIAŁ 29.**

### **GRECJA A STREFA EURO – PO GREXICIE**

W Parlamencie Europejskim narzeka się na niski poziom inwestycji w Europie. Twierdzi się, iż to jest właśnie przyczyna słabego wzrostu gospodarczego i utrzymującego się

na stosunkowo wysokim poziomie bezrobocia. Mówi się też o braku konkurencyjności na międzynarodowych rynkach. Jednak ani Komisja Europejska, ani dominujące w Parlamencie Europejskim frakcje – Europejska Partia Ludowa (EPL) oraz Socjaliści i Demokraci (SD) – nie chcą spojrzeć rzeczywistości w twarz i przyznać, że powodem są problemy wynikające z kursu walutowego. Euro jest dla jednych krajów zbyt mocne, a dla innych zbyt słabe. Gdy jest przeszacowane, dusi inwestycje w danym kraju, kładzie się cieniem na eksporcie (niczym dodatkowy podatek) oraz sprawia, że taniejący import wypiera z rynku rodzime produkty, tym samym przyczyniając się do wzrostu bezrobocia.

Niedoszacowane euro powoduje efekt odwrotny: obciąża import, „subwencjonuje eksport”, sprawia, że wysyła się za granicę towary, a ściągą z za granicy ręce do pracy. Taka polityka w języku Johna Maynarda Keynesa określana była mianem *beggar-thy neighbour-policy* – czynienie z sąsiada żebraka. W Niemczech nadwyżki w bilansie handlowym wzrosły z poziomu 1 proc. w 2000 roku do rekordowych 8 proc. w 2015 roku. bezrobocie, które w 2010 roku wynosiło 9 proc. spadło do 5 proc. (obecnie), podczas gdy na południu strefy euro niemal się podwoiło.

Polityka czynienia z sąsiada żebraka to naturalna konsekwencja decyzji krajów strefy euro, by tkwić w pułapce kursu walutowego – niezależnie od kosztów („*whatever it takes*”). Gdyby nie było unii monetarnej i nie istniałoby euro, politycy i ekonomiści brak inwestycji w zadłużonych krajach tłumaczyliby zbyt mocną walutą i wynikającym z tego brakiem konkurencyjności gospodarki. Opowiadaliby się za dewaluacją narodowej waluty. Konsekwentnie więc, w sytuacji z jaką dziś mamy do czynienia, unijni decydenci powinni opowiadać się za wyjściem Grecji ze strefy euro. Oni jednak wolą tłumaczyć niemiecką nadwyżkę w bilansie handlowym względami administracyjnymi.

Odnieśliby sukces, gdyby naprawdę chcieli go osiągnąć, a rząd federalny włączyłby się do tej polityki. Historia gospodarki jasno pokazuje, że łatwiej jest osłabić silnego, niż ze słabego zrobić mocarza. Nie myśli się przy tym, że nadwyżki w bilansie handlowym Niemiec zapewniają innym krajom eurozony mocną pozycję na rynkach finansowych. Zdumiewające, że sprawujący władzę politycy zdają się nie dostrzegać tego oczywistego związku.

Cieszy więc, że lewicowa frakcja Zjednoczona Lewica Europejska (ZLE) – z wyłączeniem delegacji niemieckiej – złożyła w Parlamencie Europejskim uchwałę postulującą umożliwienie wyjścia ze strefy euro krajom, dla których pozostanie w unii monetarnej wiązałoby się z poważnymi problemami gospodarczymi. Zawarto w niej także wniosek, by w okresie przejściowym UE udzieliła takiemu państwu gwarancji, które ułatwiłyby mu powrót do narodowej waluty.

Przy tej okazji pozwolimy sobie na małą dygresję. Podczas gdy, jak już stwierdzono, spośród 633 deputowanych niemieckiego Bundestagu tylko Sahra Wagenknecht ma odwagę od czasu do czasu postawić pod znakiem zapytania przyszłość euro, w Parlamencie Europejskim zasadność trwania strefy euro kwestionuje, według naszych szacunków, około 200 posłów! Ta liczba za każdym razem wprawia Niemców w zdumienie, a przecież łatwo to wyjaśnić. Po pierwsze, wśród posłów z tych krajów unijnych, które nie należą do strefy wspólnej waluty, trudno znaleźć kogokolwiek, kto opowiadałby się za wejściem do eurolandu. Nie znamy ani jednego Brytyjczyka, Duńczyka czy Szweda, który dążyłby do tego. Również wśród posłów z krajów, które wprowadziły wspólną walutę, wielu jest przeciwników tego konceptu. Jeden z nich, poseł z Finlandii, członek frakcji ALDE, utworzył wraz z posłami włoskiego Ruchu Pięciu Gwiazd i pięcioma kolegami z niemieckiego „Sojuszu dla Postępu i Przebudzenia” (ALFA) międzyfrakcyjną grupę robo-

czą. Jej cel wynika już z samej jej nazwy: „Freedom of Choice” (pol. Wolność Wyboru).

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że kolegami z frakcji owego Fina – przeciwnika wspólnej waluty – są trzej posłowie niemieckiej Wolnej Partii Demokratycznej (FDP), którzy z uporem maniaka promują euro.

Nasza grupa liczy 30 posłów z 7 krajów. Teoretycznie moglibyśmy więc utworzyć już osobną frakcję, by zapewnić naszej sprawie jeszcze większe poparcie. My jednak, wraz z podobnie myślącymi kolegami, dążymy po prostu do tego, by każdemu krajowi UE zezwolić na dobrowolne opuszczenie strefy euro. Na tym zresztą nie koniec. Opowiadamy się też za tym, w krajach, które dopiero przygotowują się do wejścia do eurolandu, przeprowadzać w tej sprawie referendum. Warto pamiętać, że na żadnym etapie rozmów o wprowadzeniu wspólnej waluty ani później – już w trakcie wdrażania – ta koncepcja nie miała w Niemczech poparcia większości.

Podsumujmy zatem, co oznaczałby powrót Grecji do własnej waluty. Istnieje wiele scenariuszy, których autorzy starają się udowodnić, że nie jest to możliwe. Używają oni takiego porównania: nie da się przywrócić omleta do jego pierwotnego stanu. Jak widać, mamy w debacie do czynienia z przykładami pouczającymi, jak i ogłupiającymi. Powrót do narodowej waluty jest natomiast decyzją polityczną, która niewątpliwie wiąże się z tarciami i wyrzeczeniami.

Pozostańmy jednak w w jajecznej poetyce. Jeśli chcemy usmażyć na śniadanie dziewiętnaście jaj, każde z osobna, nic się nie stanie jeśli jedno okaże się zepsute. Jednak gdybyśmy chcieli osiemnaście świeżych jaj zmieszać z jednym zgniłym i zrobić z nich omlet, trzeba go będzie wyrzucić do kosza. Ktoś kiedyś powiedział, że gdy się wleje kieliszek wina do beczki gnojówki, pozostanie ona gnojówką, gdy natomiast wleje się kieliszek gnojówki do beczki wina – to nie mamy co liczyć, że

wciąż jeszcze będziemy mieć wino w beczce.

Im bardziej postępuje integracja w ramach unii walutowej, tym większe trudności napotkamy, gdy będziemy chcieli ją rozwiązać. Pewnym punktem zaczepienia może być etap wyjścia ze wstępnej fazy konwergencji – mianowicie usztywnienie kursu wymiany narodowych walut. Odejście od takiego sztywnego kursu lub od dominującej waluty powoduje zwykle silne wahania kursowe, a nawet przestrzelenie kursu walutowego (*overshooting*), jako, że wszyscy spodziewają się mocnej dewaluacji. Sytuacja uspokaja się, gdy rząd danego państwa prowadzi stałą i obliczalną politykę. Spekuluje się także w odwrotną stronę – na umocnienie kursu, a to wówczas, gdy tani pieniądz jest zapowiedzią mającego przynieść owoce zaangażowania.

Tak więc bank centralny Grecji mógłby wyemitować drachmę po kursie parytetowym, a dalszy rozwój sytuacji pozostawić rynkom. Obowiązywać musiałyby przy tym dwie podstawowe zasady: podatki mogłyby być płacone tylko w drachmach, a drachma byłaby wymienialna na każdą walutę. Ewentualne ograniczenia dot. przepływów kapitałowych, jakie wprowadzono np. na Cyprze, tu mogłyby przynieść negatywne skutki, gdyż utrudniałyby one wycenę waluty przez rynki. Gdyby jednocześnie w obiegu funkcjonowało euro jako druga waluta, nie doszłoby do żadnych szkód. Gdyby mieszkańcom pozwolić wciąż posługiwać się euro i wykorzystywać je jako środek tezauryzacji, przestaliby się lękać Grexitu.

Pojawia się jednak argument, że w tym scenariuszu wartość drachmy poleci na łeb na szyję, jako że grecki bank centralny będzie prowadzić politykę inflacyjną. Oczywiście, nie można tego wykluczyć. Jednak sprawujący władzę politycy powinni zdawać sobie sprawę z fatalnych skutków takiej polityki. Jeśli przyjmiemy, że ludzie kierują się własny interesem, a rządy interesem narodowym, to powinniśmy oczekiwać, że rząd Grecji nie będzie chciał sobie wyrządzić krzywdy.

Pod wpływem dewaluacji następuje redystrybucja dochodu narodowego. Towary importowane drożeją proporcjonalnie do deprecjacji waluty. Import przestaje być dotowany, a spadek krajowej siły nabywczej rekompensuje eksport. Akurat w przypadku Grecji może do tego dojść szybko, gdyż najważniejszym źródłem przychodów tamtej gospodarki jest turystyka. Z pewnością pod wpływem dewaluacji, wielu turystów zmieniłoby wakacyjne plany, kierując swe kroki do Grecji. To oznaczałoby też dla kraju dopływ kapitału, który chciałby zarobić na boomie turystycznym. Przy zmiennym kursie walutowym Grecji znowu zacznie opłacać się produkcja. Młodzi ludzie, szykujący się do emigracji, mogliby rozpakować walizki, znalazłszy zatrudnienie we własnym kraju. Żeby zapobiec spadkowi realnych dochodów państwa, wierzyciele mogliby Grecji udzielić przejściowej pomocy. Oczywiście to kosztuje! Ale w takiej sytuacji pomoc finansowa dotarłaby rzeczywiście do potrzebujących. Przyznawano by ją też tylko na pewien okres.

Oczywiście, należałoby omówić o cenie: rozważyć oprocentowanie, termin, zabezpieczenia. Realistycznym założeniem byłaby osiemdziesięcioprocentowa redukcja zadłużenia. Należałoby wówczas dokonać stosownych korekt w bilansach państw-wierzycieli. Gdyby ktoś protestował przeciwko takim zmianom w bilansach, można by odpowiedzieć, że dwadzieścia procent to jednak więcej niż zero – czyli tyle, ile odzyskają wierzyciele, jeśli Grecja pozostanie członkiem strefy euro. Taka zmiana w bilansach oczywiście czyniłaby niepoważnym Klausa Reglinga, dyrektora generalnego Europejskiego Mechanizmu Stabilizacyjnego (EMS) – jako, że pytany o ryzyko związane z kredytami dla Grecji, zwykł odpowiadać, że Niemcy jeszcze na tym zarobią, ponieważ stopy refinansowe są niższe od stóp procentowych, jakie miała płacić Grecja. Tak właśnie mówił w 2010 roku.

Ktoś, kto udzielał tego typu zapewnień, albo nie wiedział, o czym mówi, albo świadomie wprowadzał w błąd opinię publiczną. Jeśli wyobrazimy sobie jednocześnie, że ktoś taki pilnuje naszych – podatników – pieniędzy, by nie trafiały one do studni bez dna, to dojdziemy do mrocznego wniosku, że w niczym nie różni się on od nieodpowiedzialnych polityków.

Inny argument mówi o tym, że [gdy Grecja wyjdzie ze strefy euro] pojawi się efekt domina. Jeśli jednak pozostałe kraje uznają, że w przyszłości są w stanie radzić sobie bez zewnętrznego finansowego wsparcia i jeśli będą mogły prowadzić politykę uwzględniającą ich narodowe interesy, będą mogły przecież pozostać w unii walutowej. W takiej, w której obowiązywać będzie klauzula *no-bail-out*. Rządy krajów członkowskich będą wówczas musiały uzgodnić, że Mario Draghi – lub ktoś inny na stanowisku prezesa Europejskiego Banku Centralnego – poświęci się realizacji prawidłowo rozumianego mandatu i nie będzie dążyć do utrzymania eurostrefy za wszelką cenę przy pomocy niszczyielskiej polityki finansowej. Inne kraje mogłoby opuszczać strefę euro na zasadach, na jakich uczyniłaby to Grecja.

A co z argumentem, że to osłabi unię walutową? Nie zgadzamy się z nim. Strefa euro zyska tylko na wiarygodności, gdyż opuszczą ją państwa członkowskie, do których stale muszą płynąć transfery pieniężne, by mogły one sprostać ciążącym na nich zobowiązaniom finansowym. Oczywiście nie oznaczałoby to, że całkowicie pozbędziemy się z przestrzeni publicznej zjawiska *moral hazard*, jako że obserwowaliśmy już choćby przy przekazywaniu państwu środków z funduszu spójności. Gdy na przykład planowano jakiś projekt w infrastrukturze – dodatkową autostradę lub kolejne lotnisko regionalne – i pojawiała się pytanie, czy jest on rzeczywiście potrzebny, to tego typu krytyczne pytanie zwykle dławiono, argumentując, że chodzi tu przecież o europejskie



pieniądze. Zarabiali na tym lokalni przedsiębiorcy, właściciele nieruchomości i oczywiście burmistrzowie.

Podczas urlopu na Lanzarote<sup>5</sup> Henkel zauważył, że na tej pięknej wulkanicznej wyspie było znacznie mniej wyrw w jezdniach niż w Berlinie na odcinku między dworcem Friedrichstrasse i Oranienburger Tor. W wielu miejscach poustawiane stały ogromne tablice z błękitną flagą unijną i dwunastoma złotymi gwiazdami, informujące że to UE finansowała prace remontowe na drogach. Chociaż ruch samochodowy na tej spokojnej, nastawionej na urlopowiczów wyspie jest w porównaniu z większością niemieckich miast umiarkowany, znaczną liczbę skrzyżowań zastąpiono tu niedawno rondami, w których środku posadzono rośliny lub ustawiono pomniki. Co rusz Henkel natykał się na nowoczesne, podobne do autostrad, długie odcinki dróg, które zbudowano równoległe do istniejących szos. Niezmiennie przywołuje to w pamięci najnowsze skandale korupcyjne, w które zamieszani byli wysocy rangą przedstawiciele hiszpańskich partii: zarówno konserwatywnej, jak socjalistycznej.

Jeśli spójność strefy euro mają zapewniać transfery funduszy wewnątrz unii walutowej, które polegają na tym, że z wydajnych obszarów podbiera się pieniądze na konsumpcję w innych, to będzie to skutkować osłabieniem konkurencyjności tych pierwszych, ale też osłabieniem Unii Europejskiej jako całości. Jak widać, tak zwane strategie pogoni za rentą (*rent seeking*) realizowane są nie tylko przez pojedyncze osoby, lecz również przez państwa. Samodzielny wysiłek zastępowany jest przez redystrybucję środków finansowych w ramach europejskiego modelu społecznego. Bez przerwy wspomina się o nim w Parlamencie Europejskim.

<sup>5</sup> Jedna z wysp w archipelagu Wysp Kanaryjskich - przyp. Kurhaus.

### ROZDZIAŁ 30. JEŚLI NIE GREXIT, TO DEXIT

Uważamy, całkiem realistycznie, że Grexit przyniósłby gospodarcze i polityczne korzyści zarówno Grecji i strefie euro. W innym przypadku wspólnota nieodwołalnie ześlizgnie się ku wspólnocie poręczycieli. Panuje ogólne przekonanie, że bez postępującej integracji unia walutowa nie przetrwa. Wiemy, że w Raporcie Pięciu Przewodniczących<sup>6</sup> mowa jest o tym, że tylko zwiększenie roli Europy i wspólnoty może zapewnić dalsze istnienie unii walutowej. Zwieńczeniem i zabezpieczeniem unii bankowej ma być najpierw uwspólnotowanie systemu gwarancji depozytów, tak by uniemożliwić przeniesienie kosztów ewentualnego nowego kryzysu finansowego – którego nie da się wykluczyć – na tych, którzy posiadają oszczędności i na podatników. Wspólny system gwarantowania depozytów miałby przybrać formę wtórnego ubezpieczenia. Ponieważ różne kraje członkowskie wymagają od banków różnych poziomów rezerw – a w niemieckim systemie finansowym jest wystarczająco dużo funduszy – ich uwspólnotowanie mogłoby oznaczać wyłączenie oszczędnych niemieckich obywateli.

Oczywiście Juncker bagatelizuje całą sprawę (oszczędzimy sobie szczegółów, za pomocą których chce skusić kasy oszczędnościowe i banki landowe do uczestniczenia w unii bankowej), jednak niemieccy posłowie z frakcji EPL bronią się przed tymi pomysłami. Tyle, że są w mniejszości. I nie mogą też specjalnie polegać na odrzucającym do tej pory ów pomysł Wolfgangu Schäuble, który nawoływał: „Zanim uwspólnotowimy odpowiedzialność, musimy zredukować ryzyko”.

<sup>6</sup> Chodzi o plan pogłębienia unii gospodarczo-walutowej, przedłożony w czerwcu 2015 roku przez szefów: Komisji Europejskiej, Rady Europejskiej, Parlamentu Europejskiego, eurogrupy i Europejskiego Banku Centralnego – przyp. Kurhaus.

Zjawisko to postępuje. Przypomnijmy choćby, że minister finansów i gospodarki Włoch [Pier Carlo] Padoan zgłosił w Parlamencie Europejskim propozycję stworzenia wspólnego ubezpieczenia od bezrobocia.

Czy to by było na tyle? Czy też uwspólnotowione miałyby być także systemy emerytalne? Ciekawe, że od razu z uspokajającym komentarzem wystąpił właściwy sprawie francuski minister. Jasne, w obliczu ponad dwukrotnie większego niż w Niemczech poziomu bezrobocia we Francji, połączenie francuskiego systemu ubezpieczeń emerytalnych z niemieckim zdaje się być dobrym pomysłem. Gdyby jednak demografia Francji miała się znacznie lepiej niż niemieckie parametry, połączenie francuskiego ubezpieczenia emerytalnego z Niemieckim dla Francuzów nie wchodziłoby w ogóle w grę.

Jeśli ktoś ma stale pełną kasę, ponieważ czerpie korzyści z euro, jest na straconej pozycji i wciąż musi ustępować dla dobra unii. Jest to krzywdząca insynuacja, jednak taka właśnie jest logika unii walutowej jako wspólnoty odpowiedzialności. Unia gospodarczo-walutowa przyjmuje więc niemal kształt federacji, bez pytania obywateli o zgodę. Bo czyż Stany Zjednoczone Europy nie są wymarzonym celem elit na wzór Stanów Zjednoczonych Ameryki?

Orędownikom tej koncepcji należy przypomnieć jedno: od 1847 roku w USA nie istnieje zasada *bail out* wobec zagrożonych bankructwem stanów. Jeśli Kalifornia notuje zbyt niskie przychody, gdyż jej mieszkańcy wolą opalać się zamiast pracować – oczywiście to sytuacja hipotetyczna, posługujemy się takim przykładem tylko dla celów tego wywodu – inne stany mogą tylko się przyglądać, w jaki sposób uda jej się wydobyć z bagna zadłużenia.

Droga ku jednemu państwu federalnemu jest obca istocie i historii Europy. Europa stała się wielka i interesująca dzięki panującej między jej krajami konkurencji i innowacyjności.

Centralizacja jest wrogiem wolności i demokracji, szkodzi pokojowemu sąsiedztwu. Wyrównanie różnic gospodarczych między regionami UE spowoduje, że jedne kraje będą zarzucać drugim życie na cudzy koszt. Te drugie będą czuły się źle traktowane, bo transfery pieniężne od bogatych sąsiadów będą zdawać im się wciąż za niskie. To zła droga, a zatem powinniśmy zastanowić się nad alternatywą, jaką mógłby być Dexit, czyli wyjście Niemiec z unii walutowej. Pierwszą powszechnie znaną osobą, która zaproponowała takie rozwiązanie, był George Soros. Jego zdaniem Niemcy ze względu na swoją ogromną zdolność konkurencyjności z innymi krajami stanowią element zakłócający funkcjonowanie unii walutowej. Powinny więc albo opuścić strefę wspólnej waluty, albo otworzyć kieszenie i pilnować, by państwa-beneficjenci wypełniały swoje obowiązki. Jednak rola życzliwego dyktatora jest ostatnią rzeczą, jakiej pragną dla siebie Niemcy.

Co by się stało, gdyby Niemcy opuściły unię walutową? Nie tego opisać ze wszystkimi szczegółami. Ograniczymy się do uogólnienia. W przypadku Dexitu pojawiłoby się zdecydowanie więcej komplikacji niż przy Grexicie. Powrotowi Niemiec do własnej waluty z pewnością towarzyszyłyby spekulacje na jej aprecjacje. Euro na kontach bankowych wymienione zostałoby na nową walutę.

Czy uprawnieni byłiby do tego wszyscy właściciele kont, czy tylko Niemcy? Jeśli tylko Niemcy, trzeba by zaprojektować złożoną maszynę biurokratyczną, której zadaniem byłoby uprawomocnienie każdego żądania. Nie udałoby się oczywiście uniknąć prób ominięcia tego systemu. Nie dałoby się tego przeprowadzić bez przynajmniej chwilowego ograniczenia wymienialności waluty. Gdyby utrzymać bowiem jej wymiennosc, kurs wymiany strzeliłby w górę, co poważnie zaszkodziłoby eksportowi. To, co znosił w ostatnich latach przemysł szwajcarski, a co było wynikiem m.in. słabego euro,

teraz stałoby się udziałem przemysłu niemieckiego. Czy groziłoby mu załamanie?

Były szef firmy Linde Wolfgang Reitzle, jeden z niewielu prezesów spółek notowanych na głównym rynku giełdowym (indeks DAX), którzy nie tylko w cztery oczy, ale także publicznie krytykują prowadzoną przez Merkel i Schäublego politykę ratowania euro, myśli o tym ze spokojem. Jego zdaniem niemiecki przemysł będzie musiał walczyć, jednak umocnienie kursu w efekcie zawsze wychodziło mu na korzyść. Zmuszało go to bowiem do mobilizacji rezerw produkcyjnych i innowacyjności. Reitzle przewiduje, że po pięciu latach [od Dexitu] niemiecki przemysł byłby nawet bardziej konkurencyjny niż kiedykolwiek w przeszłości. I ma rację. W czasach marki niemieckiej przemysł przeżył aż 17 rewaluacji. Za każdym razem wstrząsały one klasą średnią i wielkim biznesem. Przedsiębiorstwa musiały stać się bardziej wydajne i kreatywne niż ich zagraniczni konkurenci.

To prawda, że przy rewaluacji pojawiają się spekulacyjne gry na spadek wartości waluty. W pewnym punkcie inwestorzy kapitałowi i spekulanci jednak wysiądą, bo uznają, że potencjał zmian kursu już się wyczerpał. Poza tym rozwinię się na całym świecie produkcja zaawansowanych technologicznie towarów; spadek produkcji krajowej zwolni. Dziś nawet do 80 proc. elementów wyposażenia zakładów dostarczanych jest z zagranicy. Dlatego efekt rewaluacji zostaje stłumiony. W gospodarce wciąż istotną rolę odgrywają obsługa, długoletnie relacje handlowe i unikalny przemysłowy *know how*. Dlatego nikt z dnia na dzień nie wymieni dostawców produktów. Niemcy są producentem bananów, w przypadku których już niewielkie zmiany cen mogą decydować o utracie rynków. Dostarczają one złożonych systemów, które z dnia na dzień nie mogą być zastąpione przez inne. Nie należy zapominać, że gdy umacnia się waluta, rośnie siła nabywcza ludności – były minister gospodarki Karl Schiller mówił o „społecznej dy-

widencie” pojawiającej się w takich okresach. Tym samym rosną możliwości zbytu produktów przemysłowych we własnym kraju. Zwiększony import do Niemiec zapewnia wzrost zysków zagranicznych producentów i pobudza ich do inwestowania. Do tego potrzebują w dużych ilościach towarów, które produkowane są w Niemczech.

Nasze wnioski są następujące: Dexit wywołałby wstrząsy, ale na dłuższą metę wpłynąłby pozytywnie na Niemcy, Europę i świat. Zadałby kres uprawianiu politycznie motywowanej strategii czynienia z sąsiada biedaka, która – jak wiemy z bolesnych doświadczeń lat 30. ubiegłego stulecia – może mocno zaszkodzić podziałowi pracy na międzynarodowych rynkach. Jeśli Niemcy wyszłyby z unii walutowej, nie byłyby w tym osamotnione. Razem z nimi opuściłyby ją wszystkie państwa członkowskie, które były w nieformalnym sojuszu walutowym z Niemcami. Ulgę z takiego rozwoju sytuacji poczuliby też Szwajcarzy. Ochroniłoby ich to przed epizodami „ucieczki [kapitału] we franka”. Mogliby oni przyłączyć się do stabilizacyjnego bloku państw. Ziściłby się postulat Hansa-Olafa Henkela: powstałoby północne euro.

Jak już zwróciliśmy uwagę, „nawet przy narodzinach traktatu z Maastricht Europa cierpiała poważne bóle porodowe. Jednym z tego powodów było zobowiązanie członków obszaru wspólnej waluty do tego, że nigdy go nie opuszczą. Pomijając już fakt, że w całej historii pieniądza nie zdarzył się sojusz walutowy, który by się nie rozpadł, takie zobowiązanie wydaje się po prostu sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem: można wprawdzie opuścić UE, ale nie strefę euro!

Ponadto podkreślaliśmy, że warunki traktatu z Maastricht były wielokrotnie naruszane. Doszło do tego m.in. podczas przyjmowania do unii gospodarczo-walutowej krajów z południa Europy. Później Niemcy i Francja nie trzymały się kryterium dot. pułapu długu publicznego. Wreszcie doszło do kolejnych ponad stu naruszeń ze strony prawie

wszystkich państw, a w maju 2010 roku obalono nawet ścianę przeciwpożarową dzielącą niemieckich podatników od polityków innych krajów.

Dla ratowania euro, europejscy politycy – a niemieccy szczególnie – najpierw ignorowali traktat z Maastricht, potem go naruszali, a teraz praktycznie pozbawili go mocy prawnej. Naszym zdaniem, jeśli większość członków jakiegoś klubu zmienia cel, dla którego powołano go do życia, to poszczególni jego członkowie powinni mieć prawo wystąpienia z niego. Uważamy, że Niemcom już od dawna przysługuje to prawo i powinny one teraz z niego skorzystać. Jeśli Grecja nie opuści strefy euro i skoro Hiszpania, Portugalia, Włochy oraz Francja nie dbają o realizację powziętych zobowiązań i nie reformują swych gospodarek, to nie tylko prawem, ale i obowiązkiem niemieckich polityków jest zerwanie łańcucha trzymającego Niemcy przy euro. Również inne, rzekomo jeszcze bardziej surowe zobowiązania niż te zapisane w traktacie z Maastricht („Pakt Fiskalny”), okazały się pustymi obietnicami i balonami, których poważnie nie traktuje już żaden kraj strefy euro.

Jest to konieczne, ale też i możliwe, żeby Niemcy wykazały inicjatywę, wyszły z europejskiego stowarzyszenia i nie pozwoliły prowadzić się dalej w ślepy zaułek politykom ogarniętym syndromem pomagacza. Nie przeczymy, że wyjście Niemiec z unii walutowej obciążone jest ryzykiem ekonomicznym i że jest delikatną polityczną kwestią. Rozumiemy obawy o to, że Niemcom będzie się zarzucać powrót do nacjonalizmu, arogancję i brak pamięci historycznej. Jednak nasze doświadczenia w PE wskazują, że tego typu krytyki nie formułuje prawie żaden zagraniczny polityk. Przeciwnie, posłowie z innych krajów, i to nie tylko ci pochodzący z krajów, które nie przyjęły euro, potrzęsają z niedowierzaniem głowami, mówiąc o niemieckim euromasochizmie. Nie, to przedstawiciele niemieckich partii, wskazując na znaczenie niemieckiej historii, robią z siebie adwokatów rzekomych in-

teresów innych krajów. I jest to powód, dla którego nasz pacjent trafił na kozetkę.

Owszem, uważamy, że Niemcy nie wyjdą z unii walutowej samotnie. Ewentualne opuszczenie przez nie unii walutowej nie może jednak zależeć od tego, czy znajdą one sojuszników, czy też nie. Tak przecież było z Europejskim Systemem Walutowym (ESW). W latach 1979–1998 był on formą praktycznie istniejącej unii walutowej kilku krajów UE. Trzonem ESW był mechanizm kursów wymiany (WKM), który miał utrzymywać płynność kursów w ustalonym z góry przedziale. System ten działał szczególnie dobrze między Austrią, Holandią i Niemcami. Określamy go jako faktyczną unię walutową, gdyż za decyzjami niemieckiego Banku Federalnego, dotyczącymi choćby licznych rewaluacji marki niemieckiej, natychmiast następowały odpowiednie posunięcia banków centralnych Austrii i Holandii. Wprawdzie Austriacy mieli własną walutę, szylinga, a Holendrzy guldena, ale to Niemiecki Bank Federalny faktycznie określał politykę pieniężną.

Przestawienie się z euro na markę niemiecką albo inną wspólną walutę europejską (nazwa robocza: północne euro) nie będzie łatwe. Można to jednak osiągnąć utrzymując dwie waluty równolegle, tak jak działo się to przy wprowadzeniu euro. Przypomnijmy sobie te rachunki, kwity, zawiadomienia o wysokości czynszu i emerytury, które przez dłuższy czas wystawiane były zarówno w markach niemieckich, jak i w euro. W niedalekiej przeszłości trzy inne „wspólne” waluty zostały bez większych problemów pożegnane na rzecz narodowych. Chodzi o sowieckiego rubla, jugosłowiańskiego dinara i czechosłowacką koronę. Oczywiście, nie obyło się bez wstrząsów. Ale im dłużej czekamy, tym będą one głębsze. Pewna maksyma niesie krzepiący przekaz: przerażający koniec jest zawsze lepszy od przerażenia bez końca!

Czy Niemcy, podobnie jak Finlandia, mogą opuścić europejską unię walutową? Czyż nasza historia nie mówi nam,



że europejska integracja jest naszym losem? To, co czerpiemy z historii, zależy od punktu widzenia. Ponieważ jesteśmy w stanie udowodnić, że obecna droga europejskiej unii walutowej prowadzi w ślepy zaułek, uważamy, iż obowiązkiem polityków wybranych przez obywateli, jest dotrzymanie wierności tym europejskim ideom: państwu prawa, wolności, demokracji i dobremu sąsiedztwu.

# CZEŚĆ IX

## PARLAMENT EUROPEJSKI A CORAZ ŚCIŚLEJSZA UNIA

### ROZDZIAŁ 31.

#### TRZY EUROPEJSKIE KRAJE W LUKSUSOWEJ SYTUACJI

Integracja europejska została zapoczątkowana wraz z podpisaniem umowy o powołaniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (EWWiS)<sup>1</sup>. Utworzyły ją Francja, Włochy, Belgia, Holandia, Luksemburg i Niemcy. Za jej politycznego ojca założyciela uznawany jest Robert Schuman, ówczesny minister spraw zagranicznych Francji pochodzący z Lotaryngii. Ojcem duchowym Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali był Jean Monnet. Wysoka Władza<sup>2</sup> jako gremium kierownicze przejęła nadzór nad sektorami wydobywczym i stalowym, czyli branżami kluczowymi dla gospodarek tych krajów, o strategicznym znaczeniu dla przemysłu zbrojeniowego. Rezygnacja z bezpośredniego zarządzania nimi przez poszczególne państwa członkowskie oznaczała, że państwa te ostatecznie rezygnują z prowadzenia sporów i wojen. Ich rola ograniczona została do roli konsultacyjnej.

Wspólne Zgromadzenie EWWiS – poprzednik Parlamentu Europejskiego (PE) – było organem nadzorczym i kontrolnym w stosunku do Wysokiej Władzy. Jego działalność koncentrowała się na debacie wokół rocznego sprawozdania finansowego Wysokiej Władzy. Zgromadzenie mogło w głosowaniu nad wotum nieufności większością dwóch trzecich głosów zmusić członków Wysokiej Władzy do dymisji. Pierwsze posiedzenie Zgromadzenia odbyło się w dniach 10-13 września 1952 roku w Strasburgu. Z parlamentów narodowych zostało

<sup>1</sup> EWWiS powstała na mocy traktatu paryskiego podpisanego 18 kwietnia 1951 r. – przyp. Kurhaus.

<sup>2</sup> Wysoka Władza była najwyższym organem wykonawczym Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali – przyp. Kurhaus.

oddelegowanych do niego łącznie 78 posłów. Już na samym początku wytworzyły się w nim frakcje partyjne – kluczem nie był jednak kraj pochodzenia posłów, lecz filozofia polityczna: chrześcijańscy demokraci – socjaldemokraci – socjaliści i liberałowie.

Alfred Müller-Armack, dyrektor, a później sekretarz stanu do spraw europejskich w Federalnym Ministerstwie Gospodarki, tak zrelacjonował swym asystentom, w tym także Starbatty'emu, pewną okoliczność, która miała decydujący wpływ na późniejszy proces integracji. By doświadczyć w praktyce trybu pracy Wysokiej Władzy, ówczesny minister gospodarki Niemiec Ludwig Erhard w przeddzień posiedzenia roboczego Wysokiej Władzy udał się w podróż do Luksemburga – a sieć drogowa była wówczas jeszcze nie całkiem rozwinięta – w licznej obsadzie (sekretarz stanu, dyrektor ministerstwa i członkowie Rady Ministrów). Następnego ranka delegacja niemiecka siedziała przed salą konferencyjną, cierpliwie wyczekując spotkania mimo upływu kolejnych godzin. W końcu otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi i z sali wyszedł Jean Monnet na czele swoich kolegów. Odczytał *Kommunique* – po francusku – i spojrzał w kierunku delegacji narodowych: „*Quelques questions?* (pol. „Jakieś pytania?”).

Członkowie delegacji niemieckiej zaczęli spoglądać po sobie w zdziwieniu. Nikt nie zabrał głosu. I wtedy Monnet powiedział: „*La consultation est finie*”. W taki oto sposób delegacja niemiecka nie zrealizowała swojego prawa do konsultacji. Za to przy następnych umowach w sprawie utworzenia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG) i Europejskiej Wspólnoty Atomowej (Euroatom), które uroczyście podpisano w Rzymie 25 marca 1957 roku, Niemcy nalegały już, aby wszystko, o czym będzie mowa w Brukseli, a co będzie dotyczyło poszczególnych krajów, wymagało zgody Rady Ministrów danego państwa. Chodziło o to, by uniknąć w przyszłości sytuacji, w której dane państwo członkowskie byłoby

zmuszone zaakceptować istotne dla niego decyzje bez możliwości skonsultowania ich treści. Instytucje EWG i Euroatomu zostały początkowo zlokalizowane w Brukseli. Komisja i jej podbudowa administracyjna znalazły siedzibę w smukłym wieżowcu Berlaymont. Również Rada obradowała w Brukseli. W ten oto sposób wyłoniły się trzy stolice europejskie: Luksemburg, Strasburg i Bruksela. Już w 1958 roku parlamentarzyści domagali się, by wszystkie instytucje i organy Wspólnoty zlokalizować w jednym mieście: w Brukseli, Strasburgu lub Mediolanie. Ponieważ między delegacjami nie doszło do porozumienia w tej kwestii, Alfred Müller-Armack opowiedział się za utrzymaniem dotychczasowego *status quo*. Delegacje poszczególnych krajów zaakceptowały powyższe rozwiązanie. Alfred Müller-Armack pogratulował delegacji belgijskiej ostatecznej decyzji o pozostawieniu siedziby Rady i Komisji w Brukseli. Belgowie byli tym zdumieni. Później zorientowali się, że zmiana była możliwa tylko na drodze decyzji, która zapadłaby jednogłośnie. Tym samym Bruksela została zatwierdzona jako ostateczna siedziba Rady i Komisji.

Dla ułatwienia koordynacji prac Komisji, a także usytuowania jej bliżej europejskiego centrum władzy, w kolejnych latach zaczęto coraz intensywniej przenosić do Brukseli działalność parlamentarną. W ten sposób miasto urosło do rangi najważniejszej stolicy europejskiej. Dziś można to wyraźnie odczuć, spacerując po dzielnicy europejskiej, w której ulokowały się instytucje unijne. Tu rozprzestrzenia się ich styl architektoniczny o neoimperialnej dominancie. Obiekt Berlaymont, siedziba Komisji Europejskiej, sprawia wrażenie potężnego tygrysa, rozpostartego szeroko na swych łapach, domagającego się głębokiego szacunku i respektu od widzów i „użytkowników”.

Na mocy traktatu fuzyjnego z 1965 roku instytucje EWWiS, EWG i Euroatom połączone zostały w jeden organ: Radę Ministrów Wspólnot Europejskich. Na nowo ustalono

także podział instytucji europejskich. Ponieważ na mocy traktatu fuzyjnego rozwiązano Wspólnotę Węgla i Stali, Luksemburg jako siedziba jej instytucji stracił rację bytu. Oczywiście, Luksemburg mógł się twardo przeciwstawić i ewentualnie uniemożliwić fuzję. Otrzymał jednak hojną rekompensatę – dzięki temu, że Wspólnoty Europejskie nie przestrzegają ściśle reguł dyscypliny budżetowej, gdy chodzi o finansowanie wspólnotowych aktywności.

Jako że fakt, iż Luksemburg jest jednym z istotnych beneficjentów europejskiego projektu, nie jest powszechnie znany, poprosiliśmy służby badawcze PE o wyjaśnienia. W ramach rekompensaty za likwidację EWWiS Luksemburg zyskał następujące instytucje (w nawiasach liczba zatrudnionych):

1. Sekretariat Generalny Parlamentu Europejskiego (2376),
2. osiem Dyrekcji Generalnych (3867),
3. Europejski Trybunał Sprawiedliwości (2132),
4. Europejską Izbę Kontroli Budżetowej (900),
5. Europejski Bank Inwestycyjny (powyżej 2000),
6. Europejski Instrument Stabilności Finansowej i Europejski Mechanizm Stabilizacyjny (260),
7. Europejski Urząd Statystyczny (ponad 800),
8. Urząd Publikacji Unii Europejskiej (640),
9. Centrum Tłumaczeń UE (200),
10. Agencję Wykonawczą ds. Zdrowia i Konsumentów (50),
11. Agencję Dostaw Euratomu (17).

Po zsumowaniu daje to ponad 13 tys. etatów. Należy przypuszczać, że uposażenie na każdym z tych stanowisk wykracza dalece poza średnią zarówno europejską, jak i luksemburską. Pracowników instytucji zlokalizowanych w Luksemburgu często odwiedzają delegacje – i nie są to wyłącznie jednodniowe wizyty. W Luksemburgu mają swe przedstawicielstwa organizacje lobbingowe. Możemy więc założyć, że UE ma istotny wkład w PKB Luksemburga – i sprawia, że

w przeliczeniu na mieszkańca kształtuje się on znacznie powyżej średniej europejskiej. Zawsze, gdy Jean-Claude Juncker, przewodniczący Komisji Europejskiej, promuje hasło: „więcej Europy” i „więcej wspólnoty”, Luksemburg jest po stronie wygranych.

Fakt, że instytucje europejskie działają w trzech różnych miejscach, wydaje się zbytkiem. Jednak dążenia do likwidacji jednej z tych lokalizacji zawsze blokowane są przez odpowiednie władze krajowe. Po przeciągających się negocjacjach pomiędzy Belgią a Francją na szczycie w Edynburgu w 1992 roku podjęto ostatecznie decyzję, że w Strasburgu, jako oficjalnej siedzibie parlamentu, raz w miesiącu będzie się odbywać jedno posiedzenie plenarne, a posiedzenia KE i frakcji PE będą miały miejsce w Brukseli. W 1999 roku w Strasburgu ukończono i oddano do użytku nowy budynek parlamentu, również o gigantycznej konstrukcji. W trakcie poruszania się po każdej z siedzib PE [Bruksela, Strasburg], dla właściwej orientacji przestrzennej niezbędny jest kompas. Choć obrady w Strasburgu zajmują tylko cztery dni w miesiącu, budynkiem trzeba zarządzać przez cały rok, a także ogrzewać go. Zdaje się, że ten system będzie trwał wiecznie, jako że nikt nie jest w stanie przeciwstawić się Francji.

W tzw. tygodniu plenarnym ławica parlamentarzystów (europosłowie, ich asystenci i eksperci) przemieszcza się na cztery dni (od poniedziałku do czwartku) do Strasburga. Stosunkowo łatwo da się oszacować tego koszty w przeliczeniu na jednego parlamentarzystę. Europoseł pakuje w Brukseli podręczne akta i przegląda je w weekend, by przygotować się do głosowania. Pozostałe dokumenty są przesyłane za pośrednictwem firm kurierskich z Brukseli do Strasburga i z powrotem. To wszystko kosztuje. Podobnie jak podróże samych posłów. Do tego dochodzi fakt, że większość z nich dopłaca do pobytu. Przecież w Brukseli wynajmują mieszkania lub kupili domy. W Strasburgu zaś w czasie tygodnia

plenarnego płacą za noclegi według zawyżonych stawek, co jest wynikiem dużego obłożenia hoteli. Dla tych ostatnich, a także dla restauracji w Strasburgu, jest to źródło dochodu nie do przecenienia. Jednak Strasburg ma pewną przewagę nad Brukselą. Wiele dzielnic Brukseli jest zaniedbanych, ulice nierówne, płyty chodnikowe obłuzowane, a deszczułka parkietowa w budynkach skrywa liczne dziury. Strasburg ze swoją katedrą jest natomiast klejnotem architektonicznym, który kusi urokiem, niezwykłą atmosferą i przytulnością alzackich winiarni.

Na każdym posiedzeniu legislacyjnym czy sesji odbywają dyskusje na temat *single seat*<sup>3</sup>. Są jednak, jak wiadomo, bezowocne. Francja i Luksemburg nie chcą zrezygnować z prestiżu i europejskich źródeł dochodu. Tego typu gierki są typowe dla europejskiego procesu decyzyjnego. Wszystkie kraje członkowskie nieustannie dyskutują o Europie, w rzeczywistości myśląc o własnym interesie narodowym – i wyświadczają sobie na tym polu przysługi. Podatników, którzy ponoszą tego koszty, nikt o nic nie pyta. „W tym szaleństwie jest metoda” – jak pisał Szekspir.

## ROZDZIAŁ 32.

### TAK PRACUJE PARLAMENT EUROPEJSKI

Po podpisaniu traktatów rzymskich (rok 1957) Wspólne Zgromadzenie było właściwym organem dla wszystkich trzech Wspólnot. Liczba posłów została rozszerzona do 142. Zgromadzenie nie otrzymało żadnych nowych kompetencji, jednak samo dowartościowało się poprzez nadanie sobie tytułu „Parlament Europejski”. Przełomowy moment nastąpił w 1979 roku. To od tego czasu członkowie Parlamentu Euro-

<sup>3</sup> Chodzi o dążenie grupy europosłów do ustanowienia jednej siedziby PE i oszczędzania. Zwolennicy jednej siedziby (11 315 osób podpisało się pod petycją w tej sprawie) monitorują koszty związane z koniecznością obsługi dwóch lokalizacji. Można je znaleźć na stronie internetowej: <http://www.singleseat.eu/> – przyp. Kurhaus.

pejskiego są wybierani w wyborach bezpośrednich. Wprawdzie zakres kompetencji europosłów pozostaje skromny, jednak PE cieszy się dużym prestiżem, właśnie z tego powodu (natychmiastowa legitymizacja). Wzrosło też jego znaczenie w relacjach z Komisją i unijną Radą Ministrów. W tej dziedzinie istotna zmiana dokonała się na podstawie Jednolitego Aktu Europejskiego (1986). W traktacie tym określono tryb i metody współpracy PE i Rady UE. Wprawdzie PE nie można przeciwstawić się Radzie Ministrów, jednak ta musi respektować wyniki głosowań w PE.

Centralną prerogatywę wspólnie odebrali Radzie Unii Europejskiej Jean-Claude Juncker i Martin Schulz. W przededniu ostatnich wyborów do PE (2014) Angela Merkel poinformowała opinię publiczną, że Europarlament na mocy Traktatu Lizbońskiego może – zgodnie z wynikami wyborów – desygnować kandydata na przewodniczącego Komisji Europejskiej, jednak to Rada Europejska, składająca się z głów państw lub szefów rządów, podejmie decyzję, czy zaakceptuje sugestię Parlamentu. Do wzrostu znaczenia PE przyczynił się Martin Schulz, „czołowy kandydat” frakcji Socjalistów i Demokratów (SD). Zawarł on porozumienia z Jeanem-Claudem Junckerem z frakcji Europejska Partia Ludowa (EPL), która zwyciężyła w eurowyborach. W ciągu powyborczej nocy obaj politycy ustalili, że PE zaproponuje Junckera na stanowisko przewodniczącego Komisji Europejskiej, a w zamian za to Juncker przekona EPL, by poparła Martina Schulza jako kandydata przewodniczącego PE. Było to co prawda sprzeczne z regulaminem PE – zmiany na stanowisku przewodniczącego dokonuje się po zakończeniu kadencji oraz w połowie kadencji parlamentu, jednak zmiana i tak nastąpiła. Rada Europejska potwierdziła wyniki głosowania PE.

Również sposób myślenia o europarlamencie się zmienił. Podczas gdy dla francuskich polityków wybór do PE oznaczał możliwość uczestniczenia w procesach politycznych i dostęp



do urzędów wyższej rangi, w świadomości Niemców bycie europosełm było co najwyżej nagrodą pocieszenia lub sposobem na zwieńczenie kariery. Dziś powiedzenie „masz dziadka, wyślij go do Europy” nie ma już zastosowania. Eurokadra przewyższa intelektualnie tę z Bundestagu. W PE zasiadają wspaniali młodzi ludzie, którzy świadomie rozwijają swe europejskie kariery. Fakt, że autorzy tej książki jako członkowie PE są już „wielokrotnymi dziadkami”, wynika z tego, iż zostali do niego wybrani jako krytycy coraz bardziej oderwanej od rzeczywistości i ogarniętej obsesją szczegółów Unii, z jej wadliwie skonstruowaną unią walutową.

Jako autorzy opisujemy tylko to, czego doświadczamy na żywo i co przeżywamy w PE. W Parlamencie Europejskim pracuje się prawdopodobnie intensywniej niż w jakimkolwiek krajowym ciele ustawodawczym. Nie jest to jednak prawdziwy parlament. W demokracji parlamentarnej obywatele mający prawo głosu wybierają partie, które wystawią kandydata na szefa rządu. Dane ugrupowanie może zdobyć wystarczającą liczbę miejsc w parlamencie, by mogło samodzielnie utworzyć gabinet, ale może też zdarzyć się tak, że wraz z inną partią utworzy koalicję rządową. Ugrupowania pozostające w opozycji kontrolują działania rządu. Szczególnie dobrze widoczne jest to w brytyjskiej Izbie Gmin. Dochodzi tam często do walki na słowa. Sprzyja temu układ miejsc w Izbie: przedstawiciele rządu i opozycja siedzą przy dużym stole oko w oko, naprzeciwko siebie.

Sędzia Andreas Voßkuhle, przewodniczący Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, badając kwestię zgodności tworzenia pakietów pomocowych dla zadłużonej Grecji (w ramach Europejskiego Mechanizmu Stabilizacyjnego, EMS)<sup>4</sup> z niemiecką konstytucją, zapytał długoletniego eu-

<sup>4</sup> Chodzi o istotne dla unii postępowanie, które Federalny Trybunał Konstytucyjny rozpoczął wskutek skarg złożonych przez posła CSU Petera Gauweilera i grupę niemieckich ekonomistów i prawników. Zakwestionowali oni zgodność z niemiecką Ustawą zasadniczą przygotowywania europejskich pakietów pomocowych i gwarancji dla zadłużonej Grecji. We wrześniu 2011 r. Trybunał orzekł, że pakiety te są zgodne z konstytucją, zastrzegł jednak, że komisja budżetowa

roparlamentarzystę Elmara Broka, dlaczego ten nazywa PE instytucją demokratyczną, mimo iż nie ma w nim opozycji, która stanowi siłę napędową demokracji. Brok odparł, że PE postrzega głównie jako siłę napędową integracji europejskiej. Co do tej misji wszyscy członkowie PE wydają się jednomyślni. Podobnie jest z Komisją Europejską, która w tym rozumieniu jest naturalnym sojusznikiem PE. Jak widać, istnienie opozycji zdaje się być PE czymś obcym z natury.

Ośrodkiem decyzyjnym w Unii Europejskiej jest Komisja Europejska. Sama dysponuje uprawnieniem legislacyjnym. Podlegli jej dyrektorzy generalni, którzy stoją na czele odpowiednich „ministerstw”, dysponują do tego niezbędną wiedzą specjalistyczną. Oczywiście PE może wezwać Komisję do podjęcia działań w kierunku przez niego pożądanym. Istotnym obowiązkiem PE jest zatwierdzanie kandydatów na komisarzy proponowanych przez państwa członkowskie. To na forum PE formułuje krytykę pod ich adresem, która może skutkować odrzuceniem kandydatur. Raz PE zablokował dawnego członka rządu Berlusconiego – i to nie ze względu na niezbite dowody jego niewiedzy w danej dziedzinie, lecz dlatego, że głośno i otwarcie z lekceważeniem wypowiadał się na temat homoseksualizmu. Wywołało to sensację. Zaakceptowany za to został kandydat Francji na komisarza ds. ekonomicznych i finansowych, podatków i ceł – Pierre Moscovici, choć w dziedzinie, za którą miał odpowiadać, był kompletnie niezorientowany. Należy przy tym dodać, że do takich przesłuchań kandydaci są w najdrobniejszych szczegółach przygotowywani przez swoje sztaby. Ilekroć Moscovici nie wiedział, co dalej robić, szukał schronienia w formule: „Tu zgadzam się z moim kolegą Schäuble”. Większość uważała, że zaprezentował się słabo, ale wybrany został jednak zdecydowaną większością głosów. Socjaliści i Demokraci zagrozili

---

Bundestagu powinna mieć w przyszłości kontrolę nad decyzjami o udzielaniu pomocy z pakietów ratunkowych – przyp. Kurhaus.

wstrzymaniem głosu za brytyjskim kandydatem na Komisarza ds. Stabilności Finansowej, Usług Finansowych i Unii Rynków Kapitałowych Jonathanem Hillem w sytuacji, gdyby Moscovici miał przepaść w głosowaniu. Ostatecznie więc EPL i SD w porozumieniu z Europejską Partią Konserwatystów i Reformatorów (EKR) oraz Partią Porozumienia Liberalów i Demokratów na rzecz Europy (ALDE) zawarły układ czwórka: kandydatów Valdisa Dombrovskisa, Jonathana Hilla, Jyrka Katainena i Pierre'a Moscoviciego można było odrzucić lub zaakceptować *en bloc*.

Na późniejszej konferencji prasowej francuskich socjalistów Moscovici ostro zaatakował politykę Merkel i Schäublego jako taką, która miałaby zagrażać spójności strefy euro. Herbert Reul, przewodniczący niemieckiej delegacji w EPL, wyraził z tego powodu ubolewanie. Chadekom zaoszczędzono by tego, gdyby EPL odmówiła oddania swojego głosu za Moscoviciego – jego stosunek do unii walutowej był przecież powszechnie znany.

Zasady przedstawicielstwa w Parlamencie Europejskim także odbiegają od demokratycznych. Mniejsze kraje, które są w nim reprezentowane, nie obowiązują zasada proporcjonalności. Tym samym niemiecki europoseł reprezentuje 800 tys. wyborców, a maltański 80 tys. Do braku zasady proporcjonalności nie przywiązuje się zresztą większej wagi, gdyż chodzi tu głównie o ochronę interesu europejskiego i ujęcie celów narodowych w ramy wyznaczone przez proces integracji europejskiej. Nawet najmniejsze państwo członkowskie musi mieć co najmniej sześciu posłów, tak by w najważniejszych komisjach każde z nich reprezentował jeden parlamentarzysta.

W Parlamencie Europejskim jest osiem frakcji: od skrajnie prawicowej Europy Narodów i Wolności (ENW) bliskiej Frontowi Narodowemu Marine Le Pen po skrajnie lewicową Zjednoczoną Lewicę Europejską (ZLE). Każda z nich składa się z co najmniej 25 eurodeputowanych i co najmniej 7 dele-

gacji z państw członkowskich. W zamyśle ma to usprawniać działanie europarlamentu i jednocześnie dawać ujście europejskiej różnorodności. Bywa, że w trakcie ważnych głosowań delegacje działają według interesu krajowego, a nie po linii frakcyjnej.

O pracowitości europarlamentarzystów, ich asystentów i współpracowników świadczą stosy opasłych akt do czytania, piętrzące się na pulpitych posłów w komisjach. Ten widok rodzi pytania o to, jak dochodzi do zadrukowania takiej ilości papieru oraz kiedy poszczególni posłowie to wszystko czytają i opracowują. W skrócie wygląda to tak: w poszczególnych komisjach wyznacza się posłów-sprawozdawców, którzy wspólnie z urzędnikami sekretariatów i asystentami parlamentarnymi pracują nad tekstami ustaw i sprawozdaniem czy raportami. Kontrasprawozdawcy z frakcji patrzą im na ręce. Po zakończeniu obrad i głosowaniach w komisjach teksty przekazywane są delegacjom krajowym w poszczególnych frakcjach. To parlamentarni *whipowie*<sup>5</sup> organizują ten proces, odpowiadając za dyscyplinę głosowań. Wyniki głosowań w komisjach trafiają na posiedzenie wszystkich delegacji, na którym rzecznik dyscypliny frakcji musi wypracować jednolite stanowisko na podstawie czasami odmiennych poglądów. Niełatwe zadanie. Wyniki obrad wnosi on na posiedzenie frakcji, gdzie ponownie następuje wymiana argumentów. Gdy zarysowują się różnice zdań albo wypracowuje się rozwiązania kompromisowe albo też parlamentarzyści idą na głosowania parlamentarne z odmiennymi stanowiskami.

Prawdziwe debaty na plenum PE stanowią wyjątek. Czas na wypowiedzi dzielony jest w zależności od siły frakcji. Zaczynają przewodniczący frakcji, formułując stanowisko na temat danego sprawozdania, projektu ustawy lub też szczytu

<sup>5</sup> *Whip* to określenie zapożyczone z brytyjskiego systemu politycznego. Whipowie są członkami partii, których zadaniem jest pilnowanie dyscypliny podczas głosowań – nie tylko tego, by członkowie parlamentu głosowali zgodnie z linią partii, ale też pilnowanie frekwencji – przyp. Kurhaus.

europiejskiego. Według wszelkich reguł mają oni zwykle na wypowiedź od trzech do pięciu minut. Rzecznicy grup mają do dyspozycji około półtorej minuty. Wszyscy inni mówcy muszą zadowolić się jedną minutą. Gdy któryś z nich przekroczy wyznaczony czas – nawet o około 10 sekund – zostaje upomniany, by przeszedł do konkluzji. Jeżeli nie reaguje, wyłącza mu się mikrofon.

Obowiązek mieszczenia się w czasie przewidzianym na wystąpienia, tak rygorystycznie przestrzegany, jest nieunikniony. PE liczy łącznie z przewodniczącym 751 deputowanych. Każdy z nich sprawia wrażenie, jakby świat miał się zawalić, jeśli nie dopuści się go do głosu. A przecież w trakcie jednej minuty prawie żaden z mówców nie jest w stanie rozwinąć myśli. Mówi automatycznie samymi nagłówkami. Nie może także nawiązać do swojego przedmówcy, bo nie zostanie mu czasu na własne argumenty. Oczywiście posłowie mogą zadawać pytania. Mają na to 30 sekund, a mówca ma 30 sekund na udzielenie odpowiedzi. Z tej możliwości korzysta się gorliwie, niemal wyłącznie przy prezentacjach własnych. Tym samym w trakcie debaty przeciętny poseł przysłuchuje się jednominutowym wystąpieniom przedstawicieli dużych frakcji (jako że ci dysponują bogatym czasem wystąpień), a następnie opuszcza salę plenarną. Nie dziwi zatem, że wielu jednominutowych mówców pojawia się na sali na krótko przed własnym wystąpieniem i znika tuż po nim. Nawet jeśli wielu mówców zgłasza się do zabrania głosu w debacie, frekwencja na sali jest zawsze marna. W taki oto sposób w PE nigdy nie dochodzi do prawdziwej debaty między frakcjami. Zresztą być może posłowie wcale nie byliby nią zainteresowani. Bardziej wydaje się ich frapować wrzucanie postów na Facebooka i Twittera, na którym prezentują swoją aktywność parlamentarną followersom.

Treść i formy wypowiedzi czy wystąpień pozostają w dużej mierze takie same. Szczególnie widoczne jest to przy debatach na temat transferów w ramach strefy euro. Mów-

cy z południa strefy euro ubolewają nad brakiem inwestycji, stagnacją gospodarczą, spadkiem realnych dochodów i wysokim bezrobociem wśród młodzieży. Domagają się rozwiązań na skalę europejską. Ich propozycje, nieoparte żadną analizą, przypominają zaklęcia szamanów. Wołają o pomoc i upraszają się o lekarstwo, choć nie chcą pozwolić się zbadać, by ustalić przyczynę choroby.

Nie pytają, dlaczego bezrobocie w Niemczech w ostatnich latach zmniejszyło się o połowę, a w krajach południowych peryferii się podwoiło. Gdyby poszukiwali odpowiedzi na te pytania, wiedzieliby także, co należałoby zrobić, by zapewnić ich młodzieży szanse na godne życie.

Niczym diabeł wody święconej unikają rozwiązań, które okazałyby się doskonałym środkiem zaradczym na ich problemy: wyjścia ze strefy euro i zdewaluowania krajowej waluty, co uczyniłoby ich gospodarki atrakcyjne dla krajowych i zagranicznych inwestorów. Być może jednak karta się odwróci: frakcja, do której należą autorzy tej książki – EKR, frakcja, do której należy włoski Ruch Pięciu Gwiazd – Europa Wolności i Demokracji Bezpośredniej (EWDB) oraz ZLE – frakcja zrzeszająca europejskie partie lewicowe, w różnych raportach formułowały wnioski o umożliwienie państwu członkowskiemu wystąpienia ze strefy euro, gdy wspólna waluta stanie się dla nich zbyt dużym obciążeniem i zechcą dobrowolnie opuścić unię walutową. W takim przypadku UE powinna zagwarantować im finansowe wsparcie w okresie adaptacyjnym. Jest to także nasze stanowisko: Henkela i Starbatty’ego. Interesujące jest jednak, iż niemieccy członkowie ZLE odrzucili powyższy wniosek, podobnie jak deputowani EPL i SD.

Europarlament obfituje w różne komiczne sytuacje. Jesienią 2015 roku jego prace koncentrowały się na konieczności zmniejszenia emisji szkodliwego metanu do atmosfery. Ponieważ ogólnie wiadomo, że metan emitują m.in. krowy wypróżniające się na łąkach, okazując w ten sposób brak

poszanowania dla środowiska naturalnego, w parlamencie dyskutowano, czy nie należałoby ograniczyć ich wolnego wypasu. A nawet zabronić. Ostatecznie PE, decydując się na ustanowienie rygorystycznych nakazów ograniczenia emisji, zgodził się na wolny wypas – mimo zastrzeżeń, że stanowi on zagrożenie dla środowiska. Okazuje się więc, że władza PE nie sięga jeszcze tak daleko, by zakazać krowom puszczania bąków.

Procedury głosowania na plenum PE są dla każdego nowicjusza dużym przeżyciem. Szczególnie pouczające było dla nas głosowanie, które miało miejsce ostatniego dnia naszego pierwszego tygodnia parlamentarnego. Zwykle około godz. 12 dźwięk dzwonka kilkakrotnie wzywa posłów do sali plenarnej. Ta, dotąd skromnie wypełniona, zaludniała się w okamgnieniu. Głosowanie prowadził doświadczony wiceprzewodniczący Rainer Wieland (EPL). Przebiegało ono w błyskawicznym tempie. Wiceprzewodniczący wywoływał odpowiednie numerki oznaczające: za, przeciw, wstrzymanie się od głosu. Potem określał konkretne prawo jako „*adopted* – przyjęte” lub jako „*rejected* – odrzucone”.

W trakcie trwającego głosowania jeden z posłów zgłosił się, by zakwestionować jego zasady: powiedział, że nie nadąża z czytaniem, nie ma zupełnie czasu na orientację w temacie i czuje się przeciążony. Wiceprzewodniczący PE odpowiedział mu, że rozumie i w zupełności podziela wnioski tych, którzy świeżo zasilili szeregi europosłów, ale od zawsze tak się tu proceduje, a poza tym porządek obrad był już omówiony we wszystkich frakcjach. Oto finał procesu wymiany opinii i formułowania decyzji. Szybkie tempo musi być utrzymane, ponieważ większość posłów spieszy się na lotnisko lub dworzec.

Nie każdy eurodeputowany ma tak dobrze jak Henkel czy Starbatty. Wielu, po wylądowaniu już w swoim kraju, musi jeszcze pokonywać długą drogę, by dojechać do rodzinnej

miejscowości czy okręgu wyborczego. Jeszcze zanim zakończy się ostatecznie głosowanie, pochód deputowanych gwałtownie dopada więc walizek na kółkach i płaszczy, po czym pędzi ku parkingowi. Wygląda to jakby stado bawołów z impetem przebiegało prerię. O dziwo, mimo tłoku nie dochodzi do żadnych przepychanek. Ponieważ park samochodowy jest dobrze zorganizowany, każdy z deputowanych dociera możliwie szybko do pożądanego punktu wyjazdu.

Nowicjusz może się zastanawiać w trakcie swego pierwszego głosowania, dlaczego niektórzy deputowani jak na rzymskiej arenie trzymają kciuk raz w górę, raz w dół lub dłoń płasko nad głową. W końcu pojmuje – to sygnaliści: kciuk w górę oznacza „jestem za”, w dół – „jestem przeciw”, dłoń płasko – „wstrzymuję się od głosu”. Odkrywa, że nie tylko same frakcje, ale i delegacje krajowe się tak gimnastykują. Ma to pomóc deputowanemu nie popełnić błędu. Dla pewności, że zagłosuje on poprawnie, frakcja czy delegacja kładzie mu na pulpicie specjalny blok z instrukcjami do głosowania. Często liczy on więcej niż 50 stron – po 5 opisów głosowań na każdej. Warto wiedzieć, że na ok. 250 głosowań przewidziane jest półtorej godziny. Tempo narzucone dla wypracowania tej normy jest bardzo szybkie.

Głosowanie przebiega albo przez podniesienie ręki, albo za pośrednictwem systemu elektronicznego (po potwierdzeniu tożsamości). Ten drugi sposób zarezerwowany jest głównie dla najważniejszych głosowań. Przy głosowaniu poprzez podniesienie ręki o przyjęciu („*it's adopted*”) lub odrzuceniu („*it's rejected*”) prawa decyduje percepcja prezydium. Czasami po głosowaniu rozlega się okrzyk „*check*”. Oczywiście jest w tym wypadku, że poszczególni deputowani odnieśli inne niż prezydium wrażenie lub też wynik głosowania nie był zgodny z ich oczekiwaniami. Głosowanie powtarza się wówczas w formie elektronicznej. Nierzadko wynik okazuje się inny niż jawił się w oczach wiceprzewodniczącego.



Dlaczego tak się dzieje? Wyjaśnienie jest proste: w trakcie głosowań przez podniesienie ręki głowy wielu deputowanych są pochylone nad smartfonami czy tabletami – zupełnie nie rozumieją, lub też nie dosłyszą, nad czym w danej chwili głosują. Gdy dochodzi do powtórnego głosowania, wiceprzewodniczący przywołuje ich do porządku: „Proszę o wyraźne podniesienie ręki”.

### ROZDZIAŁ 33.

#### PARLAMENT EUROPEJSKI Z DALA OD WYBORCÓW

Spadek frekwencji wyborczej z 69 proc. podczas pierwszych wyborów w roku 1979 do 43,1 proc. w 2009 roku i wreszcie 42,5 proc. w 2014 roku stanowi sygnał alarmowy. Proces integracji europejskiej postępuje, podczas gdy obywatele coraz mniej interesują się Europą. To wiatr w żagle eurosceptyków, a nawet partii wrogich Unii Europejskiej. Dopóki najsilniejszymi frakcjami w PE są EPL i SD, głosy krytyczne wobec UE będą głosami mniejszości. To, że w najbliższym czasie niewiele się zmieni w procesie decyzyjnym PE i instytucji europejskich, ilustruje następujący przykład: obecny przewodniczący Parlamentu Martin Schulz był promowany w wyborach europejskich 2014 roku jako „czołowy kandydat” całej europejskiej lewicy (SD). Jego twarz spoglądała na wyborców z olbrzymich plakatów. Przyglądając im się dokładnie, można było w rogu dostrzec slogan „Przemysłać Europę na nowo”. Ale jak dotąd nie usłyszeliśmy w PE żadnej wypowiedzi Schulza, która byłaby rozwinięciem tego hasła. Schulz zdaje się stać obok Jeana-Claude’a Junckera na mostku olbrzymiego tankowca – Unii Europejskiej i z konsekwencją utrzymywać kurs „więcej Europy”.

Kampanie wyborcze do PE nie zasługują na to, by tak je nazywać. Praktycznie wszystkie partie posługują się tymi samymi hasłami i programami. Przedstawiciele największych

partii nie podejmują ważnych z perspektywy Europy tematów. Można właściwie odnieść wrażenie, że kampanie wyborcze do europarlamentu wykorzystywane są do rozgrywek politycznych na poziomie krajowym. Dopiero w kampanii 2014 roku, za sprawą Hörsta Seehofera<sup>6</sup>, dało się słyszeć krytyczne pod adresem unii głosy. „Europa byłaby imponującą ideą, gdyby nie dławiała jej brukselska biurokracja” – mówił.

Oświadczenie to mogło zresztą brzmieć mało wiarygodnie. Europejska Partia Ludowa (EPL), mająca istotny wpływ na CDU/CSU, wciąż stroi się w unijne piórka. Jej parlamentarzyści postrzegają zniechęcenie wyborców nie jako sygnał do odejścia od dotychczasowej polityki, lecz jako zachętę do angażowania coraz większych środków finansowych w promowanie wśród obywateli hasła „więcej Europy”. Deputowani do parlamentów krajowych realizują określone programy partyjne i zasiadają w rządzie. W swych okręgach wyborczych spotykają się z elektoratem. Wyborcy, którzy nie są zadowoleni z ich pracy lub czują się ignorowani, wyrażają wobec nich krytykę w szorstkich, jeśli nie ordynarnych, słowach. Ale PE składa się z przedstawicieli aż 28 państw członkowskich. Jeśli eurodeputowany z Niemiec reprezentuje aż 800 tys. wyborców, to kogo w istocie ma słuchać? Skonfrontowany z niewygodnymi faktami zawsze może zasłonić się brakiem możliwości przebiccia się w wielonarodowej frakcji. Może ukrywać się przed wyborcami za plecami nieobecnych czarnych charakterów.

Parlament, który reprezentuje obywateli 28 krajów, w rzeczywistości nie ponosi odpowiedzialności wobec kogokolwiek. Może w sposób arbitralny dokonywać wyborów, kierując się swoją interpretacją tego, co leży w interesie europejskim i przekonywać wyborców, że powinni zaakceptować definicję interesu europejskiego sformułowaną przez PE i KE. Götz Briefs,

<sup>6</sup> Hörst Seehofer to przewodniczący CSU i premier Bawarii. Jego ugrupowanie było w 2014 r. największym przegranym eurowyborów w Niemczech – przyp. Kurhaus.

znany już nieżyjący ekonomista niemiecki, odkrył na podstawie badań empirycznych, że stowarzyszenia, zawiązywane w celu reprezentowania różnych interesów, ostatecznie reprezentują swój własny interes. Fenomen ten nazwał „autonomicznym interesem stowarzyszenia”. Tę podstawową ideę dalej rozwinęła „nowa ekonomia instytucjonalna” w formie teorii agencji.

Według teorii agencji agent wykonujący zlecenie pryncypała może wykorzystywać okoliczności związane z relacją agencji w interesie własnym, a nie pryncypała. W opisywanym przez nas przypadku wyborcy zlecają deputowanym reprezentowanie ich interesów na arenie europejskiej. Dotychczas nie wypracowano jednak ani nawet nie poddano pod dyskusję jakichkolwiek narzędzi obligowania członków PE do działania na rzecz swego pryncypała: elektoratu europejskiego. Znane są za to sposoby, które ów agent stosuje, by pryncypał działał po jego myśli. Mamy tu więc do czynienia z autonomicznym interesem parlamentarnym. Przyjrzyjmy się dwóm kanałom wywierania wpływu na wyborcę.

Pierwszy przypadek: proces decyzyjny na szczeblu europejskim jest tak dalece złożony, że przeciętny obywatel nie jest w stanie go zrozumieć i w kwestii jego wykładni zdany jest na swego agenta. Mamy z tym do czynienia choćby w odniesieniu do europejskiej unii walutowej i spójności strefy euro. Deputowani i członkowie Komisji Europejskiej nieustannie tłumaczą wyborcom, że euro gwarantuje pokój w Europie i spójność unii, chociaż w rzeczywistości jest odwrotnie. Wystarczy posłuchać kilku programów typu *talk show*, w których politycy i posłowie z Brukseli, ale też i z Berlina, objaśniają zasadność prowadzenia polityki ratowania euro. Skonfrontowani z ekspertami przyznają czasem, że ich argumentacja opiera się chwiejnych podstawach, odpowiadają jednak, że w zaistniałej sytuacji nie powinno się dezorientować obywateli poprzez epatowanie szczegółami i wzbudzanie wątpliwości.

Drugi przypadek: jeden z najczęściej stosowanych ar-

gumentów na poparcie tezy o konieczności wzmocnienia Unii Europejskiej brzmi, że poszczególne państwa członkowskie rozumieją, iż same są zbyt słabe, by utrzymać się na powierzchni w dobie zawirowań globalizacji. Jednocześnie mówi się o tym tak, jakby interesy narodowe 28 państw członkowskich były scalone w homogeniczną całość – monolit – „Europę w świecie”. Joseph Schumpeter określił tego rodzaju argumentację jako „kolektywizm metodologiczny”. Polega on na traktowaniu różnych podmiotów należących do danego stowarzyszenia jakby wszystkie one stanowiły ciało kolegialne. Schumpeter przeciwstawił go „indywidualizmowi metodologicznemu”, który zakłada zachowanie indywidualnych (narodowych) interesów, nawet w ramach stowarzyszenia czy instytucji.

Przykładem [„kolektywizmu metodologicznego”] jest twierdzenie, że tylko dzięki członkostwu w UE i unii walutowej poszczególne państwa Europy były w stanie utrzymać się na powierzchni w dobie globalizacji. Odwołajmy się tu do jednego z protagonistów unii monetarnej, który posługiwał się w argumentacji tą właśnie metodą. Ówczesny minister finansów Theo Waigel uzasadniał wprowadzenie wspólnej waluty, twierdząc, że gdyby jej nie wdrożono, byłibyśmy ofiarami zabaw w kotka i myszkę pomiędzy dolarem amerykańskim lub chińskim juanem a krajowymi walutami europejskimi. Utworzenie euro miało rzekomo dać UE silny głos w zglobalizowanej gospodarce.

Waigel przemilcza fakt, że w ramach unii walutowej nie mamy do czynienia z jednorodnym blokiem, lecz z 19 kompletnie różnymi rządami, których polityka – między innymi z powodu konieczności utrzymywania wspólnej waluty i sztywnego kursu – nie zabezpieczała wspólnotowych interesów i nie wzmocniała euro, a pozostawała całkowicie rozproszona. Strefa euro to grupa państw o najslabszym wśród uprzemysłowionych krajów świata wzroście gospodarczym.

Właśnie dlatego, że owa niejednorodna grupa zmuszona jest do podporządkowania swoich działań jednej, ogólnie obowiązującej walucie. Działania mające na celu zapobieganie wyjściu kolejnych krajów z eurozony przyczynia się między innymi do tego, że narasta w niej problem bezrobocia.

Błędne założenie kolektywizmu metodologicznego oraz dogmat o coraz ściślejszej Unii powodują, że PE w roli agenta coraz bardziej oddala się od europejskiego elektoratu jako swego pryncypała. PE nie chce jednak zawrócić z obranej drogi. Oznaczałoby to dla niego zdradę idei europejskiej. Derk Jan Eppink<sup>7</sup>, były eurodeputowany, zwraca uwagę na sprzeczność pomiędzy rzeczywistą postawą PE a jego nawoływaniami o tolerancję na świecie: PE przyznaje nagrodę Sacharowa, by wspierać dysydentów z różnych krajów, a jednocześnie nie toleruje odmienności poglądów we własnych szeregach.

Oczywiście dziś na posiedzeniach plenarnych da się już słyszeć głosy ludzi o odmiennych poglądach. Do tej pory jednak tego typu wypowiedzi – jak na przykład kpiny Nigela Farage'a z europosłów i członków Komisji Europejskiej – były traktowane jak element folklorystyczny. Ostatecznie, jak mawiał Helmut Kohl, gdy sprawy dotyczyły nieodwracalności procesu wprowadzenia euro: psy szczekają, karawana jedzie dalej.

<sup>7</sup> Derk Jan Eppink jest holenderskim dziennikarzem, posłem do europarlamentu VII kadencji – przyp. Kurhaus.

# CZEŚĆ X KTO W EUROPIE PODEJMUJE DECYZJE?

## ROZDZIAŁ 34.

### PRZESUNIĘCIE PUNKTU CIĘŻKOŚCI MIĘDZY KOMISJĄ EUROPEJSKĄ A PAŃSTWAMI CZŁONKOWSKIMI

Komisja Europejska (KE) to centrum integracji europejskiej. Przysługuje jej prawo inicjatywy ustawodawczej. Przygotowuje projekty aktów wspólnotowych. Jest uważana za „strażniczkę traktatów”. Nadzoruje i monitoruje wdrażanie i stosowanie prawa wspólnotowego w krajach członkowskich. Jest również odpowiedzialna za wdrażanie decyzji podejmowanych na poziomie Wspólnoty.

Powierzono jej zarządzanie całym budżetem UE. Jednak żaden wniosek ustawodawczy KE nie uzyska obowiązującej mocy i nie wejdzie w życie bez zgody Rady Unii Europejskiej.

Rządy państw członkowskich wysuwają kandydatury na komisarzy. Od wyborów do europarlamentu w 2014 roku muszą one – w tym kandydat na przewodniczącego KE – być zatwierdzone przez Parlament Europejski (PE) drogą głosowania kwalifikowaną większością głosów. Współpraca Komisji i rządów państw członkowskich ma charakter relacji agent-pryncypał. Komisja jako agent, przypominający dyrektora zarządzającego, działa na rzecz państw członkowskich wspierając proces integracji europejskiej.

Z biegiem lat Komisja Europejska zyskała na znaczeniu w tej relacji. Stało się tak dlatego, że interesy 28 pryncypałów są różne, a czasami wręcz przeciwstawne, natomiast skład samej Komisji jest w większości zgodny. Do tego rządy państw członkowskich zmieniają się. A KE trwale dysponuje przewagą informacyjną. Wdraża prawo wspólnotowe, mając do

dyspozycji zgraną i niezwykle doświadczoną kadrę unijnych urzędników.

W toku rozszerzenia UE skład Komisji uległ poszerzeniu. Do czasu podpisania traktatu z Nicei (2001) po dwóch komisarzy wyznaczało pięć największych państw członkowskich: Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Włochy i Hiszpania. Jednak nowo przyjęte do UE kraje nalegały, by także one mogły mieć swych przedstawicieli w tym ciele. Dziś UE ma tylu komisarzy, ile jest państw członkowskich. Gdyby tak nie było, w Unii trwałyby długie spory i panowało poczucie niezadowolenia. Obszary działań Komisji trzeba było tak podzielić i uzgodnić, aby każdy komisarz i rząd, który go desygnuje, czuł się usatysfakcjonowany. Oczywiście, składa się ona z klasycznych resortów oraz takich, które wcześniej nie istniały, a zostały wydzielone z tradycyjnych departamentów. Ma to dwie konsekwencje:

- Każdy z komisarzy uważa, że docenia się jego znaczenie dla Europy i własnego kraju, gdy przydzielona mu infrastruktura urzędnicza może konkurować pod względem ilościowym z innymi resortami; z tym wiąże się wyraźny awans personalny i finansowy.

- Jeśli kompetencje komisarza są ograniczone, podejmuje on starania celem pozyskania dodatkowych obszarów wpływów. Nie inaczej jest na poziomie krajowych ministerstw. Na szczeblu europejskim wiąże się to z prawdziwymi wojenkami o stanowisko i pozycję, jako że generalnie cała Komisja jest zainteresowana, by pozyskać nowe kompetencje dla Brukseli.

Rządy najbardziej wpływowych krajów członkowskich starają się – często z sukcesem – zabezpieczyć swoje interesy w KE. Brytyjczyk Jonathan Hill został oddelegowany, by jako komisarz ds. stabilności finansowej, usług finansowych i unii rynków kapitałowych utrzymywał londyńskie centrum finansowe w bezpiecznej odległości od jakichkolwiek kłopotów.

Desygnowany przez Niemcy Günther Oettinger miał nadzieję na klasyczny resort, ale musiał odnaleźć się w obszarze gospodarki cyfrowej i społeczeństwa. Pytany, jak się czuje, odpowiada „może nie do końca *happy*, ale jednak szczęśliwy”. Swój resort wykorzysta możliwie w jak najlepszy sposób. Widać jednak, że Juncker utrzymuje go z dala od najważniejszych europejskich stanowisk.

Rząd francuski wystawił do konkursu o ważny resort Pierre'a Moscoviciego z zamysłem, by ten pilnował interesu Francji w sprawach związanych z Europejską Unią Walutową. Aby na przykład przepisów Paktu Stabilności i Wzrostu nie interpretowano na modłę niemiecką, czyli w sposób dosłowny, lecz według reguł rzymskich, elastycznie i miękko. I tak Komisja nie ukarała rządów Hiszpanii i Portugalii za niespełnienie kryterium długu wynikającego z traktatu z Maastricht, ponieważ dla Pierre'a Moscoviciego nie była to „w sensie gospodarczym i politycznym odpowiednia chwila”<sup>1</sup>. Skoro pakt fiskalny przez znawców tematu już dawno został uznany za martwy, to teraz wiemy dokładnie: „on jest martwy”. Oczywiście Moscovici nie miałby siły przebicia w Komisji, gdyby nie był osłaniany i asekurowany przez Jeana-Claude'a Junckera.

Wpływ krajów członkowskich na zapadające w UE decyzje jest ograniczany poprzez specyficzny sposób procedowania. Rządy, w tym także i opozycja danego państwa, starają często poprzez Brukselę forsować pewne projekty, które wzbudzają sprzeciw opinii publicznej w ich krajach oraz w ich parlamentach. Niczym doświadczony gracz rozgrywający partię bilarda, gdy nie mogą trafić bezpośrednio do celu, zagrywają „po bandzie”, nie do końca zgodnie z regułami. Do tej gry „po bandzie” chętnie przyłącza się Komisja, która w ten sposób próbuje uzasadnić sens swojego

<sup>1</sup> W lipcu 2016 r. kraje członkowskie odstąpiły od wymierzania kar finansowych za złamanie zasady dyscypliny budżetowej Portugalii i Hiszpanii. 27 lipca 2016 r. to właśnie KE złożyła wniosek o ich anulowanie. Francuz Pierre Moscovici jest komisarzem ds. ekonomicznych i finansowych, podatków i cel - przyp. Kurhaus.



istnienia i poszerzyć pole działania. Wydaje ona wówczas odpowiednie instrukcje i przekonuje do danych decyzji innych członków Rady. W ten sposób Komisja rozgrywa swą strategiczną grę, która utrwala i wzmacnia jej wpływy.

Tendencja centralizacji jest wzmacniana także przez owianą złą sławą praktykę pakietowania przepisów. Nie brak projektów europejskich, które wywołują kategorię sprzeciwu jednych i zarazem entuzjazm innych. Komisja opakuje je w pakiety, wiążąc w nich przepisy wychodzące naprzeciw życzeniom niektórych państw członkowskich (przysłowio- we „marchewki”) oraz te, które oznaczają konieczność przeknięcia przez nie „ropuchy”. Owa praktyka ostatecznie wzmacnia wpływy KE przyznając jej dodatkowe kompetencje.

### **ROZDZIAŁ 35. JUNCKER I JEGO PRZEKONANIE O BYCIU PREMIEREM EUROPY**

Żadna pierś w Europie nie jest tak szeroka, by pomieścić wszystkie ordery, legie honorowe i honorowe obywatelstwa, które zostały przyznane Jeanowi-Claude'owi Junckerowi w trakcie jego kariery politycznej. Ograniczymy się tylko do najwyższych orderów: Wielki Federalny Krzyż Zasługi z Gwiazdą i Wstęgą, Wielki Oficer Francuskiej Legii Honorowej, Międzynarodowa Nagroda Karola Wielkiego, Odznaka Honorowa za Zasługi dla Austrii – Złoty Medal i najwyższy grecki order za zasługi, Wielki Krzyż Odkupiciela. Takie wyróżnienia wręcza się tylko za udokumentowane zasługi lub w oczekiwaniu przyszłej przychylności. Nie można jednak przemilczeć innych odznaczeń, które przyznane zostały Junckerowi: „Złoty chytry lis” (2004), „Skaza Roku – wyróżnienie dla nieodpowiedzialnej firmy”. Nagrodę tę przyznała Junckerowi 20 lutego 2015 roku austriacka „Sieć na rzecz społecznej odpowiedzialności”.

Z nagrody „Złoty chytry lis” Juncker jest po prostu dumny. Dziękując za nią przed audytorium składającym się z 500 rozbawionych widzów, tak określił swoją decyzję o utrzymaniu fotela szefa resortu finansów po tym jak mianowano go szefem rządu Luksemburga (1995): „To była najbardziej udana lisia przebiegłość. Zamiast stale toczyć dyskusje o finansach publicznych, jak kanclerz Schröder z ministrem finansów Eichelem, debatowałem sam z sobą, przy tym regularnie stawiając na swoim”.

Prawdopodobnie szef rządu Juncker postawił na swoim w sporze z ministrem finansów Junckerem także w sprawie tajnych porozumień podatkowych z przeszło 340 międzynarodowymi koncernami. Być może nawet stoczył z sobą w tej sprawie intensywną debatę. Dziennikarze śledczy z kilku krajów, prowadząc operację pod kryptonimem „Przecieki Luksemburga” odkryli, że korporacje te, korzystając z pewnych „drobnych przywilejów podatkowych” wyprowadziły ze swych krajów przez Luksemburg setki miliardów euro. Kraj Junckera uzyskał znaczne korzyści w związku z procederem, w wyniku którego inne kraje nie zrealizowały wpływów podatkowych z tytułu zysków tych przedsiębiorstw.

Jak dalece Juncker może być zadowolony w głębi duszy, że zbiera plony tam, gdzie nic nie zasiał? Po przyznaniu Junckerowi wyróżnienia „Skaza Roku” pewien luksemburski blogger napisał w internecie (w rodzimej gwarze „Letzeburg”): „A czy na honorze Austrii nie dostrzegacie plam, które musimy zmywać tutaj, w Luksemburgu”. Jakiś Austriak odpowiedział mu na to: „A jakże, a jakże, dostrzegamy. Ale biorąc pod uwagę, że w wyniku oszustw podatkowych wyprowadzono z naszego kraju 1 bln euro, niewiele możemy zrobić”. Prawdopodobnie gdyby wiedziano o tej aferze przed wyborami europejskimi w 2014 roku, Europejska Partia Ludowa (EPL) nie mogłaby w Parlamencie przeforsować Junckera na przewodniczącego KE.

Dziwny jest ten świat. W procesie mającym ujawnić sekretne układziki podatkowe luksemburskie organy śledcze zażądały 18 miesięcy więzienia dla dwóch dawnych pracowników firmy doradczej „PricewaterhouseCoopers”, ponieważ ujawnili oni i udostępniili opinii publicznej to, co miało pozostać tajemnicą. Obwiniono ich o kradzież i przekazanie dziennikarzom tysięcy dokumentów na temat podejrzanych praktyk podatkowych międzynarodowych korporacji. Ci, którzy poinformowali opinię publiczną o tym, co Juncker chciał ukryć, zostali oskarżeni i teraz grozi im więzienie. A ten, który konsultował się z samym sobą jako ministrem finansów i ostatecznie namotał te układziki, jako przewodniczący Komisji UE robi z siebie europejskiego premiera.

Chociaż Manfred Weber, przewodniczący frakcji EPL, przy każdej okazji staje teraz w obronie Junckera i dziękuje za wszystkie jego działania, Juncker nie był wcale wymarzonym kandydatem Angeli Merkel. Pani Kanclerz ma dobrą pamięć i nie zapomina niemiłych uwag. A ten zarzucił jej „prostackie myślenie” po tym, jak odrzuciła jego propozycję emisji wspólnotowych obligacji (euroobligacji). Nie mogła mu wprawdzie zaszkodzić jako „czołowemu kandydatowi” EPL, jednak prze-forsowała, by na żadnym z plakatów CDU/CSU nie pojawiło się jego zdjęcie. „Czołowego kandydata” SPD Martina Schulza można było za to zobaczyć na rogu niemalże każdej ulicy.

Czy Schulzowi to pomogło, a Junckerowi zaszkodziło, to już inna sprawa. W każdym razie w wyborach europejskich 2014 roku EPL z Junckerem wyłoniła się jako najsilniejsza partia. Pani kanclerz jednak jeszcze dzień po wyborach do Parlamentu Europejskiego nie odpowiadała jednoznacznie na pytanie, czy opowiada się za Junckerem. Tak jak wcześniej, tak też i teraz odwołała się do traktatu z Lizbony, twierdząc, że Parlament wprawdzie może zgodnie z wynikami wyborów zgłosić kandydata, ale to Rada Europejska zdecyduje, czy poprze ten wniosek jako własny. Ostatecznie François Hollande

wyręczył Angelę Merkel i podjął za nią decyzję. Zadziwiające było jednak, co dało się słyszeć, że kandydat EPL zwyciężył w wyborach, Parlament Europejski opowiedział się za nim, a Angela Merkel ociągała się z wyrażeniem poparcia.

Im dłużej by czekała, tym bardziej niewiarygodne byłoby jej zachowanie. Ostatecznie wyraziła więc zgodę. Holande prawdopodobnie wiedział, dlaczego Merkel zwleka i dlatego też skłonił ją do zdecydowanego działania. Przy podejmowaniu decyzji dotyczących unii walutowej Juncker, jako poprzedni szef eurogrupy regularnie grał kartą francuską: nie trzymać się reguł, które powinny być priorytetem, gwarantując stabilność i sprawiedliwość postępowania, tylko podejmować decyzje w zależności od oceny sytuacji dla realizacji konkretnego politycznego celu. To, co w istocie jest oportunizmem politycznym, Juncker nazywa logiką elastycznej mądrości.

Od chwili swojego wyboru Juncker działa z dużą mocą i poczuciem misji. „Od początku jasno dałem do zrozumienia, że Komisja, której mam zaszczyt przewodniczyć, będzie komisją polityczną. Ergo, przewodniczący tej Komisji Europejskiej też będzie przewodniczącym politycznym”.

Jeśli przyjmiemy, że poprzednik Junckera, José Manuel Barroso, prowadził Komisję w duchu państw członkowskich, a więc jako dyrektor zarządzający lub – po łacinie – jako *maior domus*, to należy sądzić, iż Juncker odrobił lekcje z historii. Wie on, że członkowie dynasti Karola Wielkiego, Karolingowie, byli majordomami Merowingów. Stojąc w cieniu, z czasem zaczęli zyskiwać coraz większą władzę, aż w końcu sami objęli tron, gdy korona Merowingów niczym dojrzały owoc opadła im na kolana.

Każdy, kto świadomie śledził dramat czy też może raczej tragedię Grecji, mógł zobaczyć, w jaki sposób Juncker odgrywa swą pierwszoplanową rolę na scenie europejskiej. Pomoc finansowa dla tego kraju, środki pochodzące z Europejskiego Mechanizmu Stabilności (EMS) pochodzą od państw człon-

kowskich strefy euro i są przez nie gwarantowane. Jednak tylko eurogrupa decyduje, jak potoczą się dalej losy Grecji. Juncker i Martin Schulz, dokonując indywidualnych interpretacji zdarzeń rozgrywających się w tym kraju, podejmowali próby wywarcia wpływu na proces decyzyjny eurogrupy i rządów państw należących do strefy. Ulegali Grecji. Przy tym unikali jakichkolwiek dyskusji o głosach sprzeciwu poszczególnych państw członkowskich. Wtajemniczeni łatwo mogli zaobserwować, o czym myślą i do czego dążą ci politycy, choć zaprawieni w bojach, kluczyli oni w sposób, który w razie czego pozwalał wycofać się na z góry upatrzone pozycje: te, nie odbiegające od ogólnie akceptowanej linii politycznej.

W swych orędziach wygłaszanych w Parlamencie Europejskim po niemiecku, francusku i angielsku, Juncker objaśnia europoślom czym jest istota europejskości – jak dzięki niej udawało się w przeszłości hamować fale imigracji. Przekonuje, że Europa potrzebuje „więcej Europy” i zacieśniania wspólnotowych więzi, by skutecznie stawiać czoła wyzwaniom wynikającym z globalizacji. Nigel Farage, szef brytyjskiej Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (United Kingdom Independence Party, UKIP) i przewodniczący frakcji eurosceptyków Europa Wolności i Demokracji Bezpośredniej (EWDB) zawsze stroi sobie z niego żarty. Wskazuje, że Juncker i czołowi przedstawiciele grup reprezentowanych w PE trąbią o tym zawsze, gdy ich polityka prowadzi ich do ślepej uliczki. Zalecają stosowanie wciąż tego samego leku na kłopoty, tylko w coraz większej dawce: „więcej Europy” i „więcej wspólnoty”.

Każdemu, kto musi znosić wykłady Junckera z pewnością do głowy przychodzi jedna myśl: Oto przemawia do nas ten, który czuje się powołany jako *praeceptor Europae*, jako „nauczyciel Europy”, by sprowadzić ją na właściwą drogę.

Swoje przywództwo Juncker potwierdził dobitnie poprzez „Raport pięciu przewodniczących” z czerwca 2015

roku. Został on napisany pod dyktando polityka przez jego sztab. Czterech innych przewodniczących – Jeroen Dijsselbloem, Donald Tusk, Mario Draghi i Martin Schulz – po prostu zapoznało się z jego rekomendacjami i udzieliło mu poparcia. Według tego dokumentu konieczna jest większa spójność i solidarność wewnątrz unii walutowej, aby dało się ją utrzymać w dłuższym okresie. Raport przewiduje także jednolitą reprezentację strefy euro w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Prawa do głosu poszczególnych państw miałyby zostać przeniesione na Komisję Europejską. Planuje się utworzenie europejskiego systemu gwarantowania depozytów bankowych. Rząd Federalny, a przede wszystkim niemieckie Kasy Oszczędnościowe [Sparkassen] wciąż jeszcze z tym pomysłem walczą. Banki prywatne zachowują powściągliwość. Ponieważ jednak Angela Merkel utrzymuje, że nie ma alternatywy dla euro, nie będzie mogła na dłuższą metę przeciwstawiać się tym żądaniom. W przeciwnym bowiem wypadku Juncker i rządy państw, których banki potrzebują wsparcia, zaczną argumentować, że euro jest w niebezpieczeństwie.

Juncker nie tylko widzi się w roli wizjonera. Jest też zręcznym taktykiem. Postanowił zreformować Komisję Europejską. W jej nowym kształcie występuje on już nie jako *primus inter pares*, lecz jako postać odpowiadająca za rozwój Europy (po jego myśli). Ściągnął do siebie lojalnego, doświadczonego Holendra poliglotę Fransa Timmermansa i mianował go wiceprzewodniczącym. Może mu w pełni ufać, ponieważ ten zręcznie wspiera kierunek wytyczony przez Junckera. Federica Mogherini, wysoki przedstawiciel unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, która również jest wiceprzewodniczącą, jest tak obciążona potencjalnymi lub już toczącymi się konfliktami wokół UE, że nie ma głowy do innych spraw. Cała pozostała czwórka wiceszefów KE pochodzi z małych krajów, które stosunkowo niedawno weszły do UE: Bułgarii, Estonii, Łotwy i Słowacji. Żaden z nich nie będzie

mógł, ani nawet nie będzie chciał, zakwestionować dominującej roli Junckera.

Pikanterii sprawie dodaje, że pochodzący z Niemiec komisarz ds. gospodarki cyfrowej i społeczeństwa [Günther Oettinger – przyp. Kurhaus] musi raportować do wiceprzewodniczącego komisarza ds. jednolitego rynku cyfrowego Andrusa Ansipa. Nie może on rozpoczynać większych projektów samodzielnie. Niektórzy obserwatorzy brukselskiej sceny twierdzą, że jest to zemsta na Angeli Merkel. To zdumiewające, że Juncker w taki sposób traktuje przedstawiciela Niemiec. Jeszcze bardziej zdumiewa, że rząd federalny pozwala się tak traktować.

Fakt, że Juncker obchodzi się ze swymi kolegami z KE jak z uczniami, potwierdził swym wystąpieniem w europarlamencie 28 czerwca 2016 roku – bezpośrednio po Brexicie. Chodziło o zasady przyszłej koegzystencji Wielkiej Brytanii i UE. Rada Europejska określa wytyczne stanowiące ramy dla dalszych szczegółowych rokowań prowadzonych przez Komisję Europejską. Jej wpływ nie jest więc bez znaczenia. Ale Juncker w swej mowie dwukrotnie podkreślił, że zabronił swym komisarzom prowadzenia jakichkolwiek nieoficjalnych rozmów. Nie powiedział, że członkowie Komisji zgodnie ustalili, iż nie będą prowadzić nieformalnych bilateralnych rozmów na temat przyszłej koegzystencji. Nie, tego nie powiedział! On im po prostu zakazał takich rozmów. A oni pewnie jak uczniaki przyjęli to z pokorą. Dlatego zrozumiałe są słowa nazej koleżanki z frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, Vicky Ford, według której zachowanie i arogancja Junckera zapierają po prostu dech w piersiach.

Przynajmniej jedna osoba próbowała przeciwstawić się brukselskim roszczeniom do władzy. Federalny minister finansów Schäuble uważa, że nie do przyjęcia jest fakt, iż Komisja jako strażniczka traktatów, sięga do zakamarków historii i degradowuje rządy narodowe do roli statystów, bo interesy na-

rodowe stanowią rzekomo przeszkodę w realizacji rzeczywistych interesów Europy. Wolfgang Schäuble bezpośrednio po euroszczytce (25-26 czerwca 2015), na którym wszyscy ministrowie finansów strefy euro poza Francją, Włochami, Cyprzem i Grecją głosowali za wykluczeniem Grecji ze strefy euro, dał upust swojej frustracji wobec polityki Junckera. Ów wybuch złości podsyciła jeszcze pewnie uchwała niemieckiej kanclerz i francuskiego prezydenta o tym, że Grecja powinna pozostać w strefie euro za wszelką cenę. Schäuble narzekał, że Komisja nie chce ograniczyć się do roli strażniczki traktatów. Dlatego zaproponował wydzielenie centralnych kompetencji – prawo, prawo konkurencji i nadzór nad budżetem – oraz odstąpienie ich „niezależnym instancjom”. Jednak rządy innych państw członkowskich nie poparły tego kierunku, co więcej, nie zaaprobował go także rząd niemiecki. Za to udzieliły wsparcia Komisji, która dąży do tego, by strefę euro stabilizować nie poprzez twarde reguły, ale przez uwspólnienie zobowiązań. Atak Schäublego potwierdza, że nasze wrażenie, iż Juncker czuje się jakby był europejskim premierem, podzielają także inni.

Legendarne są także aforyzmy i błyskotliwe sformułowania Junckera. W trakcie wystąpienia [w bawarskim parlamencie] w Wildbad Kreuth (1998) poświęconego tworzeniu i kandydaturom do unii walutowej, wypowiedział zdanie, które urosło do rangi anegdoty. Ówczesny premier Bawarii Edmund Stoiber zaprosił tam Junckera, by ten wyjaśnił członkom CSU z jakiego rodzaju ryzykiem fiskalnym może wiązać się rozszerzenie unii walutowej. Stoiber zapytał Junckera wprost, czy należy się spodziewać transferów od bogatszych do biedniejszych państw członkowskich. Juncker odpowiedział: „Transfery w ramach unii walutowej są prawdopodobne jak klęska głodu w Bawarii”.

Stoiber w decydującym głosowaniu w Bundesradzie (28 kwietnia 1998 roku) zacytował tę wypowiedź Junckera z jedną



wszakże uwaga: że klęski głodu w Bawarii doprawdy nie należy się spodziewać. Dlatego też rząd krajowy Bawarii, wcześniej sceptyczny, zagłosował ostatecznie za przystąpieniem Niemiec do unii walutowej w przewidywanym składzie i uzgodnionym terminie. 16 lutego 2016 roku członek rady Europejskiego Banku Centralnego Yves Mersch – rodak Junckera – powiedział całkiem otwarcie i szczerze przed Federalnym Trybunałem Konstytucyjnym: „transfery są częścią unii walutowej”.

Juncker jako przewodniczący eurogrupy zaprzeczał w rozmowach z dziennikarzami, że ministrowie finansów państw strefy euro i przedstawiciele KE odbyli tajne spotkanie poświęcone Grecji (początek maja 2011 roku). Gdy nie udało się tego dłużej trzymać w tajemnicy, stwierdził: „W poważnych sprawach czasem trzeba kłamać”. W swoim raporcie na temat sytuacji Unii z dnia 9 września 2015 roku dał kolejną próbkę swojego specyficznego humoru: „To jest godzina szczerości. Nadszedł właśnie czas większej szczerości”.

Dla Junckera to żadna sprzeczność. W każdym razie, gdy chodzi o usunięcie przeszkód na drodze realizacji idei „więcej Europy” i odpieranie krytyki, która w jego oczach rzuca fałszywe światło na UE. W takich sytuacjach prawdy nie należy traktować zbyt serio. Juncker twierdzi więc, że za zadłużenie Grecji odpowiadają eurosceptycy. Rzekomo to oni właśnie nie pozwolili, by Komisja i Eurostat wzięły pod lupę budżety państw członkowskich – uznając to za niedopuszczalną ingerencję. Argument, że Bruksela coraz bardziej rozszerza swoje wpływy [w Europie] i skupia coraz więcej kompetencji, odpie-  
ra twierdzeniem, że administracja w Brukseli nie jest większa niż ta w Kolonii. Nie wspomina przy tym, że rząd w Kolonii odpowiada za transport miejski i wywóz śmieci. Tymczasem brukselscy urzędnicy jedynie produkują śmieci, które utrudniają życie krajowym rządcom.

Również hucpa nie jest Junckerowi obca. Wmówił nam, parlamentarzystom, że: „Potrzebujemy więcej Europy, po-

trzebujemy więcej Unii, potrzebujemy więcej zasad *fair play* w naszej polityce podatkowej”. Zdumiewający jest fakt, że przewodniczący wiodących frakcji w EP potraktowali te słowa poważnie. Prawdopodobnie uznali, że Juncker w ten sposób postanowił wyciągnąć wnioski ze sprawy optymalizacji podatkowej, która miała miejsce w jego kraju. I wielu mu przyklaskuje.

Potrzebujemy „więcej Europy”, potrzebujemy „więcej Unii” to hasła coraz bardziej scentralizowanej Europy i coraz silniejszej Komisji. Juncker w przypiływie szczerości (w 1999 roku) zdradził jak do tego doprowadzić: „Podejmujemy jakąś decyzję i informujemy o niej, czekając, czy coś się wydarzy. Kiedy nie spotyka się ona z większym sprzeciwem, czy oporem, jako że większość ludzi nie ma pojęcia, co tak naprawdę zdecydowano, działamy dalej – krok po kroku do momentu, gdy nie ma odwrotu”.

Co najmniej tak legendarny jak język Junckera jest jego rytuał powitania. Nie zadowala się on obejmowaniem swoich kolegów, polityków lub znanych osobistości. Szczególnie mocno przyciąga do swojej piersi Alexisa Tsiprasa, obdarowując go francuskimi pocałunkami. Tak, jakby chciał mu powiedzieć: „kiedy Niemcy cię zadręczają, masz we mnie przyjaciela, który niezłomnie przy tobie trwa”. Przyznanie mu greckiego Wielkiego Krzyża Orderu Zbawiciela przyniosło widać należyty efekt<sup>2</sup>. Witając się z kanclerz Niemiec, Juncker kładzie jej swoją prawą dłoń to na prawym, to na lewym ramieniu. Tak, jakby ją upominał i chciał skłonić, by powściągnęła w końcu swojego ministra finansów. Nigela Farage’a, z którym zwykle toczy zażarte spory w PE, ostatnio przytulił do serca. Jednak sam siebie przeszedł witając przewodniczącego PE Martina Schulza. Chwycił go za ramiona, przyciągnął do siebie i pocałował w łysinę. Można było pomyśleć:

<sup>2</sup> Jean-Claude Juncker otrzymał Krzyż Wielki Orderu Zbawiciela, czyli najwyższe odznaczenie greckie, w 2013 r. – przyp. Kurhaus.

„O Boże, co też ten Juncker robi, i to przy pełnej sali plenarnej”. Coś takiego mogłoby się przytrafić komuś w przyływie szaleństwa, i to co najmniej po butelce wina. W przypadku Henkela po dwóch, bo hamburczycy, jak wiadomo, mają przecież mocniejsze głowy.

### ROZDZIAŁ 36. STEROWANY HEGEMON

Warto wspomnieć, że przed utworzeniem europejskiej unii monetarnej dominującą rolę w polityce monetarnej krajów należących do Europejskiego Systemu Walutowego (ESW) odgrywał Niemiecki Bank Federalny (Bundesbank) i marka niemiecka. Wiarygodność niemieckiej polityki pieniężnej zapewniła marce status waluty rezerwowej. Bundesbank stał się natomiast strażnikiem stabilności monetarnej wewnątrz ESW. Kraje, które chciały funkcjonować w ramach systemu, musiały przyłączyć się do polityki Banku Federalnego. ESW charakteryzowała się asymetrycznym procesem decyzyjnym: Bank Federalny wyznaczał kurs, a wszyscy inni się dostosowywali. Przy utworzeniu unii walutowej Niemiecki Bank Federalny stracił pozycję hegemonu. W Radzie Prezesów EBC ma tylko jeden głos, tak samo jak inni. Zresztą – w ramach rotacyjnego systemu głosowania – musi się go regularnie zrzekać. Fakt, że Bundesbank pozwolił to sobie narzucić, pozostaje niewyjaśnioną kwestią. Resortów Komisji Europejskiej jest więcej niż członków Rady Prezesów EBC, a mimo to nikt nie proponuje, by zawiesić w procedurze rotacyjnej prawa głosu Malcie, Cypru czy Niemcom.

Choć państwa członkowskie strefy euro mogłyby pozwolić sobie na zerwanie monetarno-politycznej zależności, te postanowiły ją przekształcić w dużo bardziej niebezpieczną. Dążąc do osłabienia roli Bundesbanku, nie pomyślały, że utracą kontrolę nad dwoma z trzech czynników (płace, stopy procento-

we, kurs wymiany), które decydują o konkurencyjności gospodarki na arenie międzynarodowej. W unii walutowej stopy procentowe i kurs wymiany są elementami polityki pieniężnej wytyczanej przez centralną instytucję. Jeśli dana gospodarka przestała być konkurencyjna, może temu zaradzić tylko poprzez wewnętrzną dewaluację. Oznacza to, że musi ona zaciągnąć pasa, a nieraz i przekroczyć dolinę łez, nie mając wcale pewności, że dotrze do brzegu – i odzyska zdolność do konkutowania na międzynarodowym rynku. Tego właśnie żądają od udręczonych dłużników kraje wierzyciele pod przewodnictwem Niemiec. W tym sensie Niemcy są gwarantem stabilności unii monetarnej. Gdyby rząd federalny powiedział: „No dobrze, wystarczy, nie mamy ochoty na więcej”, unia walutowa byłaby tylko krótkotrwałym epizodem w procesie europejskiej integracji.

Nasza pani kanclerz wzbrania się przed tym, by siła gospodarcza Niemiec została znacjonalizowana w procesie uwspólnotowienia zobowiązań. „Tak długo jak będę kanclerzem, nie będzie świadczeń finansowych bez przeprowadzenia reform”, brzmiało jej motto. Sama jednak przyczyniła się do tego, że polityka jej rządu stała się niewiarygodna – oświadczając, że nie ma alternatywy dla euro. Wypowiedź ta była obliczona na potrzeby wewnętrznej dyskusji w Niemczech, partnerzy europejscy zrozumieli to jednak w sposób następujący:

Angela Merkel nie będzie nalegała na reformy [w zadłużonych krajach], gdyby konsekwencją ich wprowadzenia miało być wyjście [tych krajów] ze strefy euro; prędzej to Niemcy przekroczą czerwoną linię. Ponadto zezwoli lub wręcz będzie promować taką politykę monetarną, która będzie gwarantować utrzymanie strefy euro niezależnie od kosztów. Razem z Wolfgangiem Schäuble Merkel oczyściła drogę Mario Draghiemu, który ogłosił nieograniczony skup obligacji państw, zmuszonych chronić się pod parasolem ratunkowym EMS. Draghi zapowiedział, że działania te będą prowadzone nieza-

leżnie od tego, jak wysokie będą koszty („*whatever it takes*”). Wczesną wiosną 2012 roku istniały tylko dwie możliwości utrzymania strefy euro – euroobligacje lub interwencje EBC.

Politycy wiedzieli, że niemieckie społeczeństwo nie zgodzi się na euroobligacje. Draghi dostał więc zielone światło do działania. Zapowiadaną przez siebie interwencję uzasadnił argumentem, że zakłócona została transmisja impulsów polityki pieniężnej do gospodarki realnej. Dlatego właśnie należało koniecznie sięgnąć po narzędzie jakim jest nieograniczony skup obligacji (*Outright Monetary Transactions*, OMT). Oczywiście ów zakłócony mechanizm transmisji był tylko hasłem mającym ukryć właściwy cel, jakim było utrzymanie spójności strefy euro.

Historia toczy się jednak dalej. Koniunktura w strefie euro nie chce odbić, nie widać specjalnej aktywności inwestycyjnej, a groźba rozpadu unii walutowej wciąż pozostaje realna. Mario Draghi wytacza więc „grubą Bertę”. To popularna nazwa młotowca o niewiarygodnej sile ognia, produkowanego przez koncern Kruppa w czasie I wojny światowej. „Gruba Berta” była nadzieją niemieckiej armii. Draghi zakłada, że nowym programem skupu rządowych obligacji, wykraczającym poza wszelkie wyobrażenia (łącznie 1,6 bln euro) uda mu się utrzymać stopy procentowe na niskim poziomie, wygenerować wzrost gospodarczy i ocelić strefę euro. Stanowisko Angeli Merkel w tej sprawie? Ma ona nadzieję, że nie zwolni to europejskich polityków z odpowiedzialności za przeprowadzanie reform strukturalnych w ich krajach. Cóż za naiwność! Jeśli rentowność obligacji rządowych spadnie do zera pod wpływem programu, po cóż kraje dłużnicy będą miały brać sobie na głowę tak niepopularne programy naprawcze? Gdy nasz minister finansów stwierdził: „daliśmy EBC niezależność”, stanowiło to tylko zachętę dla Draghiego.

Wielu sądziło, że wystawienie „grubej Berty” zakończy sprawę. Nic z tego. Po tym jak hegemon wyraził swoją nie-

mą aprobatę, w milczeniu przytakując wszystkim akcjom Draghiego, dopiero się zaczęło. Program skupu obligacji zostanie rozszerzony o wszystkie możliwe papiery wartościowe, w tym także obligacje korporacyjne. Ujemne stopy procentowe mogą wystawić banki na ryzyko, jakiego nie będą w stanie udźwignąć.

Łatwo wyobrazić sobie katastrofalne skutki tych działań dla towarzystw ubezpieczeniowych, banków, a w szczególności dla średnich i małych przedsiębiorstw i właścicieli depozytów. Draghi postępuje według maksymy: „Jeśli dotychczasowy lek nie zadziałał skutecznie, musimy zaaplikować go w większej dawce”. Jednocześnie ze strony biznesu i nauki płynie coraz więcej głosów ostrzegawczych. Wystarczy przeanalizować artykuły prasowe z wypowiedziami przedstawicieli Bundesbanku, by dostrzec, z jaką troską Bank Federalny śledzi poczynania Draghiego. Pani kanclerz jednak milczy. Prawdopodobnie doradcy mówią jej, że sprzeciw Urzędu Kanclerskiego będzie sygnałem dla rynków, że Niemcy godzą się z rozpadem strefy euro. Jednak skoro nie ma alternatywy dla euro, Merkel powtarza sobie za Christianem Morgensterem: „To, niemożliwe, co nie może być możliwe”. I tak, krok po kroku pani kanclerz musi odchodzić od swoich pierwotnych ustaleń.

Nowe tony dało się za to słyszeć w wypowiedziach Wolfganga Schäublego. Według niego to Mario Draghi jest winny temu, że AfD w Niemczech dostała wiatr w żagle. Ludzie naprawdę poczuli się zagrożeni. Uznał, że musi o tym porozmawiać z Draghim. Być może to nowa strategia pani kanclerz i jej ministra finansów: Angela Merkel sygnalizuje Draghiemu, że jest po jego stronie, a tymczasem Schäuble daje znać opinii publicznej, że nie zgadza się z jego polityką. To pozwoliłoby im upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: utrzymać strefę euro i zarazem zademonstrować opinii publicznej, że nie zamierzają się na nic zgadzać.

Schäuble zapowiedział, że chce rozmawiać z Draghim. Co chce mu powiedzieć? To, czego Draghi od dłuższego czasu słucha od Niemców, szczególnie ze strony Bundesbanku. I z pewnością będzie na to miał odpowiedź: „Niemcy za dużo oszczędzają, stopa inflacji musi wzrosnąć, by mogła odżyć przedsiębiorczość, a poza wszystkim należy podtrzymywać zaufanie inwestorów w spójność strefy euro”.

Jak zareaguje Schäuble? Pewnie odpowie: „Drogi Mario, oczywiście wiem to. Zrozum jednak, muszę wywołać w opinii publicznej wrażenie, że bronimy się przed polityką, która doi naszych ciułaczy i szkodzi klasie średniej”.

Hegemon, który chce utrzymać strefę euro i Grecję w strefie euro, został więźniem swojej idei, według której dla euro nie ma alternatywy. To jest dokładna charakterystyka sterowanego hegemonia. Hegemon suwerenny chciałby obywatele Niemiec i Europy trzymać z dala od niebezpieczeństwa. Staralby się zapobiec implozji lub eksplozji unii walutowej i pozwolić na oddech krajom dłużnikom, poszukując rozwiązania, które nie przeczyłoby prawom ekonomicznym. Koncepcję takiego projektu już przygotowaliśmy.

# CZEŚĆ XI JAKĄ DROGĄ PÓJDZIE EUROPA?

## ROZDZIAŁ 37.

### CZY PO BREXICIE WSZYSTKO WRÓCI DO NORMY?

Jedno ze skrzydeł potężnego kompleksu budynków Parlamentu Europejskiego w Strasburgu nosi nazwę „WIC”. Podobnie jak w Brukseli, również w Strasburgu różne części budynku nazwano imionami „wielkich Europejczyków”. „WIC” oznacza Winstona Churchilla. Uważamy go za rzeczywiście niezwykłego męża stanu, również dlatego, że skutecznie stawiał czoła Hitlerowi. Poszukując w internecie informacji o ewentualnych powodach wyróżnienia Churchilla przez europejskich parlamentarzystów, szybko trafia się na oficjalną stronę Komisji Europejskiej. Fetują go tam jako jednego z pierwszych, „który postulował utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy”.

Komisja odwołuje się przy tym do słynnej mowy Churchilla na uniwersytecie w Zurychu wygłoszonej 19 września 1946 roku, a więc półtora roku po zakończeniu II wojny światowej. „Musimy stworzyć coś na podobieństwo Stanów Zjednoczonych Europy”, powiedział, łącząc wielkie cele: niemiecko-francuskie pojednanie i utworzenie Rady Europy.

Znamienne jest, że Komisja, prezentując Churchilla jako adwokata „coraz ściślejszej Unii” [„*ever closer Union*”], pomija to, że w swoim przemówieniu mówił on o przyszłej współpracy takiej Europy z „potężną Ameryką, Rosją sowiecką i... Wielką Brytanią”. Europejscy historycy w Brukseli najwyraźniej świadomie zlekceważyli fakt, że Churchill w tej i kolejnych wypowiedziach nie traktował Rosji i Wielkiej Brytanii jako części Europy. Wyspy Brytyjskie uważał za samodzielny



twór. Oczywiście, Churchill opowiadał się za daleko idącą współpracą z Europą, ale nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że Wielka Brytania powinna zrezygnować ze swojej państwowej suwerenności.

Również Margaret Thatcher wielokrotnie jednoznacznie wyjaśniała, że Europa nie może być celem samym w sobie i wspólnie powinna czynić tylko to, czego jej państwa nie mogą samodzielnie lepiej wykonać. Wszyscy kolejni premierzy brytyjscy zwracali uwagę, by Bruksela respektowała zasady subsydiarności, samodzielnej odpowiedzialności i konkurencyjności między europejskimi narodami i nie stwarzała dla nich zagrożenia poprzez centralizm, próby uwspólnotowienia narodowego ryzyka lub harmonizację. Brytyjczycy i Duńczycy zadbali o to, by w traktacie z Maastricht zapisano klauzulę *opt-out* stwierdzającą, że ich kraje nie muszą być członkami unii walutowej. W kwestii przyjęcia euro Duńczycy głosowali na „nie”, a rząd brytyjski w ogóle nie ogłosił referendum w tej sprawie. Godne uwagi jest, że Szwedzi nie zgodzili się w referendum na przystąpienie do unii walutowej. Jest to sprzeczne z traktatem, a mimo to Komisja Europejska, strażnik traktatów, nie zaprotestowała. Dlaczego? Najwyraźniej dla Brukseli nie ma znaczenia, czy Szwecja jest członkiem unii walutowej. Uznali tam chyba, że skoro Szwedzi nie chcą być w eurozone, to nie muszą. Wielka Brytania nie przystąpiła do Układu z Schengen zapewniającego swobodę ruchu osobowego. Brytyjczycy chcieli bowiem wiedzieć, kto przybywa do ich kraju. W rozdziale tym wyjaśnimy, dlaczego to właśnie niemieccy politycy, poprzez ratowanie euro, a także ze względu na swoją postawę wobec uchodźców, wypędzają Brytyjczyków z UE, mimo że Wielka Brytania nie należy ani do strefy euro, ani do strefy Schengen.

„23 czerwca 2016 roku już niemal słyszeliśmy, jak w Brukseli najważniejszym politykom z Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego spada kamień z serca. Kamień? To musiał

być potężny kawał skały” – takie zdanie sformułowaliśmy, pisząc pierwszą wersję tego rozdziału. Było to na kilka dni przed brytyjskim referendum w sprawie wyjścia z UE<sup>1</sup>. Podobnie jak londyńscy bukmacherzy i większość mediów nie spodziewaliśmy się tego, co nastąpiło. Naprawdę żałujemy, że musimy dostosować ten rozdział do rzeczywistości. Należy jednak wyciągnąć z wyników brytyjskiego referendum właściwe wnioski. Pierwsze reakcje przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude’a Junckera i przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Martina Schulza przyniosły efekt całkowicie odmienny od zamierzonego. Tuż po ogłoszeniu wyników referendum wezwali oni Brytyjczyków do możliwie jak najszybszego opuszczenia ich klubu. Chcieli zademonstrować wyspiarzom, kto tu jest silniejszy. To chyba najgorsza metoda kształtowania przyszłych relacji.

Brytyjski premier David Cameron podjął wielkie ryzyko, decydując się na ogłoszenie plebiscytu, w którym wyborcy mieli zdecydować, czy chcą pozostać w Unii Europejskiej, czy też wolą szukać szczęścia poza nią i bez domniemanego błogosławieństwa UE. Od początku było to niebezpieczne dla niego samego. Już kilka godzin po opublikowaniu wyników plebiscytu ogłosił rezygnację ze stanowiska premiera rządu. Zdaniem większości naszych brytyjskich kolegów z frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR) w Parlamencie Europejskim największe szanse na objęcie funkcji nowego przewodniczącego Partii Konserwatywnej i fotela szefa rządu miał były burmistrz Londynu Boris Johnson. Wycofał się on jednak z wyścigu i otworzył drzwi dla Theresy May. Pani premier skompletowała gabinet, który miał skleić pęknięcie, jakie powstało między frakcją konserwatystów w Izbie Gmin a samą partią, mianując przywódców zwolenników Brexitu, Borisa Johnsona i Davida Davisa, na stanowi-

<sup>1</sup> Referendum, w którym Brytyjczycy zdecydowali o wyjściu z UE, odbyło się 23 czerwca 2016 r. – przyp. Kurthaus.

ska ministra spraw zagranicznych i ministra ds. wystąpienia Wielkiej Brytanii z UE.

W swoich reakcjach politycy z UE nie stronili od pouczeń i protekcjonalizmu, co tylko utwierdziło zwolenników Brexitu w ich poglądach. Sięgnijmy po kilka takich wypowiedzi. Przewodniczący Parlamentu Europejskiego Martin Schulz uważał, że godne pożałowania jest kontynuowanie tego, co – jego zdaniem – było niechlubnym punktem wyjścia do referendum. Powiedział: „W centrum zmiany politycznego kierunku nie stoi dobro narodu, lecz partyjna kalkulacja”.

Zdaniem szefa frakcji SPD Oppermanna, „podpalacza Borisa Johnsona mianowano na szefa straży pożarnej”. Jedynie minister finansów Schäuble wykazał się należyłą orientacją i spokojem. Jak powiedział, Niemcy wiedzą z doświadczenia, że „w trakcie kampanii wyborczej pojawiają się wypowiedzi, które dzień po zapadnięciu demokratycznego rozstrzygnięcia odkłada się do akt i zapomina o nich”.

Sama zmiana rządu nie jest niczym złym, w końcu jest ona czymś naturalnym w demokracji. Jednak już sama zapowiedź referendum o wyjściu Wielkiej Brytanii z UE miała polityczne reperkusje w innych krajach europejskich i w Brukseli; będziemy jeszcze o nich mówić. Dzięki niej dowiedzieliśmy się też wiele nowego.

### **ROZDZIAŁ 38. REFERENDUM UKAZUJE KORZYŚCI PŁYNĄCE Z PLEBISCYTÓW**

W okresie poprzedzającym referendum zaobserwowaliśmy zarówno u naszych brytyjskich kolegów z frakcji ERK, jak i na brytyjskiej scenie mobilizację niespotykaną w niemieckiej polityce. Wyobraźmy sobie, że Niemcy mieliby głosować w referendum dotyczącym polityki Angeli Merkel wobec uchodźców („górną granicą albo nic”) bądź euro. Niemcy z pewno-

ścią skorzystałoby na możliwości wysłuchania argumentów wygłaszanych, w mniej lub bardziej elokwentny sposób, w trakcie kampanii poprzedzającej głosowanie. Zwolennicy „za” i „przeciw” musieliby, broniąc swoich pozycji, angażować się w dyskusje przed kamerami telewizyjnymi, na rynkach niemieckich miast i oczywiście w Bundestagu, podobnie jak musieli czynić to brytyjscy zwolennicy wyjścia z UE [*Brexiters*] i ich przeciwnicy [*Remainers*]. Politycy by wyjaśniali, a obywatele by się uczyli. Ci drudzy staliby się beneficjentami wielkiej kampanii informacyjnej. Ba, wielu z nich mogłoby wręcz zostać ekspertami w dziedzinie skomplikowanego prawa azyloвого, zasad polityki imigracyjnej i praktyki, jaka w tej materii panuje w innych krajach. A także specjalistami ds. uzasadniania pakietów ratunkowych dla Grecji. Również mieszkańcy Wielkiej Brytanii w przededniu głosowania wiedzieli o wiele więcej niż kilka miesięcy wcześniej na temat korzyści i strat wynikających z bycia „za” i „przeciw” wyjściu z UE. Włączenie w tę kwestię wyborców w dużej mierze przyczyniło się do uświadomienia obywateli.

Jeśli jednak, tak jak to się dzieje w Niemczech, pozostawia się wszystkie ważne decyzje wąskiej politycznej elicie, to trudno mieć później pretensje, że niemieckim wyborcom brakuje wiedzy. Nic więc dziwnego, że partie boją się referendum jak diabeł święconej wody. Proste recepty lub zaklęcia, że nie ma alternatywy dla kierunku, w którym podążamy, łatwiej się forsuje, mając wokół nieuświadomionych wyborców, niż takich, którzy dzięki własnemu rozsądkowi potrafią porównać polityczne programy. Referenda, a jesteśmy o tym przekonani, ustrzegłyby nasz kraj przed wprowadzeniem euro lub – naszym zdaniem – nieodpowiedzialną polityką wobec uchodźców.

Przy tej okazji rzućmy okiem na Szwajcarię. Już sam fakt, że przy każdym ważnym temacie Szwajcarzy wzywani są do urn wyborczych, przyczynia się, naszym zdaniem, do znacz-

nie większego stopnia świadomości mieszkańców tego kraju. I tak na przykład, przeważającą większością głosów Szwajcarzy wypowiedzieli się przeciwko wprowadzeniu płacy minimalnej zagrażającej przede wszystkim miejscom pracy dla młodych i niezbyt wykwalifikowanych ludzi, a także przeciwko bezwarunkowemu, finansowanemu przez państwo dochodowi gwarantowanemu.

Gdyby podobne pytania zadać teraz Niemcom, wynik takiego referendum z pewnością byłby odwrotny. Dlaczego? Bo Niemcy nie są przyzwyczajeni do zajmowania się przy urnie wyborczej porównywaniem różnych propozycji rozwiązań konkretnych problemów. Głosują na partie polityczne i ich ogólnikowe programy. Już choćby z tego powodu sądzimy, że również w Niemczech konieczne jest stopniowe przyzwyczajanie wyborców do plebiscytów. W trakcie dyskusji na temat Brexitu nie tylko Brytyjczykom, ale także nam, autorom tej książki, przedstawiono argumenty, których nigdy byśmy nie poznali, gdyby Cameron nie ogłosił referendum.

### **ROZDZIAŁ 39.**

#### **WIELKA BRYTANIA ODCZUJE BREXIT W MNIEJSZYM STOPNIU NIŻ UNIA EUROPEJSKA**

Tak jak zwolennicy euro w Niemczech – wraz z Angelą Merkel i jej hasłem: „Jeśli euro poniesie klęskę, poniesie ją również Europa” – starają się zdławić każdą krytykę europolityki, tak również w Wielkiej Brytanii zwolennicy pozostania w UE napędzali strachu obywatelom przed Brexitem. Dziwiły nas argumenty, jakich przeciwnicy wyjścia Wielkiej Brytanii z UE używali nie tylko w tym kraju, lecz przede wszystkim w Brukseli i Strasburgu. Stale twierdzili, że po opuszczeniu UE gospodarka brytyjska straci dostęp do wewnętrznego europejskiego rynku albo przynajmniej stanie się on dla niej trudniejszy.

Ten argument jest całkowicie pozbawiony podstaw. Dostęp do wewnętrznego rynku unijnego mają przecież także inne nienależące do UE kraje, jak Szwajcaria czy Norwegia. Dlaczego akurat Brytyjczykom miałby on być wzbroniony? A skoro UE pełną parą pracuje nad układami o wolnym handlu z USA (TIPP) i Kanadą (CETA), to czemu nie może być w stanie zawrzeć podobnego paktu z Wielką Brytanią po jej odejściu ze Wspólnoty? Poza tym należy przypomnieć, że to Niemcy odnoszą większe korzyści z brytyjskiego rynku niż Brytyjczycy z niemieckiego. Co drugi kupiony w Wielkiej Brytanii samochód pochodzi z Niemiec! W ubiegłym roku Niemcy wyeksportowały na Wyspy towary i usługi o wartości 89 mld euro. Tym samym Wielka Brytania jest trzecim odbiorcą naszego eksportu na świecie.

Dyskusja o Brexicie jeszcze raz pokazała, że najważniejszym osiągnięciem europejskiej współpracy jest rynek wewnętrzny, a nie inne czynniki związane z hasłem „więcej Europy”, takie jak jednolita waluta, wspólna polityka socjalna lub europejska polityka podatkowa.

Skoro dziś największym rynkiem eksportowym dla Niemiec są Stany Zjednoczone, które przecież nie należą do UE, to równie dobrze UE może pozostać najważniejszym partnerem Wielkiej Brytanii, gdy będzie ona już poza Unią. Wraz z naszymi kolegami z partii ALFA będziemy w Brukseli i Strasburgu dokładać wszelkich starań, aby tak się stało.

Przeciwnicy Brexitu twierdzili w kampanii przed referendum, że międzynarodowe firmy porzucą swoje lokalizacje w Wielkiej Brytanii na rzecz nowych na kontynencie. Także ten argument wydaje się nam całkowicie wyssany z palca. Dlaczego Nestle od dziesiątków lat ma swoją siedzibę w Szwajcarii? Dlaczego przeniesiono tam centralę ABB po połączeniu ASE i BBC? Decyzję o lokalizacji, czy to fabryki, centrali firmy, czy też centrum badawczego, większość racjonalnie myślących przedsiębiorców podejmuje w odniesieniu do

istniejących tam warunków. Wyjście Wielkiej Brytanii z UE nie musi automatycznie prowadzić do pogorszenia się warunków związanych z lokalizacją, takich jak większe koszty pracy i administracji czy wysokość podatku od osób prawnych. Raczej będzie odwrotnie; na podstawie tego, czego byliśmy do tej pory świadkami w Brukseli i Strasburgu, należy założyć, że te realia staną się jeszcze lepsze w Wielkiej Brytanii, gdy pozbawiona będzie brukselskiej opieki. Dlatego nie jest niespodzianką, że choć zdecydowana większość brytyjskich przedsiębiorców opowiadała się za pozostaniem w UE, to dość spokojnie obserwują oni Brexit. Z sondażu przeprowadzonego wśród 102 najważniejszych menedżerów w Wielkiej Brytanii wynika, że ponad 60 proc. z nich nie spodziewa się wystąpienia drastycznych skutków Brexitu. Mgliste zapowiedzi niektórych firm, jakoby miały one rozważyć przeniesienie swoich siedzib z Wysp na kontynent, uważamy za mało wiarygodne. Mają one wyrzucić presję na przyszły rząd brytyjski, by jednak poszukał sposobu na pozostanie kraju w UE.

W dyskusjach na temat Brexitu nieustannie dostrzegaliśmy, że gdy zwolennikom pozostania w UE kończyły się argumenty ekonomiczne, przerzucali się na politykę bezpieczeństwa. Także w tych kwestiach nie mogliśmy ich zrozumieć. David Cameron twierdził nawet, że jeśli dojdzie do Brexitu, Brytyjczycy stracą gwarancje bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii gwarantuje NATO, a nie UE. Nie słyszeliśmy, aby Norwegia, która jest wprawdzie w NATO, ale nie w UE, kiedykolwiek narzekała, że jej bezpieczeństwo nie jest wystarczająco zagwarantowane tylko z tego powodu, że nie została członkiem wspólnoty europejskiej.

Po wygranym przez zwolenników Brexitu referendum będziemy teraz ze wszystkich sił angażować się na rzecz dokończenia przez UE budowy wewnętrznego rynku i zerwania przez nią kajdan wspólnej waluty. Im bardziej UE będzie odchodzić od ideologii centralizmu, harmonizacji i uspołecz-

nienia długów banków i państw, tym bardziej Wielka Brytania zacznie się do niej przybliżać. Jeśli się to nie uda, trzeba będzie ruszyć w stronę Dexitu<sup>2</sup>.

Opuszczająca UE Wielka Brytania to naszym zdaniem „jedno z ostatnich państw wykazujące zdrowy rozsądek”. Jeśli Juncker, Schulz, Schäuble, Merkel i spółka będą nadal prowadzić taką politykę jak do tej pory, także inne kraje wezmą nogi za pas. Za sprawą hasła „tylko tak dalej” jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę Francji. Jedynym rozsądnym wyjściem jest dla nas sprowadzenie UE do jej korzeni, do idei europejskiego rynku wewnętrznego. Tylko dzięki wyjściu Niemiec, a jeszcze lepiej dzięki urealnieniu groźby, że to zrobią, można będzie ponownie wprowadzić Wielką Brytanię do zdecentralizowanej, subsydiarnej i ponoszącej samodzielną odpowiedzialność UE. Może to brzmi paradoksalnie, ale efektem Brexitu może być w dłuższej perspektywie czasowej mniej pogłębiona, ale za to poszerzona UE, do której jej mieszkańcy będą mieć większe zaufanie.

#### **ROZDZIAŁ 40.** **JAK ANGELA MERKEL STAŁA SIĘ** **WSPÓŁODPOWIEDZIALNA ZA BREXIT**

Także zwolennicy Brexitu nie zawsze używali szczerych argumentów. Straszili, że jeśli Wielka Brytania nie zrezygnuje z członkostwa w EU, to nawiedzi ją demon niekontrolowanej imigracji. Wielka Brytania ze słusznych powodów nie przystąpiła do Układu z Schengen. Rząd Wielkiej Brytanii, będącej członkiem UE, mógł w samym centrum kryzysu migracyjnego zachować kontrolę nad tym, kto wjedzie do tego kraju i wskazać w tłumie tych imigrantów, którzy przyniosą mu korzyść. W polityce Angeli Merkel to uchodźcy sami wybierają sobie kraj, w którym zamieszkają, a większość

<sup>2</sup> Dexit – opuszczenie strefy euro przez Niemcy – przyp. Kurthaus.



z nich podąży bez przeszkód do Niemiec.

Mimo to polityka imigracyjna w ostatnich tygodniach dyskusji o Brexicie zepchnęła w cień wszystkie inne tematy. W ten sposób polityka Merkel wobec uchodźców stała się wielkim problemem *Remainers*. Sondaże na Wyspach pokazały, że wraz ze zbliżaniem się terminu głosowania, temat uchodźców coraz bardziej opanowywał debatę publiczną.

Zastanawialiśmy się, czy Angela Merkel zdaje sobie sprawę, iż jej polityka zapewniła zwolennikom Brexitu tak potrzebne im ostatnie kilka procent głosów. Oczywiście, w Londynie i w Berlinie zawsze zdecydowanie wypowiadała się przeciw Brexitiowi. Popierała Camerona w jego wysiłkach zapewnienia Brytyjczykom w przyszłości nieco większego dystansu do UE. Z całych sił starała się także o to, by Cameron ze swoim „czteropunktowym programem” sprawiał u siebie w kraju wrażenie, iż w najważniejszych punktach postawił na swoim w Brukseli. W rzeczywistości jednak Angela Merkel ze swoją polityką w kwestii euro i uchodźców stała się najważniejszym sojusznikiem Brexiterów. Brytyjczycy zareagowali szybciej niż Niemcy na zmieniające się zdjęcia uchodźców, które widzieli na ekranach swoich telewizorów. Podczas gdy ARD i ZDF dumnie i jednostronnie informowały o nowych sympatycznych Niemcach trzymających w rękach transparenty z napisem „Refugees Welcome”, BBC od dawna pokazywała zdjęcia ogromnej fali uchodźców przemierzających się w kierunku Niemiec i analizowała ich wpływ na politykę reszty Europy.

Farage, Johnson i inni zwolennicy Brexitu dostali do ręki niepodważalny argument. Twierdzili, że uchodźcom zwabionym wprowadzoną przez Merkel kulturą powitania obiecano niemieckie obywatelstwa, bo – sugerowali – jakież inny cel mogłaby mieć tak często wspomnianą integracją? A mających w kieszeni niemiecki paszport przybyszów nikt nie mógłby przecież powstrzymać przed osiedleniem się na Wyspach.

Charles Tannock, nasz kolega z frakcji torysów w Parlamencie Europejskim, trafił w dziesiątkę, mówiąc: „Gdyby Angela Merkel wyszła naprzeciw Wielkiej Brytanii choć w połowie tak jak zrobiła to w przypadku Grecji, Brexitu udałoby się uniknąć!”.

## ROZDZIAŁ 41.

### EURO JAKO JEDNA Z PRZYCZYN BREXITU

Ten tytuł może wywołać zdumienie. Co ma wspólnego euro z życzeniem wielu Brytyjczyków, którzy pragnęli opuścić UE? Brytyjczycy mogli przecież zachować funta szterlinga w roli swojej narodowej waluty. Mieli też klauzulę *opt-out* zapewniającą, że nigdy nie będą zmuszeni do przyjęcia euro. Zresztą na Wyspach nie ma żadnej politycznej siły i prawie żadnego polityka, który angażowałby się na rzecz wprowadzenia euro.

Mimo to doszliśmy w Brukseli do przekonania, że euro jest jedną z głównych przyczyn rosnącego zmęczenia Europą wśród Brytyjczyków. Chociaż ówczesna premier Margaret Thatcher wytargowała dla Brytyjczyków specjalny rabat („*I want my money back!*”), pozostali oni mimo to jednym z największych płatników netto do unijnej kasy. Po ich odejściu z Unii te składki będą musiały płacić inne kraje członkowskie. Nietrudno zgadnąć, o kim myśli Komisja Europejska i większość szefów rządów. Wiedział to już Helmut Kohl. „Zawsze, gdy UE znajdzie się w finansowych tarapatach, wszyscy patrzą na mnie”, powiedział kiedyś.

Bernd Kölmel, nasz kolega z frakcji EKR, informując nas o przebiegu posiedzenia komisji budżetowej, powiedział, że to właśnie przedstawiciele EPL obstawali przy tym, by nie zmniejszać preliminarzy budżetowych o sumę równą utraconej brytyjskiej wpłacie netto do kasy unijnej. Prawdopodobnie zostaną poproszeni o złożenie propozycji, skąd wezmą środki na wyrównanie tej luki.

W maju 2010 roku, gdy anulowano zapis o nieprzejmowaniu zobowiązań finansowych zapisany w traktacie z Maastricht, tworząc pierwszy pakiet pomocowy [dla Grecji], ani wśród konserwatystów, laburzystów, ani wśród liberałów nie było poważnych dążeń do opuszczenia UE. Oczywiście istniała partia krytycznie nastawiona do Europy, United Kingdom Independence Party (UKIP), ale nie odgrywała ona żadnej znaczącej roli. W wyborach do Izby Gmin w 2010 roku uzyskała zaledwie 3,1 proc. głosów i nie zdobyła ani jednego mandatu.

Zaledwie trzy lata później obraz był już zupełnie inny. W wyborach komunalnych w 2013 roku UKIP uzyskała nagle 23 proc. głosów, a w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 roku już ponad 27 proc. i wprowadziła do niego 24 posłów, tworząc największą brytyjską grupę posłów w Brukseli, względnie w Strasburgu.

Co w tak krótkim czasie doprowadziło do dramatycznego przełomu w sytuacji UKIP? Co skłoniło Davida Camerona do złożenia w 2015 roku w Izbie Gmin obietnicy przeprowadzenia referendum? Dlaczego na Wyspach nagle tak bardzo zmieniło się nastawienie do członkostwa w UE?

Doszliśmy do zdecydowanego przekonania, że fatalne wrażenie na Brytyjczykach wywarły nie tylko informacje o licznych akcjach pomocowych, wielu nocnych posiedzeniach, kryzysowych szczytach poświęconych euro, Europie, Grecji, Hiszpanii, Portugalii, Irlandii i Cypru, ale przede wszystkim przepisana przez Merkel, Schäublego, Junckera i spółkę recepta na „więcej Europy!”. Zdziwieni Brytyjczycy byli świadkami coraz to nowych propozycji, które w żaden sposób nie pokrywały się z traktatem z Maastricht, traktatem z Lizbony ani z ich własnym wyobrażeniem o „Europie ojczyzn” (Charles de Gaulle). Widzieli, jak na kontynencie „dla ratowania euro” w miejsce przejrzystej zasady subsidiarności zapisanej w traktacie z Lizbony sięga się po centra-

lizm. I bali się, że będą musieli ponosić skutki zmiany strategii europejskiej.

Merkel, Schäuble i Juncker stale odwracali kota ogonem, twierdząc, że przyczyną cierpień związanych z euro jest „zbyt mało Europy”. Twierdzili, że należy wprowadzić europejski podatek, który pozwoli stworzyć europejski budżet, powołać europejskie ministerstwo gospodarki i finansów. I tak dalej. Szczytem wszystkiego była wypowiedź Schäublego, który zaproponował, żeby utworzyć stanowisko „prezydenta Europy”, którego będzie wybierać „naród europejski”. Nie wiemy oczywiście, czy to ta propozycja sprawiła, że kapituła „Międzynarodowej Nagrody Karola Wielkiego” zdecydowała o przyznaniu mu tego wyróżnienia; z pewnością mu w tej kwestii nie zaszkodziła.

Propozycja Schäublego zdumiała nie tylko Niemców. Do tej pory nie słyszeli, by na przykład wypowiedział się za bezpośrednim wyborem przez naród prezydenta federalnego. A Brytyjczycy zdumieni byli szalejącym centralizmem i szaleństwem harmonizacji, jaki z konieczności musiał nastąpić wskutek wprowadzenia jednolitej waluty.

Nie, Brytyjczycy nie obstawiali czegoś takiego. Nic dziwnego, że Nigel Farage i jego wroga Unii Europejskiej partia mogli nadziewać na swój rożen wiele podanych im na srebrnej tacy przykładów „rozpasanego centralizmu”. Słusznie, gdyż Wielka Brytania zauważyła, że nagle należy do klubu, który stosuje się do innych reguł niż te, które obowiązywały, gdy do niego wstępowała. Dlatego nawet taki zwolennik Unii suwerennych państw jak David Cameron nie widział innej drogi, jak ucieczka do przodu i ogłoszenie referendum.

W ostatnich tygodniach przed decyzją zauważyliśmy u wielu polityków europejskich objawy strachu, a nawet paniki. Ostrzeżenia polityków z Brukseli i europejskich stolic przed katastrofalnymi skutkami Brexitu były tylko wodą na młyn Brexiteursów. Przed referendum Juncker w jednym z wy-

wiadów wyznał, że zawsze, gdy mówił o Brexicie, zachowywał powściągliwość, do której w jego wydaniu ludzie nie byli przyzwyczajeni. Przyznał, że wie, iż Komisja Europejska nie cieszy się popularnością w Zjednoczonym Królestwie. Dodał: „Jeśli chodzi o konsekwencje Brexitu, to powiedziałem, że deserter nie zostanie przyjęty z otwartymi ramionami”.

Jeden z kolegów we frakcji EKR na pytanie, jak ta wypowiedź brzmi w uszach Brytyjczyka, odparł: „W obliczu wielkiej daniny krwi brytyjskich żołnierzy w obu wojnach światowych te słowa będą jeszcze długo pobrzmiwać w naszych uszach”.

W tym samym wywiadzie Juncker zresztą przyznał: „Zbyt dużo Europy zabije Europę!”. Po tych słowach Henkel nie mógł się oprzeć, by nie przypomnieć na Facebooku, że Juncker sam jest gorliwym grabarzem.

Przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk przypisał winę za rosnący sceptycyzm wobec Europy i „kryzys z Brexitem” utopiom „europejskiej elity”. Kierował te słowa wyraźnie pod adresem Komisji Europejskiej, zapomniał jednak, że jako część tej elity sam do niedawna entuzjastycznymi euromantycznymi wypowiedziami przyczynił się do rosnącego sceptycyzmu wobec Europy.

## ROZDZIAŁ 42. CO DALEJ?

Najbardziej, naszym zdaniem, przekonującym argumentem przeciwko Brexitowi zarówno z brytyjskiego, jak europejskiego i niemieckiego punktu widzenia był ten o skoku w niepewność. Gdy Cameron, stojąc na tle drzwi swojej siedziby (Downing Street 10) w Londynie ogłaszał datę referendum i przedstawiał swoje zalecenia, mówił o ryzyku „*leap in the dark!*”. My również nie byliśmy w stanie przewidzieć, co się stanie, gdy Brytyjczycy zdecydują o Brexicie.

Jedno wydaje się nam pewne: Unia Europejska uległa dramatycznej zmianie. Który kraj opuści „*ever closer Union*” jako następny? Finlandia, z jej wyobrażeniem, że z euro już teraz znajduje się w gorszej sytuacji niż Szwecja i Dania, w których wspólnej waluty nie ma? I że może opuścić unię walutową, tylko jeśli wcześniej wystąpi z UE? A może będą to Włochy, które w kontekście dominującej pozycji Angeli Merkel w strefie euro mówią o „Il Quattro Reich” [„IV Rzeszy”]?

Przyznajemy, że po Brexicie nie jesteśmy nieszczęśliwi. Czy nie doprowadzi to w końcu do przemyślenia obecnej polityki europejskiej i z konieczności do nowej oceny sensu utrzymywania wspólnej waluty? Jesteśmy zdania, że niewielka przewaga, jaką uzyskali zwolennicy Brexitu, zobowiązuje wszystkich europejskich polityków do ostatecznego rozstania się z projektem „Stanów Zjednoczonych Europy” i przygotowania do uporządkowanego wyjścia ze strefy euro.

## CZEŚĆ XII

# DLACZEGO NIEMCY TO AKCEPTUJĄ? TERAPIA

Duńska pisarka Janne Teller wiosną 2016 roku w felietonie zamieszczonym we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” opisała swoje odczucia wobec Niemiec i Europy. Tekst zatytułowała: „Co spowodował ciężar historii”. Choć jej mama urodziła się i dorastała w Austrii, a dziadek był emigrantem z Niemiec, Teller w młodości mówiła wyłącznie po duńsku. A przecież ona i jej siostry mogły dobrze mówić po niemiecku lub posługiwać się dwoma językami.

Teller podejrzewa, że wraz z siostrami mogłyby dorastać, używając dwóch języków, gdyby tym drugim nie był niemiecki. „Historia kładzie się długim cieniem”, pisze. Wspomina, że mieszkańcy Danii byli wrogo nastawieni do „samej myśli o niemieckości”. Gdy koledzy z klasy jej dokuczali, bywało, że nazywali ją „Tyskertos” – niemiecką dziwką [kolaborantką].

Potem, gdy chodziła do gimnazjum i studiowała na uniwersytecie, ignorowała Niemcy. Kojarzyły jej się jedynie z nudą, jaka towarzyszy podróżom długą autostradą ku „właściwej Europie”. Posługiwała się sformułowaniem „niemiecki tunel” na określenie tej trasy, wyrażając tym samym swoją niechęć do niej. Gdy była na praktykach w Brukseli, odkryła, że na tamtejszych „korytarzach” nie może odnaleźć poczucia własnej tożsamości. Choć żadna z osób, które spotkała, nie przejawiała skłonności do obciążania młodego pokolenia Niemców winą za zbrodnie ich dziadków, zauważyła, iż „nie zawierano z Niemcami bliskiej przyjaźni tak łatwo jak z młodymi ludźmi innych narodowości”.

Dunka o austriacko-niemieckich korzeniach jest pewna, że Niemcy dźwigają „ciężar historii w imieniu wpisanego do

ich paszportu narodu”. Zwraca uwagę, że współczesne Niemcy poczuwają się do odpowiedzialności za wojenne zbrodnie na każdym kroku. Píše, że „potrzeba pokuty wobec sąsiadów zakorzeniona jest nie tylko w narodowej tożsamości, lecz w każdym aspekcie codziennego życia”.

Wprawdzie podkreśla pozytywne znaczenie istnienia licznych monumentów i pomników pamięci, berlińskiego Pomnika Pomordowanych Żydów Europy oraz tego, że wciąż organizuje się uroczystości i wiesza tablice odlewane z mosiądzu, krytykuje jednak fakt, że w Niemczech nie podjęto praktycznie żadnej politycznej decyzji, przy której nie odwoływano by się do szczególnej odpowiedzialności ciążącej na tym kraju.

„Oczywiście narodowego socjalizmu nie da się porównać z niczym w obliczu samego rozmiaru zaprowadzonego przezeń terroru. Gdybyśmy jednak zapytali mieszkańców Konga o ich przemyślenia na temat rządów króla Leopolda II<sup>1</sup>, które kosztowały życie prawie 10 milionów ludzi (co – według szacunków wielu badaczy odpowiadało połowie ludności tego kraju), czy wówczas nie powinno przyjść nam na myśl porównanie z Niemcami? Powinno. Przynajmniej w odniesieniu do pokuty, jaką powinni dostać Belgowie”.

Rzeczywiście – obaj autorzy tej książki od dwóch lat mieszkają w Brukseli. I jeszcze nigdy nie dostrzegli tu choćby najmniejszego znaku odnoszącego się do tamtych okropnych czynów. Choć Turcja zaprzecza ludobójstwu Ormian, obaj zagłosowali w Parlamencie Europejskim za przyjęciem rezolucji, która przypomina o tej zbrodni.

Janne Teller w swoim tekście wysnuła następujący wniosek: „Niemieckie reparacje pozostają czymś unikalnym w historii świata. Można by więc teraz, po 70 latach, gdy przy ży-

<sup>1</sup> Leopold II Koburg był królem Belgii w latach 1865-1909. Zasłynął brutalnym eksploatowaniem afrykańskiego Konga, z którego wywoził kauczuk i kość słoniową. Przemoc, którą jego ludzie stosowali wobec wykorzystywanej do niewolniczej pracy ludności kongijskiej, była powodem śmierci ok. 10 mln osób. Wstrząsające tego świadectwa odnaleźć można w książkach takich jak *Marzenie celta* Maria Vargasa Llosy czy *Jądro ciemności* Josepha Conrada – przyp. Kurhaus.



ciu nie pozostał już prawie żaden sprawca, spróbować zadać sobie pytanie: Do czego potrzebne jest to nieustanne przypominanie sobie winy, pokuta i poczucie odpowiedzialności?”.

Twierdzimy, że tekst duńskiej pisarki jest godny uwagi z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ wykazuje ona, że sposób radzenia sobie z kryzysem migracyjnym „ujawnia prawdziwy zakres humanitaryzmu w debacie publicznej, polityce i czynach poszczególnych europejskich państw”. Autorka wyraża się z podziwem o prowadzeniu Niemiec w europejskim rankingu humanitaryzmu, zarazem krytykując postępowanie innych rządów, w tym swojego, duńskiego.

Po drugie, Teller ubolewa wprawdzie nad śmiercią ponad 8 tysięcy uchodźców, którzy utonęli w Morzu Śródziemnym od 2013 roku, jednak nawet nie zbliża się do formułowania tezy, że część z nich porzuciła skromne, ale bezpieczne obozy w niezagrożonych walkami rejonach świata i naraża życie tylko dlatego, że Merkel ich do siebie zaprosiła.

Janne Teller słusznie twierdzi, że Niemcy odrobili lekcje z historii i nie uchylają się od odpowiedzialności za dokonane w ich imieniu zbrodnie. Píše na zakończenie: „Tego nigdy nie da się wymazać z pamięci”. Dyplomata Wolfgang Schultheiss<sup>2</sup>, doskonale orientujący się w opiniach, jakie mają o Niemczech zagraniczni obserwatorzy, w liście do „Frankfurter Allgemeine Zeitung” napisał: „Bezsporne stało się, że «wina» jest moralną i prawną kategorią odnoszącą się do jednostki”. Należy przypomnieć w tym miejscu, iż nawet prezydent Niemiec Richard von Weizsäcker w słynnym przemówieniu z 8 maja 1985 roku odrzucił pojęcie „zbiorowej winy”, lecz mówił o tym, że „wszyscy ponosimy odpowiedzialność”. Także jego następca na tym stanowisku, Horst Köhler, przemawiając w Knesecie, podkreślił, że Holocaust wprawdzie jest elementem „tożsamości Niemców”, ale „nie w sensie osobistej

<sup>2</sup> Dr Wolfgang Schultheiss był ambasadorem Niemiec m.in. w Grecji i na Dominikanie – przyp. Kurhaus.

winy ani genetycznych skłonności, ale jako konstatacja tego, jak my, Niemcy, jesteśmy widziani przez inne narody”.

W tym miejscu chcielibyśmy skorygować wypowiedź ówczesnego prezydenta Niemiec: nie chodzi o to, jak nas widzą inne narody, ale o to, jak Niemcy sądzą, że inni na nich patrzą. Niemcy sami się takimi widzą. Albo, co wymaga podkreślenia: wielu niemieckim politykom, wielu osobom kształtującym opinię publiczną oraz wielu przedstawicielom mediów zależy, byśmy [Niemcy] się takimi widzieli.

Próbowaliśmy w tej książce wykazać, że choć kryzys migracyjny ujawnił, ile dobrego może zrobić naród ogarnięty syndromem pomagacza, to także unaoczniał, jak katastrofalne skutki uboczne może mieć „czynienie dobra”, jeśli kierujemy się wyłącznie zasadami etyki.

Janne Teller jest wiarygodnym głosem potwierdzającym, iż przyczyny jednego i drugiego: dobra i skutków ubocznych, mają swe źródła w ciężarze, jaki Niemcy nieświadomie w sobie noszą. To nie cudzoziemcy nam [Niemcom] o nim przypominają. Czy to w roli lidera w dziedzinie ochrony środowiska, czy też przodownika w tworzeniu niezliczonych pakietów pomocowych w strefie euro: przedstawiciele niemieckich elit są zawsze tymi, którzy motywują akcje ratunkowe naszą wyjątkową historyczną winą i jej głębokim znaczeniem. W Brukseli i Strasburgu często jesteśmy pytani, dlaczego Niemcy dążą do wykończenia własnego przemysłu poprzez swoją politykę klimatyczną (bez cienia sprzeciwu). Albo dlaczego niemieccy podatnicy bez słowa skargi wykładają miliardy euro, by wspierać kraje pogrążone w kryzysie. A także dlaczego Niemcy wpuszczają do swojego kraju setki tysięcy uchodźców, nie wiedząc, kim są, skąd przychodzą i na co liczą. Odpowiedzi oczekują od nas nie tylko przedstawiciele krajów niezaangażowanych w te problemy. Zainteresowani nimi są też ci, którzy zyskują na niemieckiej bezinteresowności.

Dobrego wyjaśnienia udziela Janne Teller: „Historia kła-

dzie się długim cieniem!”. Piętnaście lat temu Henkel długo rozmawiał z Shimonem Steinem, ówczesnym ambasadorem Izraela w Niemczech, o mocy, z jaką cień ten oddziałuje na niemieckie społeczeństwo. Stein dziwił się, że również ci Niemcy, którzy choćby z powodu swego wieku nie mogli mieć już nic wspólnego ze zbrodniami nazistów, stale mówili o „winie”. Uważał, iż nie trzeba o niej mówić. Zamiast tego o wiele lepiej mówić o „odpowiedzialności”.

Leżący przed nami pacjent, Niemcy, uwolni się od syndromu pomagacza dopiero wtedy, gdy jego elity przestaną obciążać naród winą (a przez to długami) pokolenia naszych dziadów. Zamiast tego należy podejmować odpowiedzialne działania.

Angela Merkel swoimi poglądami poczyniła wiele szkód w najważniejszych obszarach życia politycznego.

Zaliczyć należy do tego także odrodzenie się Alternatywy dla Niemiec (AfD). Po wystąpieniu z tej partii Henkela, Starbatty’ego, innych europosłów – Kölmela, Lucke i Trebesiusa, a także pięciu lub sześciu tysięcy innych jej członków<sup>3</sup>, specjaliści ds. badań opinii publicznej, naukowcy analizujący partie polityczne i przedstawiciele mediów byli zdania, że ugrupowania nie da się już uratować. Powody i kulisy klęski umiarkowanego skrzydła AfD zostaną jeszcze przeanalizowane, a wnioski opublikowane w stosownym czasie.

Latem 2015 roku, po naszym odejściu z partii, AfD spadła w sondażach przedwyborczych do poziomu 3 procent. Jednak polityka Angeli Merkel wobec uchodźców, a w szczególności jej reakcja na zdjęcia z dworca głównego w Budapeszcie, interpretowana w Niemczech i na Bliskim Wschodzie jako zaproszenie skierowane do wszystkich uchodźców świata, pozwoliły AfD

<sup>3</sup> Partia założona w kwietniu 2013 r. w swym programie miała m.in. dążenie do likwidacji strefy euro (albo wyjścia Niemiec z obszaru wspólnej waluty) oraz szerszego wykorzystania referendum. W wyborach do Bundestagu nie udało jej się przekroczyć progu wyborczego. Kilkanaście miesięcy po odejściu z ugrupowania jego najważniejszych polityków zaczęło ono nagle rosnąć w sondażach – jako że stery w nim przejęli populiści domagający się całkowitego zamknięcia granic dla uchodźców itd. – przyp. Kurhaus.

odrodzić się jak Feniks z popiołów. Zastępca przewodniczącego AfD Alexander Gauland był bardzo zadowolony z „prezentu”, jaki jego partii sprawił kanclerz Niemiec. Pomijając fakt, że nie cieszy nas radość Gaulanda, w gruncie rzeczy ma on rację. Przed kryzysem migracyjnym AfD bardzo szybko traciła jakiegokolwiek znaczenie w niemieckiej polityce. Pisarka Monika Maron na łamach „FAZ” stwierdziła, że polityka Merkel wobec uchodźców przyniosła korzyści niewłaściwym ludziom. Dodała też, że jeśli ktoś nie chce wybierać PEGIDY<sup>4</sup> lub AfD, to nie ma właściwie politycznej ojczyzny. Poza nimi jest tylko Merkel albo... Merkel.

Polityka Merkel jest także powodem opłakanej sytuacji wielkich partii ludowych, CDU/CSU i SPD. Wyraźne ześlizgnięcie się CDU na lewo doprowadziło, z punktu widzenia wielu wyborców, do utworzenia „drugiej SPD” i osłabienia samej lewicy. Wielu obserwatorów nie potrafi odróżnić w polityce wobec uchodźców Angeli Merkel od Claudii Roth<sup>5</sup>.

Gdyby CDU była firmą, to jej rada nadzorcza natychmiast wysłałaby Angelę Merkel na emeryturę i zastąpiła ją nowym liderem. Jeśli jednak w firmie nie byłoby nikogo, kto mógłby ją zastąpić, rada nadzorcza musiałaby zlecić znalezienie odpowiedniego człowieka agencji rekrutacyjnej. CDU powinna polecić agencji pozyskanie Friedricha Merza, jedyne go człowieka, po którym można by się dziś spodziewać, że względnie szybko podniesie partię z kryzysu. Zrezygnował on z czynnej polityki i pewnie nie byłoby dobrze pytać go o Angelę Merkel<sup>6</sup>. Dziś piastuje wiele ważnych stanowisk w krajowym i międzynarodowym biznesie. Jest mu dobrze. Gdyby jednak zapropono-

<sup>4</sup> Chodzi o stowarzyszenie Patriotyczni Europejczycy przeciw islamizacji Zachodu [Patriotische Europäer gegen die Islamisierung des Abendlandes, PEGIDA] powstałe w 2014 r. w Dreźnie – przyp. Kurhaus.

<sup>5</sup> Claudia Roth to znana polityk lewicy, jedna z współprzewodniczących Zielonych – przyp. Kurhaus.

<sup>6</sup> To właśnie Friedricha Merza Merkel pozbawiła wpływów jako jednego z pierwszych polityków, gdy pięła się do władzy w początkach lat dwutysięcznych. W 2002 r., tuż po „aferze czarnych kont”, zastąpiła go na stanowisku szefa klubu CDU/CSU w Bundestagu. Merz, wpływowa postać niemieckiej chadecji, europoseł w latach 1989–1994, w 2007 r. poinformował, że odchodzi z polityki w ogóle. Prawnik z wykształcenia dziś jest partnerem w międzynarodowej firmie doradczej Mayer Brown. Specjalizuje się w obsłudze prawnej fuzji i przejęć. Zasiada w radach nadzorczych licznych spółek – przyp. Kurhaus.

nowano mu stanowisko kanclerza i szefa partii zarazem, na pewno podjąłby wyzwanie. Wydaje się, że nikt lepiej od niego nie dodałby odwagi członkom CDU, zwłaszcza w polityce wobec uchodźców. Czyż to nie on przed laty wprowadził do publicznej dyskusji pojęcie „dominującej kultury” ukute przez krytyka islamu Bassama Tibiego?

Jesteśmy przekonani, że w ramach takiego scenariusza CDU zyskiwałaby w sondażach tak szybko, jak topniałyby słupki poparcia dla AfD. Gdyby Merkel ustąpiła ze stanowiska, jednocześnie namaszczając Merza, pomogłaby CDU. I nie tylko partii. Mógłby to być ostatni, od dawna oczekiwany i być może najbardziej znaczący, wkład Merkel w rozwój naszego kraju.

Tyle tylko, że CDU wiernie obstaje przy pani kanclerz. Podczas ostatniego zjazdu partii delegaci nagrodzili dziesięciminutową owacją na stojąco jej mało w sumie znaczące przemówienie. Wprawdzie wewnątrz partii narasta opór wobec prowadzonej przez nią polityki, ale krytykę wygłasza się jednak po cichu. Daje się ją czasem słyszeć w korytarzach, windach i salach posiedzeń Parlamentu Europejskiego w Brukseli i Strasburgu. Partia musi przegrać jeszcze kilka wyborów landtagów i stracić głosy w wyborach do Bundestagu, by ktoś wreszcie się ruszył i przejął ster.

Żeby temu zapobiec, potrzebne byłoby – jako druga możliwość – „wkroczenie” CSU<sup>7</sup> do pozostałych 15 krajów związkowych. Tę tezę lansował jako pierwszy wydawca tygodnika „Focus” Helmut Markwort w swoich niedzielnych programach telewizyjnych. Przez pewien czas wydawało się, że premier Bawarii Seehofer wskrzesi ów stary pomysł, który kiedyś Franz Josef Strauß włączył do politycznej debaty w Wildbad Kreuth. Na pewno Seehofer zna wymieniane przez Markworta wyniki przedwyborczych sondaży, które wskazują, że gdyby CDU

<sup>7</sup> CSU działa tylko w Bawarii – przyp. Kurhaus.

i CSU konkurowały z sobą w całej Republice Federalnej, obie partie zdobyłyby razem w następnym Bundestagu ponad 100 mandatów więcej, niż gdyby pozostały przy dotychczasowym podziale wpływów. A wynik AfD spadłby o połowę! Ale jak to się często zdarza, Seehoferowi zabrakło odwagi.

Na koniec pozostaje więc kluczowe pytanie: Czy tak się po prostu złożyło, czy też stoi za tym jakiś zamiar, że naród niemiecki po zakończeniu procesu zjednoczenia nie miał jeszcze sposobności wypowiedzieć się w wolnym głosowaniu na temat swojej konstytucji? Ustawę zasadniczą spisali w 1948 roku pod nadzorem aliantów upoważnieni do tego ojcowie konstytucji. W artykule 146 stwierdzili oni, że: „Poniższa Ustawa zasadnicza, obowiązująca cały niemiecki naród po uzyskaniu jedności i wolności Niemiec, traci moc obowiązywania w dniu, w którym wejdzie w życie inna konstytucja, uchwalona dobrowolnie przez naród niemiecki”. Nie zamierzamy podawać w wątpliwość jakości Ustawy zasadniczej, ale przecież musimy mieć prawo do wypowiedzenia się w głosowaniu o naszej konstytucji. Pomyślmy tylko, jaki potencjał związany z budowaniem tożsamości i świadomości obywateli mogłaby wyzwolić publiczna debata na temat Ustawy zasadniczej.

Jesteśmy przekonani, że nie ma na świecie drugiego takiego demokratycznego państwa jak Niemcy, którego partie wyposażone byłyby w taką władzę. Jeśli postawimy się w sytuacji autorów Ustawy zasadniczej, zrozumiemy, że próbowali oni stworzyć fundament dla stabilnej demokracji, której nie osłabią żadne rządy. Jednak wydaje się nam absurdem, że prawie 70 lat po wejściu w życie konstytucji – także przez wzgląd na naszą przeszłość – partie w Niemczech mają więcej praw niż obywatele. W innych krajach demokratycznych jest odwrotnie. Jesteśmy przekonani, że zmęczenie polityką, na które uskarża się coraz więcej osób, w znacznym stopniu wynika nie z rzekomego zmęczenia demokracją, lecz ze znużenia partiami.

Zwracamy także uwagę, iż nie ma takiego demokratyczne-

go kraju (z wyjątkiem monarchii konstytucyjnych), w którym obywatele nie wybieraliby bezpośrednio głowy państwa. Nawet Włosi i Austriacy, którzy wcześniej zmuszeni byli wybierać głowę państwa nie w wyborach, lecz poprzez partyjne gremia, zmienili odpowiednio swoje konstytucje. Dlaczego nie zrobili tego Niemcy? Jest oczywiste, że należy na nowo określić rolę prezydenta federalnego i rządu. Jasne jest także, że wybory bezpośrednio powinny dotyczyć także innego politycznego poziomu. Nie chcemy przedstawiać tu szczegółowych propozycji zmian konstytucji, którą powinien zatwierdzić naród niemiecki. Powinien wypracować je „Konwent dla Niemiec”, gremium zwołane przez prezydenta. Naszym zdaniem musiałby się on zająć także ponownym określeniem w konstytucji roli Niemiec w Europie jako suwerennego państwa, zasadami federalizmem i kwestiami dotyczącymi referendum. 23 maja 2016 roku w „Dniu Ustawy zasadniczej” Martin Walser tak skomentował w „Bildzie” pierwszy artykuł konstytucji (brzmi on: „Godność człowieka jest nienaruszalna”).

„Jest to dla mnie najważniejsze zdanie publicznego języka niemieckiego. Jest to również najpiękniejsze zdanie ze wszystkich zdań w polityce i w historii! NIENARUSZALNA! Niestety, rzadko spotyka się tak doskonałe słowo w politycznych tekstach”.

Przyłączamy się do opinii Walsera. Nie znaczy to jednak, że nienaruszalna musi być konstytucja. Zmieniano ją przecież – często z błahego powodu – już wielokrotnie. Należy – to dla nas ważny argument – wypełnić zalecenie zapisane w jej artykule 146. Jeśli zatroskane o swoje wpływy, swą wyjątkową pozycję i rozległe finansowe przywileje partie – wspomnijmy tu choćby 300 milionów euro, jakimi dysponują związane z partiami fundacje dla zapewnienia bytu odsuniętym na boczny tor politykom – odmówią wypełnienia ostatecznego zalecenia Ustawy zasadniczej, Niemcy pozostaną obywatelami kraju posiadającego spisana konstytucję,

która broni suwerenowi prawa do samodzielnego głosowania nad nią. A naród, który bez słowa sprzeciwu akceptuje to, że jego polityczne kierownictwo nie pozwala mu głosować w kwestii własnej konstytucji, musi trafić na kozetkę!

Naszemu pacjentowi trzeba przepisać nową terapię. W tej książce zaleciliśmy kilka recept. Leki mogą być gorzkie, ale są niezbędne, by chory mógł powrócić do zdrowia. Jednak przede wszystkim nasz pacjent potrzebuje nowych lekarzy. Nie byłoby uczciwe twierdzić, że tylko Merkel jest odpowiedzialna za jego cierpienia. Podobnie jednak błędem byłoby ukrywanie skutków jej poglądów i uprawianej przez nią polityki. Tak jak odpowiedzialność musi pojawić się w miejsce winy, tak też etykę poglądów trzeba zastąpić etyką odpowiedzialności.



- A**  
 Adenauer Konrad s. 155,  
 Andreotti Giulio s. 104  
 Ansip Andrus s. 236  
 Attali Jacques s. 103, 104
- B**  
 Barbier Hans D. s. 105, 120  
 Barroso José Manuel s. 233  
 Böhmermann Jan s. 33, 35, 69, 152,  
 176  
 Bourdieu Pierre s. 100  
 Briefs Götz s. 224  
 Brittan Leon s. 141  
 Brok Elmar s. 215  
 Brown Gordon s. 180  
 Brunner Manfred s. 120  
 Buhrow Tom s. 79  
 Bush George W. s. 25–27  
 Bütikofer Reinhard s. 31
- C**  
 Cameron David s. 247, 250, 252, 254,  
 256–258  
 Carow Jasmin s. 13  
 Castro Fidel s. 25  
 Chirac Jacques s. 106, 119  
 Churchill Winston s. 245, 246  
 Clooney George s. 160  
 Collier Paul s. 151  
 Cox Jo s. 76
- D**  
 Dalajlama s. 28  
 Davis David s. 247  
 Dijsselbloem Jeroen s. 235  
 Docke Bernhard s. 25, 26  
 Dombrovskis Vladis s. 127, 216,  
 Dohnanyi Klaus, von s. 24, 81  
 Döpfner Mathias s. 177  
 Draghi Mario s. 109, 110, 126, 166,  
 197, 235, 241–244  
 Duda Andrzej s. 60, 70  
 Duisenberg Wim s. 106  
 Dürrenmatt Friedrich s. 78
- E**  
 Ebner-Eschenbach Marie, von s. 177  
 Eichel Hans s. 49, 190, 231  
 Eppink Derk Jan s. 226  
 Erdogan Recep Tayyip s. 33, 34, 152,  
 153  
 Erhard Ludwig s. 72, 94, 102, 155,  
 208
- F**  
 Farage Nigel s. 226, 234, 240, 254,  
 257  
 Fischer Joschka s. 26  
 Fletcher Martin s. 80  
 Ford Vicky s. 237  
 Freeland Chrystia s. 59  
 Freud Sigmund. s. 17–19  
 Frey Oscar s. 81  
 Friedrich Hans-Peter s. 157  
 Frisch Max s. 78
- G**  
 Gabriel Sigmar s. 28, 81, 152, 157  
 Gauck Joachim s. 70, 156  
 Gauland Alexander s. 266  
 Gaulle Charles, de s. 256  
 Genscher Hans-Dietrich s. 104  
 Giscard d'Estaing Valéry s. 94, 99  
 Glotz Peter s. 24  
 Gorbaczow Michail s. 134  
 Göbel Heike s. 168  
 Gucht Karel, de s. 57
- H**  
 Hailbronner Kay s. 160, 162  
 Hankel Wilhelm s. 121  
 Hannover Heinrich s. 25  
 Hassel Florian s. 70  
 Hayek Friedrich August s. 72  
 Henkel Hans s. 89  
 Herzog Roman s. 23  
 Heusgen Christoph s. 26, 31  
 Hill Jonathan s. 216, 228  
 Hofer Jan s. 76  
 Hollande François s. 94, 232, 233
- I**  
 Issing Otmar s. 109
- J**  
 Jia Hu s. 27  
 Joffe Josef s. 21  
 Johnson Boris s. 247, 248, 254  
 Juncker Jean-Claude s. 51, 79, 113,  
 118, 127, 165–167, 186, 199, 211, 213,  
 222, 229–240, 247, 253, 256, 257, 258

**K**

Kaczyński Jarosław s. 60–63, 70, 71  
 Kaczyński Lech s. 60  
 Kamall Syed s. 68  
 Kamiński Łukasz s. 68  
 Kant Immanuel s. 174  
 Katainen Jyrki s. 216  
 Kauder Volker s. 63, 66, 140  
 Keynes John Maynard s. 117, 192  
 Kissler Alexander s. 149  
 Klaus Václav s. 183  
 Kleber Klaus s. 76  
 Kohl Helmut s. 23, 24, 40, 49, 94, 101, 104, 105, 118, 153, 156, 182, 226, 255  
 Köhler Horst s. 90, 91, 189, 263  
 Kölmel Bernd s. 190, 255, 265  
 Kopacz Ewa s. 61  
 Köppel Roger s. 77, 78  
 Kornai János s. 183  
 Krasnodębski Zdzisław s. 69, 70  
 Krause Wolf-Dieter s. 79  
 Kretschmann Winfried s. 85, 158  
 Kühne Klaus-Michael s. 166  
 Kurnaz Murat s. 25–27, 35, 157  
 Kurz Sebastian s. 153, 154

**L**

Lackner Michael s. 29  
 Lagarde Christine s. 51, 120  
 Lage Carlos s. 24, 25  
 Lambsdorff Graf Alexander s. 107  
 Lambsdorff Graf Otto s. 106, 107  
 Lammert Norbert s. 156  
 Lanz Markus s. 77  
 Larosiere Jacques, de s. 106  
 Le Pen Marine s. 69, 216  
 Legutko Ryszard s. 64  
 Leinen Jo s. 31  
 Lessing Gotthold Ephraim s. 175  
 Leyen Ursula, von der s. 71, 85  
 Löwenthal Gerhard s. 78  
 Lucke Bernd s. 38, 190, 265

**M**

Macierewicz Antoni s. 64, 70  
 Malmström Cecilia s. 58  
 Markwort Helmut s. 267  
 Maron Monika s. 151, 266  
 Marsh David s. 104

Marx Reinhard Kardinal s. 158  
 May Theresa s. 247  
 Maizière Lothar, de s. 20  
 McBurney Simon s. 13  
 Merkel Angela s. 17, 19, 20, 21–24, 26–29, 33–51, 61, 65, 66, 74, 77, 79–81, 89–96, 109, 115, 120, 139, 144, 145, 149, 152, 153, 155–160, 166, 176, 177, 180, 181, 187–190, 202, 213, 216, 232, 233, 235, 236, 241–243, 248, 250, 253–257, 259, 263, 265–267, 270  
 Merz Friedrich s. 266, 267  
 Mihm Andreas s. 43  
 Miosga Carmen s. 76  
 Mitterrand François s. 94, 101, 103, 105, 118  
 Mogherini Federica s. 235  
 Monnet Jean s. 207, 208  
 Morgenstern Christian s. 243  
 Moscovici Pierre s. 215, 216, 228, 229  
 Müller-Armack Alfred s. 208, 209  
 Müntefering Franz s. 138

**N**

Nahles Andrea s. 169  
 Navracsics Tibor s. 131  
 Nölling Wilhelm s. 121  
 Noth Jochen s. 29

**O**

Ochs Alexander s. 29  
 Oettinger Günther s. 64–66, 148, 229  
 Oppermann Thomas s. 248  
 Orbán Viktor s. 37, 131

**P**

Padoan Pier Carlo s. 113, 114  
 Petry Frauke s. 69  
 Picasso Pablo s. 131  
 Popieluszko Jerzy s. 69  
 Poręba Tomasz s. 64  
 Prantl Heribert s. 121, 126  
 Putin Władimir s. 27, 62, 63, 71

**R**

Regling Klaus s. 196  
 Reitzle Wolfgang s. 202  
 Renzi Matteo s. 51, 176  
 Reul Herbert s. 216  
 Roth Claudia s. 266  
 Roth Thomas s. 76

- Röttgen Norbert s. 157  
 Rueff Jacques s. 97
- S**
- Sarkozy Nicolas s. 51, 180  
 Sarrazin Thilo s. 81  
 Schachtschneider Karl Albrecht s. 120, 121  
 Schäuble Wolfgang s. 24, 40, 50, 51, 89, 90, 93, 95, 109, 115, 116, 120, 122, 127, 139, 147, 148, 158, 159, 180, 181, 189, 190, 191, 199, 202, 215, 216, 237, 242–244, 248, 253, 256, 257,  
 Schiller Friedrich s. 120  
 Schmidbauer Wolfgang s. 18, 19  
 Schmidt Helmut s. 94, 99  
 Scholz Rupert s. 24, 118, 159, 160  
 Schönenborn Jörg s. 76  
 Schröder Gerhard s. 23, 26–28, 37, 49, 65, 71, 171, 189, 231  
 Schuller Konrad s. 71  
 Schultheiss Wolfgang s. 263  
 Schulz Martin s. 62–64, 66, 67, 71, 186, 213, 222, 232, 235, 240, 247, 248, 253  
 Schuman Robert s. 207  
 Schumpeter Joseph s. 72  
 Schwitalla Max s. 168  
 Seehofer Horst s. 20, 156–158, 223, 267, 268  
 Selmayr Martin s. 113  
 Sigg Uli s. 29  
 Sisi AbdelFattah, al s. 28  
 Spahn Jens s. 125, 126  
 Spethmann Dieter s. 89  
 Stach Stephan s. 69  
 Stark Jürgen s. 109  
 Steinmeier Frank-Walter s. 71, 152  
 Stoiber Edmund s. 138, 237, 238  
 Stoltenberg Gerhard s.  
 Strauß Franz Josef s. 267  
 Strauss-Kahn Dominique s. 51  
 Stürmer Michael s. 156  
 Szydło Beata s. 61, 64, 69
- T**
- Tannock Charles s. 255  
 Teller Janne s. 261–265  
 Teresa Matka s. 23, 36  
 Thatcher Margaret s. 246, 255  
 Tibi Bassam s. 267  
 Tietmeyer Hans s. 98, 100  
 Timmermans Frans s. 63, 68, 235  
 Töpfer Klaus s. 40  
 Trebesius Ulrike s. 190, 265  
 Trichet Jean-Claude s. 51, 106  
 Trittin Jürgen s. 23, 82  
 Tsipras Alexis s. 186, 187, 190, 239  
 Tusk Donald s. 61, 149, 235, 258
- V**
- Vassiliadis Michael s. 42  
 Verdi Giuseppe s. 131  
 Verhofstadt Guy s. 187  
 Voßkuhle Andreas s. 214, 124
- W**
- Wagenknecht Sahra s. 21, 193  
 Waigel Theo s. 104, 118, 189  
 Walser Martin s. 269  
 Waszczykowski Witold s. 64  
 Weber Manfred s. 232  
 Weidmann Jens s. 110  
 Weimann Joachim s. 43,  
 Weiwei Ai s. 28–33, 35, 157  
 Weizsäcker Richard, von s. 263  
 Wendland Anna Veronika s. 46, 48  
 Werner Pierre s. 98  
 Wieland Rainer s. 220
- Z**
- Zetsche Dieter s. 167  
 Zimmermann Kurt W. s. 78  
 Ziobro Zbigniew s. 65  
 Zweig Stefan s. 13, 14, 155